

M O C N E S T R O N Y W O J S K A

POLSKA ZIELONA

NR 8 (904)

SIERPIEŃ 2021

ISSN 0867-4523

TEMAT NUMERU

MOJE MIEJSCE W ARMII

ŻYCIOWA STABILIZACJA, SZANSA
ROZWOJU ZAWODOWEGO, SŁUŻBA
OJCZYŹNIE – TAK TŁUMACZĄ
SWÓJ WYBÓR LUDZIE CORAZ
CHĘTNIEJ WSTĘPUJĄCY DO WOJSKA

**Mariusz
Błaszczak:**
Żołnierzem się jest,
a nie bywa





ZOSTAŃ
ŻOŁNIERZEM
RZECZYPOSPOLITEJ

ŚWIĘTO WOJSKA POLSKIEGO

MARIUSZ BŁASZCZAK
MINISTER OBRONY NARODOWEJ

ZAPRASZA NA PIKNIKI WOJSKOWE

ZOSTAŃ ŻOŁNIERZEM RP

14 SIERPNI 2021

GODZ. 11.00

**OSSÓW
KLUCZBORK
RYPIN
STRZELCE**

15 SIERPNI 2021

GODZ. 11.00

WARSZAWA

PL. PIŁSUDSKIEGO, MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO, PGE NARODOWY

**GOŁDAP | TUCHOLA | BRZEG | OZORKÓW | IŁŻA
ZWOLEŃ | TERESIN | KOZIEGŁOWY | SKOCZÓW
SOLINA | DYNÓW | POŁKOWICE | HRUBIESZÓW
KOLNO | GRAJEWO | KOŃSKIE | KOBYLIN | WIERZCHOWO**

- POKAZY SPRZĘTU I WYSZKOLENIA ŻOŁNIERZY • MOBILNE PUNKTY SZCZEPIEŃ
- KONCERTY ORKIESTR WOJSKOWYCH • STREFY ZABAW DLA DZIECI • ŻOŁNIERSKA KUCHNIA



WWW.MON.GOV.PL



POLSKA ZBROJNA

PISMO CODZIENNE

Od stu lat towarzyszymy żołnierzom w ich codziennej służbie. Społeczeństwu zaś pokazujemy fascynujący świat wojska. Taka idea od początku przyświecała dziennikarzom i redaktorom, którzy to pismo stworzyli. Publikujemy frag-

menty artykułów z pierwszych lat jego istnienia, żeby pokazać, jak te założenia były przekuwane w konkretne numery „Polski Zbrojnej”. Dziś staramy się kontynuować dzieło naszych poprzedników.

Warszawa, 1 sierpnia 2021 roku

Od REDAKCJI

Z dniem dzisiejszym po wydaniu numeru okazowego „Polski Zbrojnej” rozpoczynamy stałą pracę codzienną.

Rozpoczynamy ją z wiarą w dobro rozpoczętej sprawy, jej rację i wartość, tem bardziej, iż w przeciągu kilku dni [...] „Polska Zbrojna” spotkała się już z żywym oddźwiękiem w całej Armji i licznymi objawami zainteresowania ze strony społeczeństwa.

Utrwała nas to w tem przekonaniu, iż zajęliśmy placówkę leżącą odłogiem i będącą wyrazem istotnej potrzeby oraz, że na swoim posterunku przy współdziałaniu ogółu Armji, nie szczędząc sił i energii, potrafiliśmy przynieść prawdziwą korzyść nie tylko wojsku, lecz także interesom Narodu i kształtującego się Państwa [...].

9 października 1921 roku

Nowy okręt polskiej marynarki wojennej

HAVRE, 9.8. (PAT.). W obecności władz lokalnych odbyła się tutaj uroczystość poświęcenia nowego okrętu transportowego polskiej marynarki wojennej „Wilja”, pozostającego pod dowództwem komandora marynarki polskiej Burhardta*.

10 sierpnia 1925 roku

* Kmdr Mieczysław Burhardt był dowódcą tego okrętu do 1926 roku.

Święto żołnierza i doroczny przegląd załogi w dniu 15 sierpnia

Pan Minister* w Rozkazie Dziennym nr. 126 z dnia 4 bm. wydał następujący rozkaz:

Dzień 15-go sierpnia jest świętem żołnierza polskiego. W dniu tym wojsko i społeczeństwo czci chwałę oręża polskiego, której uosobieniem i wyrazem jest żołnierz. W rocznicę wiekopomnego rozgromienia nawały bolszewickiej pod Warszawą święci się pamięć poległych w wojskowych walkach z wrogiem o całość i niepodległość Polski.

Uroczystości świąteczne obejmują:

a) w przeddzień Święta Żołnierza o godz. 20-tej capstrzyk orkiestr wojskowych na ulicach miasta garnizonowego;

b) w dzień święta przed południem przegląd wojsk z nabożeństwem i błogosławieństwem;

c) po południu uroczystości ogólnonarodowe;

d) uroczysty wieczorny apel.

4 sierpnia 1923 roku

* Gen. Stanisław Szeptycki sprawował funkcję ministra spraw wojskowych do grudnia 1923 roku.

Żądajcie w kawiarniach „Polski Zbrojnej”

6 sierpnia

Ustanowiony jako dzień święta wojskowego, dzień 6 sierpnia* stał się dla całej armji symbolem szczytnej walki o wolność narodu, podjętej pod wodzą Józefa Piłsudskiego i z wolą niezłomną wiedzionej poprzez wszystkie lata, w których szablą i kulą polską rzeźbiły ostateczne zwycięstwo. [...] Święto legionów jest świętem żołnierskiej ciężkiej. Jest ono wyrazem zespolenia na

zawsze z armią polską tych, którzy dzisiaj, będąc poza jej szeregami, w każdej potrzebie zerwą się, by kornie i w ordynku jeszcze raz pójść nadstawić karku.

4 sierpnia 1923 roku

* Od 1919 roku święto żołnierzy obchodzono w dniu wymarszu I Kompanii Kadrowej, w 1923 roku minister Stanisław Szeptycki ustanowił 15 sierpnia dniem oficjalnych obchodów.

Życie wojskowe

BITWA POD AGRYKOŁĄ

Clou wczorajszego święta żołnierskiego, stanowiły igrzyska wojskowe na boisku Wojskowego Klubu Sportowego w Warszawie. Na olbrzymim placu, obejmującym 4000 m² przestrzeni, porożstawiano liczne namioty, w których zobrazowano najpoważniejsze dzieła wytwórczości wojskowej. Po całym polu rozsiane tanki, auta, balony, wozy i t. d. nadawały boisku wygląd rzeczywiście bojowy. [...] Na parę minut przed 7 godz. ukazały się na nieboskłonie aeroplany wywiadowcze. Krążyły nad obozem, coś węsząc, czegoś szukają. Trwa to przez chwilę i okazują się aeroplany wojsk „własnych”. Zaczyna się bitwa powietrzna.

16 sierpnia 1922 roku

10 milionów inwalidów z wojny światowej

Genewa, 1.8 (Pat). Międzynarodowe Biuro Pracy w Genewie ogłasza dziś na mocy obliczeń obradujących obecnie w Genewie rzeczoznawców, następujące liczby, dotyczące inwalidów wojennych [...]. Ogólna liczba poszkodowanych przez wojnę inwalidów wynosi 7, 124, 000. W tej statystyce brak danych o liczbie ofiar wojny w Turcji, Bułgarii, państwach bałtyckich, Portugalji, Węgrzech i Japonji. Przypuszczać można, że ogólna liczba kalek wojny wynosi 10 milionów.

2 sierpnia 1923 roku

Z OBCYCH WOJSK

× Jednakowe mundury Małej Ententy

„Vittorul” donosi, że państwa Małej Ententy zamierzają wprowadzić jednakowe umundurowanie swych armij, a także zorganizować wspólny sztab generalny w razie wojny.

1 sierpnia 1925 roku

SATYRA W LEGJONACH

Pewien dobry znawca stosunków powiedział: Legioniści do-
brze się biją z nieprzyjacielem, lepiej z przyjacielem, najlepiej
zaś między sobą.

4 sierpnia 1923 roku

Wywiad „Kuriera Warszawskiego” z Ministrem Szeptyckim

— Jaki jest obecny stan lotnictwa wojskowego?

— Pracuje on pełną siłą. Stworzone, jako zlepek dorywczy w warunkach nader ciężkich i niejednorodnych w okresie wojny. [...] Do bohaterskich zasług bojowych należy dodać bohaterskie również zwalczanie okropnych warunków technicznych, słowem, jeżeli chodzi o ludzi, materiały mamy pierwszorzędną i ponad miarę co do wartości, ze zaopatrzeniem jednak trudności istnieją w dalszym ciągu. [...] Cały więc wysiłek kładziemy obecnie na stworzenie własnego przemysłu lotniczego. [...]

— A więc, panie jenerale, armia nasza pomimo trudności budżetowych i stop-

niowego dźwigania się kraju z ruiny życia gospodarczego i skutków powojennych rozwija się prawidłowo?

— Tak, armia szkoli się nieustannie i czyni postępy z dnia na dzień, osiągnęła swoją wysoką wartość, co stwierdzamy nie tylko my sami. [...] I jeszcze jedno, co powinno być wyryte w sercu każdego obywatela: wojsko to ramię obronne tylko narodu i państwa, którego nie wolno wciągać w orbitę żadnej polityki. Polityka nie dla wojska, wojsko nie dla polityki! Wszyscy, z jakiegokolwiek bądź strony o tem pamiętać powinni.

14 sierpnia 1923 roku

Pomoc wojska przy budowie schroniska na Hali Gąsienicowej

W dniu 12 lipca b.r. zostało uroczystie otwarte przez prezydenta Rzeczypospolitej uroczyste schronisko w Tatrach na Hali Gąsienicowej*. [...] Z tej okazji wskazanem jest zapoznać szerszy ogół czytelników wojskowych z przebiegiem budowy tego schroniska, do której tak wydatnie przyczyniły się i oddziały wojskowe.

Wstępne prace związane ze zwózką materiału budowlanego na schronisko rozpoczął w 1924 r. detaszowany** pluton wysokogórski w Zakopanem. Równocześnie kompania 5 p. sap. była zajęta trasowaniem i niwelacją drogi do Hali Gąsienicowej ku Brzezynom, a pluton 1 p. sap. kol. układaniem kolejki górskiej na Halę. [...]

Pomoc wojska z końcem tego miesiąca wyrażała się cyfrowo w dwóch trzecich ogólnych kosztów budowy schroniska. W zamian za tę pomoc, Polskie Towarzystwo Tatrzańskie zobowiązało się do udzielenia oficerom przy korzystaniu ze schroniska tych ulg, jakie przysługują członkom tegoż towarzystwa.

4 sierpnia 1925 roku

* Schronisko Murowaniec służy turystom w tym miejscu do dziś.

** Oddział wydzielony



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

**” ZWIĘKSZENIE LICZEBNOŚCI WOJSKA
JEST PRIORYTETEM MINISTERSTWA
OBRONY NARODOWEJ. W TYM CELU
PODEJMOWANE SĄ DZIAŁANIA UŁA-
TWIAJĄCE OCHOTNIKOM DOŁĄCZENIE DO WOJ-
SKOWEJ SPOŁECZNOŚCI, M.IN. WPROWADZONO
NOWY SYSTEM REKRUTACJI CZY SKRÓCONO
SŁUŻBĘ PRZYGOTOWAWCZĄ.**

Coraz szerszy jest również dostęp do uczelni wojskowych. Wszystko po to, aby w armii mogli znaleźć swoje miejsce ludzie, którzy rzeczywiście pragną służyć, oczywiście pod warunkiem, że spełniają określone wymagania. A ochotników jest coraz więcej. To nie tylko młodzi ludzie, dopiero wybierający swą ścieżkę kariery, lecz także osoby z doświadczeniem zawodowym, które mogą łączyć dotychczasowe zajęcia ze służbą, np. w szeregach wojsk obrony terytorialnej.

Jak podkreśla minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak, wojsku ufa aż 83% Polaków i jest to najwyższy wynik wśród instytucji publicznych. „Polacy muszą się czuć bezpiecznie, wiedzieć, że ktoś jest na służbie i w razie potrzeby zareaguje”, mówi minister w udzielonym „Polsce Zbrojnej” wywiadzie. W tym numerze znajdują Państwo kompendium wiedzy o tym, jak zmieniła się droga do wojska, a także o wyzwaniach, jakie wiążą się z żołnierską służbą.

W 101. rocznicę Cudu nad Wisłą – na pamiątkę którego zostało ustanowione Święto Wojska Polskiego – wspominamy bohaterskie czyny weteranów walczących o niepodległą Ojczyznę. Celebując ten wyjątkowy dzień, 15 sierpnia, życzymy żołnierzom zdrowia, pomyślności i wielu sukcesów, a także satysfakcji ze służby. ■

Życzenia z okazji Święta Wojska Polskiego

15 sierpnia 2021 roku



Andrzej Duda

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

*Żołnierze i Pracownicy Sił Zbrojnych!
Szanowni Weterani!
Szanowni Czytelnicy „Polski Zbrojnej”!*

Z okazji Święta Wojska Polskiego składam żołnierzom Rzeczypospolitej oraz osobom pracującym na potrzeby armii serdeczne życzenia wszelkiej pomyślności. Życzę Państwu, aby we wszystkich zadaniach i przedsięwzięciach umacniało Państwa poczucie wielkiej dumy ze wspaniałych tradycji polskiego oręża. Życzę bezpiecznej służby i owocnej pracy, a także tego, aby podejmowane wyzwania kończyły się zwycięstwem.

Z podziękowaniami zwracam się do weteranów, życząc satysfakcji z żołnierskiego dorobku oraz możliwości rozwijania zdobytych doświadczeń i umiejętności dla dobra i siły Ojczyzny. Serdecznie dziękuję każdemu z Państwa – żołnierzom i pracownikom oraz weteranom Wojska Polskiego – za Wasze poświęcenie, oddanie i profesjonalizm w służbie dla kraju i na misjach poza granicami Polski.

Serdeczne pozdrowienia kieruję także do Państwa Rodzin i Bliskich, a także do wszystkich czytelników „Polski Zbrojnej”, która w tym roku obchodzi jubileusz stulecia. ■



Mateusz Morawiecki

PREZES RADY MINISTRÓW

Żołnierze Wojska Polskiego, Szanowni Państwo!

W sierpniu 1920 roku młoda polska armia odrepnęła sowiecką nawałnicę, zmieniając losy nie tylko odrodzonej Rzeczypospolitej, ale i Europy stojącej w przededniu bolszewickiej rewolucji. W 101. rocznicę warszawskiej wiktoria oddajemy hołd pokoleniom żołnierzy, którzy walczyli

o wolną i niepodległą Ojczyznę. Wyrażamy dumę zarówno z chlubnego dziedzictwa polskiego oręża, jak i jego współczesnego oblicza.

Z okazji tego wyjątkowego święta składam Państwu podziękowania za pełną oddania pracę na rzecz bezpieczeństwa Polaków. Życzę wielkiej satysfakcji ze służby Polsce, sukcesów i żołnierskiego szczęścia. ■



Mariusz Błaszczak

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

*Żołnierze Wojska Polskiego,
Szanowni Państwo!*

Z okazji Święta Wojska Polskiego wszystkim noszącym mundur i związanym z wojskiem pragnę życzyć wytrwałości i hartu ducha oraz dalszych sukcesów w pracy i służbie. Oby przynosiła Wam spełnienie i satysfakcję, a nam wszystkim bezpieczeństwo.

Wojsko Polskie jest naszą dumą narodową. Mundur to symbol honoru i zobowiązania. Na żołnierzy Sił Zbrojnych RP zawsze można liczyć. To właśnie oni codziennie stoją na straży naszego bezpieczeństwa. Są gotowi, by podać pomocną dłoń, w chwili próby ruszyć z pomocą i nas bronić. Zaangażowanie w zwalczanie pandemii

najlepiej to udowodniło. Jednak wysiłki na nowym froncie walki z COVID-19 w żadnym stopniu nie zmniejszyły zaangażowania w codzienną służbę – w szkolenia i ćwiczenia oraz ciągle podnoszenie kompetencji. Dzięki takiej postawie żołnierz z białą-czerwoną flagą na ramieniu stał się synonimem doskonale wyszkolonego fachowca, profesjonalisty gotowego do działania w każdych, nawet najtrudniejszych warunkach.

Święto Wojska Polskiego to najlepszy dzień, aby okazać Wam, naszym żołnierzom, wdzięczność oraz serdeczność. Jednocześnie szczególnie słowa uznania i podziękowania pragnę skierować do Państwa rodzin za ich trud i zrozumienie, które pozwalają realizować obowiązki na tak wysokim i profesjonalnym poziomie. ■



Gen. Rajmund T. Andrzejczak

SZEF SZTABU GENERALNEGO WOJSKA POLSKIEGO

*Żołnierze i Pracownicy Resortu Obrony
Narodowej, Szanowni Państwo!*

Święto Wojska Polskiego to nie tylko szczególnie dzień dla żołnierzy, lecz także dobry moment, aby wyciągać wnioski z przeszłości i budować bezpieczną przyszłość. Zawsze jednak należy pamiętać, że fundamentem każdej organizacji są ludzie.

Dlatego dziękuję wszystkim Państwu, zarówno pozostającym nadal w służbie, jak i tym, którzy pożegnali się z mundurem, za zaangażowanie, Wasz potencjał i energię.

Niedawno zakończyliśmy udział w międzynarodowej misji sojuszniczej w Afganistanie. Jednak

nadal jesteśmy w wielu miejscach na świecie. Podczas wypełniania swoich zobowiązań zdobyliśmy bezcenne doświadczenia, które wykorzystujemy, doskonaląc nasze umiejętności.

Wojsko musi stale się szkolić, zarówno w kraju, jak i podczas ćwiczeń międzynarodowych. Musi być gotowe do wypełniania swojej roli, dlatego obiecuję jeszcze większą dynamikę szkoleń, które obejmą również żołnierzy rezerwy.

Dziś, z okazji Święta Wojska Polskiego życzę żołnierzom i pracownikom wojska sukcesów i wytrwałości w sprostaniu nowym wyzwaniom, wszystkim Polakom zaś – dumy z polskich żołnierzy. ■



Gen. Jarosław Mika

DOWÓDCA GENERALNY RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

Obchodzone w rocznicę Bitwy Warszawskiej Święto Wojska Polskiego jest doskonałą okazją do przypomnienia bohaterskich czynów Polaków, którzy na przestrzeni dziejów stawiali do walki o wolność i niepodległość naszej Ojczyzny.

W tym szczególnym dniu składam wszystkim żołnierzom, kombatanom, weteranom oraz pracownikom resortu obrony narodowej życzenia sa-

tysfakcji z dokonań służbowych oraz wszelkiej pomysłowości. Wasz codzienny profesjonalizm i wysokie umiejętności, a także zaangażowanie i oddanie żołnierskiej służbie owocuje znaczącymi dokonaniami, zarówno w szkoleniu, jak i modernizacji technicznej sił zbrojnych.

Dziękując za wytrwałość i żołnierski wkład w rozwój naszej armii, życzę Państwu zdrowia i powodzenia w osiąganiu wyznaczonych celów. ■



Gen. broni Tomasz Piotrowski

DOWÓDCA OPERACYJNY RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

W dniu Święta Wojska Polskiego oddajemy hołd tysiącom żołnierzom i cywilów, którzy bohatersko walczyli o naszą przyszłość. Dzisiaj polscy żołnierze, gotowi do czynów na miarę swoich poprzedników, pełnią służbę wszędzie tam, gdzie zagrożony jest pokój i łamane są prawa człowieka.

Wszystkim współczesnym i dawnym bohaterom, żołnierzom w służbie i poza nią, pracownikom resortu obrony narodowej, rodzinom wojskowym życzę wytrwałości i determinacji w skutecznym działaniu, sukcesów zawodowych i osobistych oraz dobrego zdrowia. ■



Gen. dyw. Wiesław Kukuła

DOWÓDCA WOJSK OBRONY TERYTORIALNEJ

Żołnierze!

Szacunek i dumę wzbudza tamten niełatwy czas i stanowiąca jego apogeum bitwa, którą wygrali nasi ojcowie. Nigdy nie zapomnimy ich ofiary, będziemy ją wyrażać w słowie i czynie, dowodząc, że, podobnie jak Oni, jesteśmy zawsze gotowi do obrony naszej Ojczyzny.

W dniu Święta Wojska Polskiego życzę wszystkim żołnierzom i pracownikom wojsk obrony terytorialnej spełnienia zawodowego i satysfakcji z pełnionej służby. Naszym poprzednikom z Armii Krajowej i podziemia niepodległościowego życzę zdrowia i zapewniam, że nigdy Was nie opuścimy.

Dziękuję za Waszą służbę! ■

Życzenia z okazji Święta Wojska Polskiego

15 sierpnia 2021 roku



Płk Tomasz Dominikowski

CZ.P.O. DOWÓDCY GARNIZONU WARSZAWA

*Panie i Panowie Oficerowie, Podoficerowie,
Żołnierze, Pracownicy Dowództwa Garnizonu
Warszawa i jednostek podległych!*

*Z okazji Święta Wojska Polskiego składam Wam
i Waszym rodzinom najserdeczniejsze życzenia,
przede wszystkim dobrego zdrowia, ale również
szczęścia oraz wszelkiej pomyślności w życiu za-
wodowym i osobistym.*

*Dziękuję za profesjonalną i pełną poświęce-
nia służbę. To dzięki Waszemu zaangażowaniu,*

*kompetencjom i doświadczeniu wykonujemy po-
wierzane nam zadania na tak wysokim pozio-
mie. Życzę wytrwałości i skuteczności w działa-
niu. Niech służba i praca będą dla Was zawsze
źródłem dużej satysfakcji.*

*Gorące pozdrowienia kieruję także do byłych
żołnierzy warszawskiego garnizonu, weteranów
oraz kombatanów. Niech zdrowie, troska oto-
czenia oraz radość z dokonań towarzyszą Wam
każdego dnia.* ■



Gen. bryg. Tomasz Połuch

KOMENDANT GŁÓWNY ŻANDARMERII WOJSKOWEJ

*Z okazji Święta Wojska Polskiego wszystkim żołnie-
rzom służącym w kraju i poza jego granicami oraz
pracownikom resortu obrony narodowej dziękuję
za pełną poświęcenia służbę i pracę oraz składam
życzenia zdrowia, wytrwałości w dążeniu do wy-
znaczonych celów, sukcesów oraz zawodowej sa-
tisfakcji. Niech Święto Wojska Polskiego będzie ra-
dosnym dniem dla Was i Waszych rodzin.*

*W myślach łączę się z rodzinami poległych żoł-
nierzy, którzy oddali życie, służąc Ojczyźnie.
Cześć Ich pamięci!*

*Obecnym i byłym żołnierzom oraz pracowni-
kom Żandarmerii Wojskowej szczególnie dzięku-
ję za zaangażowanie oraz oddanie służbie i ży-
czę powodzenia w życiu prywatnym i zawodo-
wym.* ■





**TEMAT
NUMERU**

PAULINA GLIŃSKA
20 Wojsko jak magnes

Armia zwiększa swoją
liczebność



ARMIA

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK,
ŁUKASZ ZALESIŃSKI
**32 W jedynym
słusznym kierunku**

Współpraca wojskowa
z Ukrainą

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK
**38 Czułem się
jak w rakiecie**

MICHAŁ ZIELIŃSKI
42 Taniec na linach

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
46 Sprawdzian ogniowy

EWA KORSĄK
**50
Pilotowanie
zapisane
w DNA**

TOMASZ ZDZIKOT
**57 Niezbędny
krok**



MILITARIA

TADEUSZ WRÓBEL
60 Strażnicy stref

Globalny popyt
na jednostki patrolowe

KRZYSZTOF WILEWSKI
66 Tony pod skrzydłami

TADEUSZ WRÓBEL
**72
Od
Walentyny
do centaury**



STRATEGIE

ROBERT SENDEK
74 Mocny uścisk brata

Laos nowym partnerem
strategicznym dla Rosji

TADEUSZ WRÓBEL
**80
Pomiędzy
mocarstwami**



DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 849 008, 261 849 007, faks: 261 849 459;
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska,
tel.: 261 849 212; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 849 213;
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 849 147;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 849 262;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,
Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek, Magdalena
Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata Schwarzgruber,
Robert Sendek, Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski,
Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA

Andrzej Fąfara, Krzysztof Kubiak,
Maciej Nowak-Kreyer, Piotr Raszewski, Łukasz Zalesiński,
Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,
Małgorzata Mielczarz, Monika Siemaszko, tel.: 261 849 498;
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 849 279

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 849 244;
Renata Gromska

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Patryk Czarnowski, Arkadiusz
Juszczak, Agnieszka Karaczun, Anita Kwatrowska
(tłumacz), Marta Szulc, Małgorzata Szustkowska,
tel.: 261 849 496, 261 849 457; reklama@zbrojni.pl

Numer zamknięto: 30.06.2021 r.

DRUK

Drukarnia Kolumb
ul. Kaliny 7, 41-506 Chorzów
drukarniakolumb.pl, (+48 32) 352 17 00

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Punkt Poczty Włocławek
ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek
elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl
tel. 885 870 509, kom. 502 012 187

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych
„Polski Zbrojny” można składać poprzez:
– www.polska-zbrojna.pl
– www.garmondpress.pl/prenumerata
– www.kolporter.com.pl/prenumerata
Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym
prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojny”,
dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER



Narodowe Archiwum Cyfrowe.
250 tysięcy zdjęć online na
www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji
wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 849 494.
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska
Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje
regulamin dostępny na stronie głównej portalu
polska-zbrojna.pl.



ROBERT SENDEK

86 Odrobina normalności w piekle

Prawdziwa historia
mostu na rzece Kwai

MACIEJ NOWAK-KREYER

92 Górale na równinach

PIOTR KORCZYŃSKI

94 Trzeba było wytrzymać

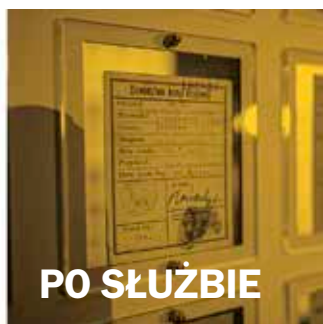
Rozmowa
z Krystyną Budnicką

ANNA DĄBROWSKA

100 Ze wspomnień patrolowej Kai

KRZYSZTOF KUBIAK

105 Upadek Szakala



MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

106 Zapamiętamy ich twarze

Niezwykły dar dla Muzeum
Powstania Warszawskiego

MAGDALENA MIERNICKA

112 Pojedynek z samym sobą

Rozmowa z Mateuszem
Masternakiem

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

116 Ofiary niepamięci

ANNA DĄBROWSKA

119 Monument Marszałka

PIOTR KORCZYŃSKI

120 Pełzanie, młody

ANDRZEJ FĄFARA

122 Zapadła kurtyna



Zdjęcie na okładce:
Arkadiusz Dwulątek

Znajdziesz nas tutaj:



Czas na mieczniki

Za cztery lata zostanie zwodowana pierwsza fregata wielozadaniowa.

Trzy fregaty wielozadaniowe wyposażone w nowoczesne systemy radiolokacyjne, artyleryjskie i rakietowe zbuduje konsorcjum PGZ-Miecznik, w którego skład wchodzi Polska Grupa Zbrojeniowa, PGZ Stocznia Wojenna i Remontowa Shipbuilding. Zgodnie z podpisaną 27 lipca 2021 roku umową wynegocjowaną przez Inspektorat Uzbrojenia MON budowa fregat o kryptonimie „Miecznik” ma się odbywać w latach 2021–2034. Wartość kontraktu wynosi 8 mld zł. „Chcemy, aby pierwszy okręt został zwodowany za cztery lata”, zapowiedział minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak podczas uroczystości podpisania umowy.

W najbliższych miesiącach zapadną kluczowe decyzje,

m.in. o wyborze strategicznego partnera zagranicznego. Do końca listopada konsorcjum przygotuje trzy projekty koncepcyjne. Następnie, nie później niż na przełomie tego i przyszłego roku, zostanie wybrany najlepszy z nich.

„Siły Zbrojne RP otrzymają nowoczesne fregaty wielozadaniowe. Siłę rażenia tych jednostek będzie można przyrównać do dywizjonu ogniowego morskiej jednostki rakietowej, natomiast siłę obrony przeciwlotniczej i przeciwraкетowej do baterii Patriot”, stwierdził minister i dodał, że choć najważniejszym zadaniem fregat będzie obrona polskiego wybrzeża, to będą one wykorzystywane również w misjach sojuszniczych. PZ, KW ■



ABRAMSY DO SZYKU

250 nowych czołgów podstawowych wejdzie do służby w polskim wojsku.

Pierwsze egzemplarze najnowszej wersji amerykańskich maszyn Abrams M1A2 SEPv3 mają już w 2022 roku trafić do

polских żołnierzy. Docelowo jednak armia chce pozyskać 250 czołgów, co pozwoli na wyposażenie w nie czterech batalionów

wojsk pancernych. Abramsy przewidziano dla jednostek podległych 18 Dywizji Zmechanizowanej, m.in. 1 Brygady Pancernej

i 19 Brygady Zmechanizowanej.

Kontrakt o wartości 23 mld 300 mln zł zostanie zawarty dzięki uchwale





SPADOCHRONIARZE Z 6 BRYGADY POWIETRZNO- SANTOWEJ SZKOLILI SIĘ Z DESANTOWANIA Z SAMOLOTU C-17 GLOBEMASTER

TOMASZ RADZIWIŃSKI / 6 BPD



U.S. ARMY

Rady Ministrów dotyczącej finansowania potrzeb obronnych Rzeczypospolitej Polskiej.

Wraz z czołgami do Polski mają trafić pojazdy logistyczne i dowodzenia, symulatory oraz zapas amunicji. W zamówieniu znalazły się wozy dowodzenia, wsparcia technicznego, ewakuacji medycznej, a także cały pakiet logistyczny i szkoleniowy. Abramsy są produkowane w USA od

1980 roku. Wersja M1A2 weszła do służby w 1992 roku i od tego czasu jest stale rozwijana. SEPv3, czyli ta, którą kupimy, jest najnowszą z nich. Wozy zostały wyposażone w pakiet urządzeń i systemów zwiększających możliwości bojowe w terenie zurbanizowanym (Tank Urban Survival Kit – TUSK) oraz w izraelski system obrony aktywnej Trophy HV. PZ, KW, MM ■

Lufy ze Stalowej Woli

Elementy armat do leopardów będzie produkować polska firma.

Koncern Rheinmetall Waffe Munition oraz Huta Stalowa Wola podpisały umowę, na mocy której polska spółka będzie przez 20 lat produkować na licencji elementy armat L44 montowanych w czołgach Leopard, m.in. 120-milimetrowe lufy. Części, które powstaną w Polsce, będą mogły być instalowane w czołgach użytkowanych nie tylko przez nasze wojsko. Przedstawiciele niemieckiego koncernu podkreślali, że to porozumienie umożliwi w przyszłości współpracę HSW i Rheinmetallu w produkcji kolejnych typów armat, np. kalibru 130 mm. PZ, KW ■

SŁUŻBA W FORT KNOX

Polak rozpoczyna służbę jako zastępca dowódcy V Korpusu US Army.

Gen. dyw. Adam Joks jest pierwszym Polakiem, po Kazimierzu Pułaskim i Tadeuszu Kościuszcze, który obejmuje tak wysokie stanowisko w dowództwie US Army. Będzie pełnił obowiązki w Fort Knox w USA jako zastępca dowódcy jednostki odpowiadającej za amerykańskie pododdziały stacjonujące na wschodniej flance NATO.

Dowództwo V Korpusu US Army zostało reaktywowane w lutym 2020 roku. Ma docelowo liczyć ponad 600 żołnierzy, z czego 200 będzie służyć na wysuniętym stanowisku dowodzenia, które



**Gen. dyw.
Adam Joks**
od 2019 roku
pełnił służbę na sta-
nowisku dowódcy
Centrum Szkolenia
Sił Połączonych
NATO.

zainauguowało działalność jesienią 2020 roku w Poznaniu. Jego głównym zadaniem jest dowodzenie działaniami żołnierzy USA przebywających w Polsce i środkowo-wschodniej Europie.

Adam Joks wcześniej był m.in. dowódcą Centralnej Grupy Wsparcia Współpracy Cywilno-Wojskowej i 6 Brygady Powietrznodesantowej. Kierował sztabem Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód. Od 2019 roku pełnił służbę na stanowisku dowódcy Centrum Szkolenia Sił Połączonych NATO (Joint Force Training Centre – JFTC). PZ, MM, AD

Wkład w Wisłę

Maskowania do baterii Patriot dostarczą polskie spółki.

Konsorcjum, które tworzą firmy Mi-kranda, Lubawa oraz Wojskowy Instytut Techniki Inżynierskiej, podpisał umowę z Inspektorem Uzbrojenia na dostawę systemów maskowania i pozoracji do zamówionych przez siły zbrojne dwóch baterii systemu przeciwlotniczego i przeciwrakietowego Patriot. Wartość kontraktu wynosi prawie

70 mln zł. To jedno ze zleceń dla polskich podmiotów związane z programem „Wisła”. Wcześniej amerykański Raytheon, producent patriotów, podpisał umowy m.in. z Hutą Stalowa Wola na dostarczenie 16 wyrzutni M903 oraz z PIT-Radwar na dostawę anten systemu identyfikacji „swój-obcy” (Identification Friend or Foe – IFF).

Z kolei koncern Lockheed, który dostarczy pociski do systemu Patriot, podpisał umowę z Polską Grupą Zbrojeniową. Na mocy tego porozumienia w Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 1 oraz w Wojskowych Zakładach Elektronicznych będą produkowane elementy rakiet PAC-3 MSE. PZ, KW

Odpowiedź na wyzwania

Zakończyła się prezydencja Polski w Grupie Wyszehradzkiej. Rok temu, w czasie globalnego kryzysu wywołanego przez COVID-19, objęliśmy przewodnictwo w Grupie V4. „Pandemia sprawiła, że nasze kraje stanęły w obliczu wyzwań nie tylko w sferze wojskowej”, mówił gen. Rajmund T. Andrzejczak, szef Sztabu Generalnego WP, podczas spotkania szefów obrony państw Grupy V4 w Krakowie.

Podkreślił jednak, że mimo tego zagrożenia pod polskim przewodnictwem rozpoczęto m.in. opracowywanie wspólnych wymagań operacyjnych dla wybranego sprzętu wojskowego. Szefowie obrony V4 podpisali dokument dotyczący zainicjowania procesu przygotowania Wyszehradzkiej Grupy Bojowej Unii Europejskiej, w której będziemy odgrywać rolę państwa ramowego. PZ, MKS

Pani Dyrektor Annie Kuźmie

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Brata

składają kierownictwo i pracownicy
Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

Pani Dyrektor Annie Kuźmie

składamy wyrazy głębokiego współczucia
i przekazujemy słowa otuchy
po śmierci

Brata.

Kierownictwo oraz koleżanki i koledzy z Centrum
Operacyjnego Ministra Obrony Narodowej

Do końca października operatorzy otrzymają kolejną partię granatników RPG-75-TB.

Broń dla GROM-u

Żołnierze Jednostki Wojskowej GROM są wyposażeni w dwa typy jednorazowych ręcznych granatników przeciwpancernych: opracowane przez Saab AT-4 oraz produkowane przez czeski koncern Zeveta Ammunition RPG-75. Do końca października operatorzy otrzymają kolejną partię 68-milimetrowych granatników RPG-75-TB uzbrojonych w głowice termobaryczne. Wążąca nieco ponad 3 kg broń ma zasięg około 300 m i jest w stanie przebić pancerz grubości około 300 mm wykonany ze stali Rha. **RPG-75** różnią się od większości granatników przeciwpancernych tym, że nie są konstrukcją raketową, lecz bezodrzutową. Można z nich strzelać nawet z niewielkich, zamkniętych pomieszczeń. PZ, KW ■



NITRO-CHEM

SŁUŻBA SZUKA ANALITYKA!



Jeśli chcesz uczestniczyć w projektach, które mają realny wpływ na bezpieczeństwo Polski, stanowią podstawę do podejmowania kluczowych decyzji przez najwyższe organy państwowe i zapewniają przewagę Siłom Zbrojnym RP, zostań **ANALITYKIEM** Służby Kontrwywiadu Wojskowego.

PODSTAWOWE ZADANIA:

- » pozyskiwanie, sortowanie, obróbka i analiza informacji w celu tworzenia prognoz i rekomendacji w zakresie bezpieczeństwa państwa,
- » prowadzenie analiz dotyczących zagadnień należących do ustawowej działalności służby, przedstawianie ich wyników kierownictwu służby oraz władzom państwa,
- » współpraca ze służbami specjalnymi i instytucjami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo państwa.



NIEZBĘDNE KOMPETENCJE:

- » umiejętność integracji i interpretacji informacji pochodzących z różnych źródeł,
- » umiejętność wyszukiwania danych w źródłach otwartych,
- » zdolność do myślenia krytycznego, logicznego rozumowania i wyciągania poprawnych wniosków,
- » umiejętność pracy w zespole i pod presją czasu,
- » posługiwanie się programami analitycznymi i bazodanowymi.



CECHY POŻĄDANE:

- » skrupulatność, cierpliwość i dobra organizacja pracy,
- » gotowość do podejmowania wyzwań,
- » umiejętność prowadzenia dyskusji,
- » znajomość języków obcych (preferowane: angielski, rosyjski, białoruski, chiński).

Służba Kontrwywiadu Wojskowego oferuje ciekawą pracę, stabilne warunki zatrudnienia, możliwości rozwoju osobistego oraz zdobycie wyjątkowych umiejętności i wykształcenia.



Aplikację do służby (CV, list motywacyjny z dopiskiem ANALITYK) można składać:

- » osobiście w Biurze Podawczym SKW przy ul. Koszykowej 82 w Warszawie,
- » listownie na adres: Służba Kontrwywiadu Wojskowego, ul. Dłzki 1, 00-909 Warszawa 60,
- » e-mail: rekrutacja@skw.gov.pl

Naszej redakcyjnej koleżance
Kasi Kocon

składamy najserdeczniejsze
wyrazy współczucia
z powodu śmierci

ukochanej Mamy.

Jesteśmy z Tobą, Kasiu.

Koleżanki i koledzy
z Wojskowego Instytutu
Wydawniczego



Macieja Biardzkiego wyróżniono za stworzenie narzędzia, za pomocą którego w prosty i szybki sposób można przenieść dane dotyczące misji na mapę cyfrową.

Najlepszy podoficer NATO

Plut. Maciej Biardzki jest pierwszym Polakiem, który zajmuje się obsługą radaru bezzałogowców rozpoznawczych Global Hawk RQ-4D w Sojuszniczym Komponentie Sił Rozpoznawczych z Powietrza (NATO Allied Ground Surveillance Force) w bazie Sigonella na Sycylii. Do jego zadań należy m.in. planowanie misji rozpoznawczych oraz wykonywanie precyzyjnych zdjęć z powietrza. Polaka wyróżniono za stworzenie narzędzia, za pomocą którego w prosty i szybki sposób można przenieść dane dotyczące misji na mapę cyfrową. „Kiedyś tę pracę wykonywało kilku żołnierzy i zajmowało to trzy lub cztery dni. Teraz jedna osoba jest w stanie wykonać to samo zadanie w kilka godzin”, mówi plut. Biardzki. PZ, MKS ■

A close-up portrait of a middle-aged man with short brown hair and light blue eyes. He is wearing a dark blue suit jacket, a light blue dress shirt, and a red striped tie. He has a slight smile and is looking directly at the camera. The background is a solid dark grey.

GWARANTUJĘ, ŻE KAŻ-
DY, KTO BĘDZIE CHCIAŁ
WSTĄPIĆ W SZEREGI
WOJSKA POLSKIEGO
I SPEŁNI ODPOWIEDNIE
WARUNKI, BĘDZIE MIAŁ
TAKĄ MOŻLIWOŚĆ

ŻOŁNIERZEM SIĘ JEST, NIE BYWA

*Z ministrem obrony narodowej
Mariuszem Błaszczakiem o zaintereso-
waniu służbą wojskową oraz wyzwaniach, jakie stoją
przed żołnierzami, rozmawiają Paulina Glińska
i Magdalena Kowalska-Sendek.*

Jacy ludzie w 2021 roku tworzą polskie siły zbrojne? Kim jest przeciętny polski żołnierz?

Wojsko Polskie jest odbiciem całego społeczeństwa, jego nieodłączną częścią. Oczywiście kandydaci na żołnierzy muszą mieć określone cechy i predyspozycje. Powinny to być osoby o wysokim morale, utożsamiające się z narodem, ojczyzną i wartościami patriotycznymi. Żołnierzem przecież się jest, a nie bywa. I to cały czas, zarówno na służbie, jak i poza nią.

Od momentu powstania wojsk obrony terytorialnej żołnierz to również lekarz, przedsiębiorca, pielęgniarz, listonosz, nauczyciel, student czy rolnik. Dzięki WOT-owi wojsko jest teraz miejscem dla każdego, a służba nie oznacza rezygnacji z kariery zawodowej.

Wielokrotnie powtarza Pan, że armia ma być silniejsza i liczniejsza. Jak osiągnąć ten cel?

Przede wszystkim nie można likwidować jednostek wojskowych, tak jak robili to nasi poprzednicy. Trzeba tworzyć nowe i zachęcać młodych ludzi do wstępowania do służby. Zwiększenie liczebności wojska jest moim priorytetem, dlatego m.in. udało się stworzyć i z powodzeniem certyfikować 18 Dywizję Zmechanizowaną. Działa ona na wschodzie

kraju, gdzie sukcesywnie formuje się nowe jednostki i rozwija już powstałe. Wojsko wraca tam, gdzie było przed laty, np. do Białej Podlaskiej. I znowu wspomnę o WOT, bo formacja ta liczy już niemal 30 tys. żołnierzy. Cały czas powstają nowe brygady i bataliony, jak np. w Limanowej. Praktycznie w każdy weekend odbywa się zaprzysiężenie nowych terytorialsów do służby. Ludzie po prostu chcą być częścią wojska w swoich małych ojczyznach. Gwarantuję, że każdy, kto będzie chciał wstąpić w szeregi Wojska Polskiego i spełni odpowiednie warunki, będzie miał taką możliwość. Cały czas do tego namawiam i szczerze zachęcam.

MON uruchomiło kampanię „Zostań żołnierzem Rzeczypospolitej”. Jakie to dało efekty?

Nie narzekamy na brak chętnych do służby, ale nie osiadamy na laurach. Wręcz przeciwnie, efekty kampanii „Zostań żołnierzem Rzeczypospolitej” są tak obiecujące, że będziemy konsekwentnie rozwijać ten projekt.

Czy wie Pan, jak zmiany w procesie rekrutacji są odbierane przez potencjalnych kandydatów?

Bardzo dobrze. To co wcześniej odstraszało, czyli często kilkumiesięczne oczekiwanie na decyzję, połączone z nawet kilkunastoma wizytami

w wojskowej komendzie uzupełnień, na komisjach lekarskich, u psychologa, teraz zostało zastąpione nowoczesnym, prostym i logicznym procesem rekrutacyjnym. Mamy proaktywną sieć punktów z gotową ofertą służby oraz obieg dokumentów online. Stworzyliśmy portal rekrutacyjny i aplikację zostanzolnierzem.pl. Już zarejestrowało się ponad 26 tys. kandydatów. Teraz cały system jest zdecydowanie lepszy i sprawniejszy, a co najważniejsze przynosi efekty. Krótszy o 140 dni proces rekrutacji, możliwość aplikowania do Wojska Polskiego przez internet, wojskowe centra rekrutacji, w których kandydaci w ciągu jednego dnia załatwią wszystkie niezbędne formalności – to wszystko maksymalnie upraszcza proces naboru.

W ślad za nowym systemem rekrutacji wojsko zdecydowało się też na skrócenie służby przygotowawczej. Dziś wystarczy miesiąc, aby zostać szeregowym zawodowym, a jeżeli kandydat jest absolwentem klasy mundurowej, to nawet kilkanaście dni. Skracanie okresu szkolenia podstawowego nie wpływa niekorzystnie na poziom wyszkolenia kandydatów?

Absolutnie nie. Dołożyliśmy starań, żeby przez skrócenie szkolenia nie utracić jego wartości merytorycznej. Szkolenie podstawowe ma zbudować żołnierza – ukształtować etos służby, wypracować nawyki, nauczyć podstaw, ale również dać szerszą perspektywę. Na szkolenie specjalistyczne przyjdzie czas w docelowej jednostce wojskowej. Już widzimy, że takie podejście się sprawdza. Co ważne, przez te szkolenia odbudowujemy potencjał rezerw naszej armii. A wiemy, że ten obszar był zaniedbywany przez lata.

Czym, Pana zdaniem, kierują się młodzi ludzie, wstępując do wojska?

Nie będzie zaskoczeniem, jeżeli powiem, że powołaniem. Mundur to nobilitacja i zobowiązanie. Młodzi ludzie chcą mieć wpływ na ważne sprawy, a jedną z nich bez wątpienia jest wspólne bezpieczeństwo. Taką możliwość daje służba wojskowa. Ważny jest też aspekt materialny. Służba zapewnia stabilizację finansową i wysoką stopę życiową. Przyznałem dwie duże podwyżki dla żołnierzy, ostatnią w 2020 roku, co powoduje, że średnie uposażenie wynosi ponad 6153 zł, a to blisko 2 tys. więcej niż w 2015 roku. Postarałem się też, by uprawnienia emerytalne nie były przedmiotem dyskusji i spekulacji. Żołnierze mogą czuć się pewnie i optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Nie da się ukryć, że służba wymaga poświęceń i wyrzeczeń. I tak właśnie było w czasie walki

WOJSKU UFA AŻ 83% POLAKÓW. TO NAJWYŻSZY WYNIK WŚRÓD INSTYTUCJI PUBLICZNYCH. TO CIESZY I PO-KAZUJE, ŻE CIĘŻKA I RZETELNA PRACA PROCENTUJE

z pandemią SARS-CoV-2. W szczytowym momencie pandemii w działania przeciwkryzysowe zaangażowane były tysiące żołnierzy. To był szczególny test dla wojsk obrony terytorialnej.

Rzeczywiście, największy test przeszli i przechodzą nadal terytorialsi. To młoda formacja, często ich brygady i bataliony są jeszcze w przygotowaniu, a żołnierze już musieli wyjść na ulice czy do szpitali, żeby udzielać pomocy. Tym bardziej cieszy to, jak dobrze sobie poradzili i jak wysoką dyspozycyjnością i wolą pomocy się wykazali. Stali się nieodzownym elementem całego systemu państwowego walki z koronawirusem oraz równocześnie jednym z jej symboli. Ramię w ramię z WOT-em pracowały wojska operacyjne. Jednostki wojskowe z pełnym oddaniem wspierały lokalne władze. Podobnie nasza służba zdrowia, chemicy i logistycy. W czasie pandemii żołnierze robili praktycznie wszystko. Codziennie, w czasie największej intensywności zakażeń, kilka tysięcy osób ruszało do zadań antycovidowych. Była to praca przy testach, w izbach przyjęć, w szpitalach, w sanepidach, domach pomocy społecznej, ale również jako wsparcie Policji i Straży Granicznej. Żołnierze dostarczali jedzenie, dbali o seniorów i kombatanów, luzowali personel medyczny w placówkach. Byli ważnym spoiwem systemu podczas wszystkich fal pandemii. Wojsko doskonale się sprawdziło, gdy społeczeństwo tego potrzebowało. To jedna z naszych powinności.

Czy, według Pana, zaangażowanie wojska zostało zauważone przez Polaków? Czy przełożyło się na poziom zaufania, jakim rodacy darzą mundurowych?

Oczywiście, wojsku ufa aż 83% Polaków. Jest to najwyższy wynik wśród instytucji publicznych. To cieszy i pokazuje, że ciężka i rzetelna praca procentuje. Polacy muszą się czuć bezpiecznie. Wiedzieć, że ktoś jest na służbie, na dyżurze, i że w razie potrzeby zareaguje. To nasz obowiązek. Zarówno w czasie pokoju, gdy stale musimy zwiększać zdolności obronne, jak i w czasie kryzysu, gdy trzeba wyjść z jednostki, aby pomóc w pobliskim szpitalu. I tu, i tu kluczem jest pewność, że system zadziała sprawnie i na czas.

W jakim stopniu przez ostatnie półtora roku pandemia wpłynęła na szkolenie żołnierzy i ich aktywność, np. w czasie dyżurów bojowych czy patroli saperskich?

W kwestii dyżurów bojowych, gotowości bojowej i mobilizacyjnej oraz zdolności wojsk nie ma kompromisów. Wyjątkiem nie może być nawet czas pandemii. Stawka jest zbyt wysoka, by z czegokolwiek rezygnować lub obniżać standardy. Co do szkolenia to naturalną rzeczą było dostosowanie się do wymogów epidemicznych. W czasie kryzysu udało nam się zrealizować dwa wyjątkowo ważne ćwiczenia wojskowe – sojuszniczy „Defender” w ubiegłym roku oraz certyfikujący 18 Dywizję Zmechanizowaną „Dragon” w połowie tego. Ćwiczenia i szkolenia prowadzone w czasie epidemii dodatkowo testowały działanie dowództw i wojsk w warunkach niezaplanowanych ograniczeń i zmian. Jestem zadowolony z efektów. Często spotykam się z żołnierzami na poligonach i słyszę od nich, że epidemia nas nie pokonała, że przetrwaliśmy i jesteśmy jeszcze silniejsi. Tak też o tym myślę.

Epidemiolodzy zapowiadają, że pandemia przybierze na sile jesienią. Czy jeśli będzie taka potrzeba, to żołnierze ponownie będą wspierać służbę zdrowia?

To oczywiste. Żołnierze będą gotowi, to mogę obiecać.

Mimo trudności wywołanych przez COVID-19 nasi żołnierze przez cały czas pełnili służbę poza granicami kraju. Wykonują swoje obowiązki na Bałkanach, we Włoszech, Iraku czy Libanie, a do niedawna byli w Afganistanie.

Epidemia wpłynęła na nasze PKW w pewnym stopniu, gdyż jak wiadomo, wirus nie respektuje granic. Zagrożenie było i jest wszechobecne. W samej działalności naszych misji zmieniło się to, że dostosowano codzienność przedcovidową do tej epidemicznej, czyli wprowadzono restrykcje, również dotyczące kontaktów lokalnych. Zawiesiliśmy działalność doradczą w Afganistanie i Iraku, bo wiązała się ze znacznym ryzykiem transmisji zakażeń. Niemniej jednak kontyngenty utrzymały swoje zdolności i wymaganą gotowość. Działały zgodnie z mandatem.

Pod koniec czerwca, po blisko 20 latach obecności w Afganistanie, polscy żołnierze opuścili ten kraj. Niedawno powiedział Pan, że oprócz operacji w Iraku to właśnie ta misja była największym wyzwaniem, z jakim

musiała się zmierzyć polska armia po II wojnie światowej. Co zdecydowało o jej zakończeniu?

To była decyzja Sojuszu Północnoatlantyckiego. NATO musi tworzyć kolektyw i działać solidarnie. Jeśli gdzieś wysyłamy swoje wojska, robimy to razem. W drugą stronę musi to działać analogicznie. Tylko tak buduje się silny i solidny sojusz. Afganistan jest już dla nas historią. Polscy żołnierze profesjonalnie wykonali swoje zadania i wrócili do domów z podniesioną głową.

Czy, wzorem Afganistanu, możemy się spodziewać zakończenia misji w Iraku?

Nie ma na teraz takich planów, a poza tym, jak wspomniałem wcześniej, ewentualne decyzje podejmujemy w gronie sojuszniczym. Na razie zostajemy bez zmian i polscy żołnierze będą obecni w Iraku.

W jakim stopniu Afganistan zmienił Wojsko Polskie?

20 lat misji Wojska Polskiego to opowieść o bohaterstwie i braterstwie na polu walki, ale również o konieczności szybkiego dostosowywania się oraz działania w warunkach wcześniej nieznanych, w innym środowisku, kulturze, klimacie, ale jednocześnie przy wysokim poziomie gotowości. Ta misja to również historia modernizacji armii i zmian w szkoleniu. Po dwóch dekadach na pewno można stwierdzić, że nasze siły zbrojne są operacyjnie na zupełnie innym poziomie, co dobitnie potwierdził fakt oddania podczas misji amerykańskiego batalionu pod polskie dowództwo. Amerykanie robią tak tylko wtedy, gdy darzą sojusznika najwyższym zaufaniem. To dobre świadectwo tych 20 lat.

A jak Afganistan wpłynął na wyposażenie i uzbrojenie polskiego wojska?

Misja w Afganistanie zbliżyła nas do najsilniejszych sojuszników. Działaliśmy z nimi ramię w ramię każdego dnia. Poznawaliśmy ich procedury i przenosiliśmy te doświadczenia na nasz grunt. Konieczne było również dostosowanie się poziomem do sojuszników, jeśli chodzi o sprzęt, elementy szkolenia, wyposażenie indywidualne żołnierzy. Dlatego m.in. nastąpiła ewolucja transportera Rosomak, rozwój sprzętu minerskiego czy nowych zdolności dronów, wprowadzono też nowe karabinki Beryl. Postęp dokonał się praktycznie w każdym aspekcie wyposażenia i uzbrojenia.

Zobowiązań sojuszniczych przybywa. Od maja nasi żołnierze stacjonują w Turcji.

W ramach tej misji obserwacyjnej nasz kontyngent działa w rejonie Morza Śródziemnego i Morza Czarnego. Polscy żołnierze współdziałają z zespołami morskimi NATO. W razie potrzeby mają zapewnić im wsparcie. Ta misja to kolejny dowód na wysoką ocenę naszych wojskowych, zwłaszcza że odbywa się w pobliżu granic państwowych, za którymi cały czas tli się konflikt. Dostaliśmy od NATO kolejne odpowiedzialne zadanie, gdyż mamy coraz większe znaczenie w Sojuszu Północnoatlantyckim. ■

**TEMAT
NUMERU**

/ SŁUŻBA



WOJSKO JAK MAGNES

**Droga do armii zawodowej jeszcze
nigdy nie była tak krótka. Coraz więcej osób z tego
korzysta i wstępuje do wojska.**

PAULINA GLIŃSKA

MICHAŁ NIWICZ





BARTEK GRADKOWSKI / 15 BZ

P

ierwsza myśl związana z mundurem pojawiła się w mojej głowie w szkole średniej. Po maturze złożyłam dokumenty do Policji, ale nie udało mi się tam dostać. Wybrałam więc bezpieczeństwo narodowe w Społecznej Akademii Nauk w Łodzi, a po ukończeniu studiów postawiłam na wojsko”, opowiada ppor. Hiacynta Lichańska. W 2017 roku zgłosiła się do wojskowej komendy uzupełnień, w kolejnym roku rozpoczęła trwającą wówczas cztery miesiące służbę przygotowawczą w Centrum Szkolenia Łączności i Informatyki w Zegrzu. „Nie było łatwo, ale musiałabym chyba nogę złamać, by zrezygnować”, żartuje ppor. Lichańska. W kolejnym roku dwukrotnie wzięła udział w ćwiczeniach rezerwy i, jak przyznaje, wojsko zaczęło ją coraz bardziej wciągać. Potem był czteromiesięczny kurs oficerski dla rezerwistów w Wojskowej Akademii Technicznej, a po ukończeniu kolejnych ćwiczeń – promocja oficerska na stopień podporucznika rezerwy. Dziś nie żałuje podjętej decyzji. Spełniła swoje marzenie i od roku jest żołnierzem zawodowym w Centrum Rozpoznania i Wsparcia Walki Radioelektronicznej.

WSZYSTKO W JEDEN DZIEŃ

Szeregi polskiej armii sukcesywnie rosną. Według danych Ministerstwa Obrony Narodowej, od 2015 roku liczba żołnierzy zawodowych wzrosła z 95 tys. do 110 tys.

Wzrost liczebności wojska jest jednym z głównych priorytetów resortu. Plany w tym zakresie są ambitne. Zgodnie z kierunkami rozwoju Sił Zbrojnych RP w ciągu 15 lat armia ma li-

W OSTATNICH CZTERECH LATACH PONAD TYSIĄC FUNKCJONARIUSZY INNYCH SŁUŻB WYBRAŁO WOJSKO JAKO PLAN NA ŻYCIE

czyć 200 tys., a nawet 250 tys. żołnierzy, w tym 150 tys. zawodowców. MON chce osiągnąć ten cel różnymi sposobami. Już w 2018 roku została zainaugurowana kampania rekrutacyjna „Zostań żołnierzem Rzeczypospolitej”. Ministerstwo podejmuje też wiele innych działań, mających zachęcić do wstępowania do armii. Jedną z kluczowych kwestii stała się ta dotycząca naboru ochotników. Już ponad dwa lata temu przedstawiciele resortu dostrzegli, że obowiązujące zasady rekrutacji, w tym skomplikowane procedury, badania prowadzone w różnych miejscach i czasie oraz trwające wiele miesięcy oczekiwanie ochotników na powołanie, zniechęcają kandydatów. Z tych powodów rezygnowało około 40% z nich.

Rozwiązaniem tego problemu zajęło się m.in. Biuro ds. Programu „Zostań żołnierzem Rzeczypospolitej”. W efekcie we wrześniu 2020 roku powstał nowy system rekrutacji. Zdaniem wielu teraz jest zdecydowanie łatwiej dostać się do wojska. „Najpierw zarejestrowałam się na nowym portalu rekrutacyjnym, a niedługo potem dostałam informację o miejscu i dacie stawienia się w wojskowym centrum rekrutacji. Tam dopełniłam wszelkich formalności: przesłam badania, rozmowy kwalifikacyjne. Wszystko odbyło się w ciągu jednego dnia”, podkreśla Paulina Brzyska, która teraz jako pracownik cywilny jest pomocą kucharza w 16 Wojskowym Oddziale Gospodarczym w Olesznie. Choć wcześniej myślała o wstąpieniu do wojska, przyznaje, że dopiero w listopadzie, gdy wróciła po urlopie macierzyńskim i dowiedziała się o zmianach, zaczęła na poważnie rozważać swój pomysł.

TO BYŁ IMPULS

Oprócz nowego systemu naboru magnesem przyciągającym do armii stało się dla wielu ochotników skrócenie służby przygotowawczej. „Wcześniej sporo osób, zwłaszcza pracujących, nie mogło sobie pozwolić na to, by na cztery miesiące rzucić wszystko i przyjść na szkolenie. Na przeszkodzie stawały względy zawodowe i prywatne.



St. szer. pchor. KINGA TOMASZEK: „Moje marzenia właśnie się spełniają. Mam świadomość, że wybrałam niełatwą drogę, ale myślę, że jest ona warta każdego wysiłku, by w przyszłości móc robić to, co się kocha”.

Teraz, gdy służba trwa miesiąc, łatwiej jest to wszystko pogodzić. Wielu przychodzi, by sprawdzić, czy wojsko to faktycznie oferta dla nich”, mówi ppłk Mariusz Muskus, komendant WKU na warszawskim Mokotowie. Dodaje też, że dla niektórych odbycie takiego szkolenia staje się pierwszym krokiem do armii zawodowej. Tutaj wojsko również wyszło naprzeciw oczekiwaniom chętnych do służby i sprawiło, że droga do zawodowstwa stała się krótka jak nigdy dotąd.

Już w trakcie służby przygotowawczej, a nie dopiero po jej zakończeniu, chętni mogą zgłosić akces do armii zawodowej. Tak zrobiła szer. Anna Zimniewicz. Wykonała niezbędne badania, a potem z niecierpliwością oczekiwała na podpisanie kontraktu. Od 30 czerwca jest kierownicą - radiotelefonistą w 12 Brygadzie Zmechanizowanej. „Trafiłam do jednostki, w której odbywałam szkolenie, więc adaptacja była łatwiejsza. Teraz, choć na razie mam na głowie sprawy organizacyjne, cieszę się, że zrealizowałam swój plan”, przyznaje. Zanim pomyślała o zawodzie żołnierza, pracowała w branży turystycznej. Rok pracy zdalnej mocno dał się jej jednak we znaki. „Miałam dość siedzenia za biurkiem, potrzebowałam aktywności fizycznej. To wtedy zarejestrowałam się na portalu rekrutacyjnym”, mówi szer. Zimniewicz.

Paulina Brzyska przyznaje, że na 105 osób, które razem z nią odbywały służbę przygotowawczą, aż 70 zgłosiło akces do zawodowej. Ona sama zrobiła to po zakończeniu szkolenia. „Podczas badań okazało się, że wada wzroku wyklucza mnie ze służby zawodowej, ale na szczęście możliwa jest korekcja. Już umówiłam się na operację, a zaraz po niej złożę dokumenty. Mam nadzieję, że niebawem podpiszę kontrakt”, mówi ochotniczka.

W armii zawodowej od 1 lipca jest szer. Karol Hajdasz, w cywilu mechanik samochodowy, w wojsku – strzelec w 2 Brygadzie Zmechanizowanej w Złocieńcu. „To był impuls, chciałem po prostu się sprawdzić. Już w czasie służby przygotowawczej postanowiłem kontynuować przygodę

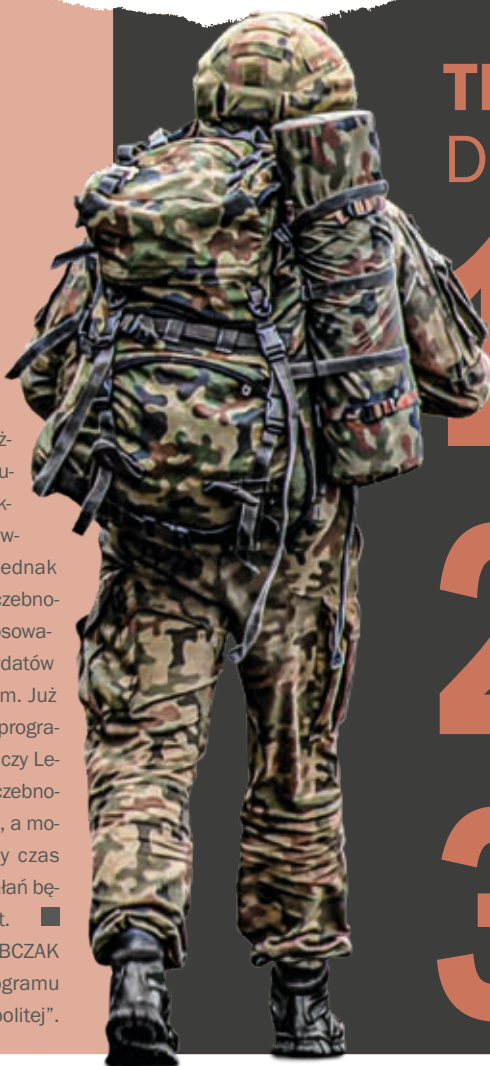


KOMENTARZ

ARTUR DĘBCZAK

Wprowadzenie nowego systemu rekrutacji, zwłaszcza w czasie pandemii, okazało się potężnym wyzwaniem. Było warto, bo formuła, którą dziś w rekrutacji stosuje większość cywilnych firm i korporacji, sprawdziła się także w wojsku. Musimy jednak pamiętać, że nie da się zwiększyć liczebności armii z dnia na dzień. Oprócz stosowania zachęt dla potencjalnych kandydatów musimy też działać z wyprzedzeniem. Już dziś uczniowie oraz studenci objęci programami dotyczącymi klas wojskowych czy Legii Akademickiej to pod względem liczebności kolejna dywizja Wojska Polskiego, a może nawet dwie. Ten potencjał cały czas rośnie i sądzę, że efekty naszych działań będziemy mogli obserwować za kilka lat. ■

Gen. bryg. ARTUR DĘBCZAK
jest dyrektorem Biura ds. Programu
„Zostań żołnierzem Rzeczypospolitej”.



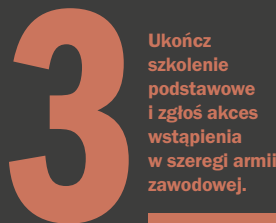
TRZY KROKI DO MUNDURU



Wejdź na stronę zostanzolnierzem.pl i wpisz niezbędne dane.



W wyznaczonym miejscu i terminie odwiedź wojskowe centrum rekrutacji i tam w jeden dzień załatw niezbędne formalności.



Ukończ szkolenie podstawowe i zgłoś akces wstąpienia w szeregi armii zawodowej.

z mundurem”, wyznaje szeregowy. Dziś wdraża się w nowe obowiązki. „Jestem przekonany, że właśnie w wojsku będę się mógł rozwijać. Poza tym bardzo dobrze czuję się w mundurze”, podkreśla szer. Hajdasz.

Osób zainteresowanych wojskiem wciąż przybywa. Do końca czerwca liczba aktywnych kont na portalu rekrutacyjnym wyniosła ponad 27,5 tys. Sukcesywnie zwiększa się też liczba chętnych odbywających służbę przygotowawczą. W 2019 roku armia przeszkoliła 7629 ochotników, a w ubiegłym, gdy wszyscy mierzyli się z pandemią, wojsku udało się powołać na szkolenie 9967 kandydatów, w tym aż 6278 osób na podstawie nowej formuły. Wszystko wskazuje na to, że ten rok będzie rekordowy pod względem liczby szkolonych – już teraz to 7863 ochotników. „Dane statystyczne z terenu naszej WKU tylko potwierdzają, że system się sprawdza. Ludzie chętniej przychodzą i rzadko się zdarza, by ktoś zrezygnował na etapie rekrutacji. Jeśli już odpadają, to najczęściej z powodu orzecznictwa. Ale cóż, wojsko to zawód wymagający dobrego zdrowia

i odporności psychicznej, więc te warunki kandydat absolutnie musi spełnić”, mówi ppłk Muskus.

NIE ŁADA WYZWANIE

Sukcesywnie rośnie też liczba miejsc na studiach wojskowych. „O ile w roku 2014 i w latach wcześniejszych akademie przyjmowały 300–500 kandydatów rocznie, o tyle począwszy od 2015 roku miejsc z każdym rokiem przybywa”, informują przedstawiciele MON-u. W 2016 roku uczelnie przyjęły 824 osoby, w 2017 – 1226, w 2018 – 1435, w 2019 – 1632, a w 2020 – 1611 chętnych. W październiku rok akademicki z kolei będzie mogło rozpocząć 1625 przyszłych oficerów. Ochotników decydujących się na taką drogę do munduru nie brakuje, a zainteresowanie studiami wojskowymi w czterech wojskowych akademiach (techniczna w Warszawie, marynarki wojennej w Gdyni, wojsk lądowych we Wrocławiu i lotnicza w Dęblinie) od lat nie słabnie.

„To na pewno nie jest droga na skróty. Studia wojskowe to lata wyrzeczeń, ciężkiej pracy, specjalistycznego szkolenia.



WIĘKSZE MOŻLIWOŚCI SZKOLENIOWE

Zwiększenie liczebności armii nierozdzielnie wiąże się także z awansami szeregowych zawodowych do korpusu podoficerskiego.

Po ukończeniu szkolenia, zdobyciu stopnia kaprała i wyznaczeniu na stanowisko podoficerskie żołnierz niejako uwalnia dotychczasowe stanowisko w korpusie szeregowych zawodowych, które może zająć kolejny ochotnik. Liczba szeregowych zawodowych przechodzących do korpusu podoficerskiego systematycznie wzrasta. W 2020 roku (w warunkach restrykcji związanych z pandemią) kursy podoficerskie ukończyło aż 1828 szeregowych, w tym – do końca maja – 1376 żołnierzy najniższego korpusu. W bieżącym roku MON planuje, że liczba żołnierzy, którzy zmienią korpus szeregowych zawodowych na podoficerski, przekroczy 2 tys. ■

ROBERT SUCHY / CO MON

WE WRZEŚNIU 2020 ROKU POWSTAŁ NOWY SYSTEM REKRUTACJI. DZIĘKI SKRÓCONYM I UPROSZCZONYM PROCEDUROM NABORU DO ARMII ZAWODOWEJ MOŻNA SIĘ TERAZ DOSTAĆ DUŻO SZYBCIEJ

Nie każdy byłby w stanie temu podołać, tym bardziej że u nas już sama rekrutacja jest nie lada wyzwaniem”, tłumaczy mjr Marek Kwiatek, rzecznik prasowy Lotniczej Akademii Wojskowej. Od kandydatów na pilotów wymagane są nie tylko dobrze zdana matura, świetna kondycja fizyczna i znakomite zdrowie, ale też zaliczenie szkolenia selekcyjnego sprawdzającego predyspozycje do służby w powietrzu. Tak wysoko postawiona poprzeczka nie zniechęca jednak kandydatów – tylko w tym roku o 70 miejsc na kierunkach „lotnych” ubiegało się niemal pół tysiąca osób.

W gronie podchorążych Szkoły Orłąt od października ubiegłego roku jest st. szer. pchor. Kinga Tomaszek, absolwentka Ogólnokształcącego Liceum Lotniczego w Dęblinie, a obecnie studentka kierunku lotnictwo i kosmonautyka w specjalności pilot samolotów odrzutowych. „W szkole średniej przesłam szkolenie szybowcowe, zaliczyłam skoki spadochronowe, chodziłam w mundurze. Traktowałam to jako przygotowanie do przyszłego zawodu, bo już wtedy wiedziałam, że chcę nosić mundur i pilotować statki powietrzne”, mówi. Dziś łączy obie pasje. „Moje marzenia właśnie się spełniają. Mam świadomość, że wybrałam niełatwą drogę, ale myślę, że jest ona warta każdego wysiłku, by w przyszłości móc robić to, co się kocha”.

TO JEST MOJE POWOŁANIE

Ci, którym marzą się oficerskie gwiazdki, mogą też wybrać nieco krótszą drogę, biorąc udział w kursach oficerskich. Choć liczba miejsc i specjalności jest ograniczona – szkolą się tu m.in. kandydaci do wojsk pancerno-zmechanizowanych, rozpoznania, ale też przyszli wojskowi lekarze, prawnicy czy finansisci – oferta cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem. W 2019 roku absolwentami studium oficerskiego zostało 138 osób, rok później – 79, w tym akademie przygotowały w sumie 105 miejsc.

Możliwość zostania zawodowcem po ukończeniu kursu mają także cywile. „Choć głównym źródłem naboru do korpusu podoficerskiego są szeregowi zawodowi, bywa, że wśród nich brakuje kandydatów z niezbędnymi na danym stanowisku kompetencjami czy wykształceniem, potrzebnym głównie w niszowych specjalnościach, jak: orkiestry i zespoły estradowe, cyberbezpieczeństwo, ratownictwo medyczne, ruch lotniczy czy eksploatacja systemów informatycznych. Wtedy, jako uzupełnienie, armia sięga po cywilnych ochotników”, przyznaje st. chor. sztab. Andrzej Woltmann, starszy podoficer Sztabu Generalnego WP. W 2018 roku kaprałami zostało 137 osób, ➔

rok później – 244, w 2020 roku – 365. W tym roku w tego rodzaju szkoleniu w szkołach podoficerskich: sił powietrznych w Dęblinie, wojsk lądowych w Poznaniu, marynarki wojennej w Ustce oraz WOT „Sonda” w Zegrzu, będzie mogło wziąć udział aż 428 cywilów.

Jednym z ochotników jest Daniel Florkowski, absolwent studiów licencjackich z bezpieczeństwa wewnętrznego w Wyższej Szkole Bankowej w Poznaniu. „Bardzo ważne są dla mnie wartości patriotyczne i chcę iść do armii, bo to jest moje powołanie. Poza tym interesuję się lotnictwem, a moim marzeniem jest służba w 7 Eskadrze Działań Specjalnych w Powidzu [więcej na temat specyfiki służby w tej jednostce na str. 50–55]. Dęblińska szkoła jest miejscem, które może mnie do tego najlepiej przygotować”, wyjaśnia. Podoficerem chce zostać także Patryk Krajewski, absolwent wychowania fizycznego na Uniwersytecie Szczecińskim. Po ukończeniu studiów wrócił w rodzinne strony, do Złocieńca, i po odbyciu szkolenia został wychowawcą w zakładzie karnym. „W moim otoczeniu wielu ludzi pracuje w służbach mundurowych, a z żołnierzami gram na przykład w klubie piłkarskim. Niektórzy namawiali mnie na wojsko, w końcu pomyślałem: czemu nie?”, mówi. Przyznaje, że w razie niepowodzenia ma plan B. „Jako starszy szeregowy służby więziennej mogę bez konieczności odbywania służby przygotowawczej wziąć udział w kwalifikacjach do korpusu szeregowych którejs z jednostek wojskowych. Wierzę jednak, że dane mi będzie zostać kapralem”.

ROBERT SUCHY / CO MON



NAJLEPSZA DECYZJA W ŻYCIU

Drzwi do armii otwarte są też dla rezerwistów. Szeregi zasilają żołnierze narodowych sił rezerwowych – w latach 2018–2021 zawodowcami zostało ponad 4 tys. z nich – byli mundurowi oraz ci, którzy służbę przygotowawczą ukończyli jeszcze przed wprowadzeniem nowego systemu rekrutacji. Wśród tych ostatnich jest kpr. Kinga Siennicka, która służbę przygotowawczą w korpusie podoficerskim odbyła na początku 2020 roku. „Wcześniej pracowałam jako cywil w Straży Granicznej, ale w pewnym momencie zapragnęłam czegoś więcej. Zgłosiłam się do WKU, szkolenie odbyłam w Poznaniu, potem wzięłam udział w ćwiczeniach wojskowych 18 Dywizji Zmechanizowanej. Uznałam, że dobrze sobie radzę i jako kapral rezerwy złożyłam dokumenty do służby zawodowej. Jestem w niej od 12 lipca”, opowiada. Rezerwiści chętnie korzystają z możliwości podjęcia służby zawodowej: w ostatnich trzech latach do armii wstąpiło ich niemal 14 tys., a tylko w tym roku już ponad 3,7 tys.

Wojsko jako plan na życie w ostatnich czterech latach wybrało też ponad tysiąc funkcjonariuszy innych służb. Wśród nich st. chor. sztab. Ewa Wilk. „Mój tata był żołnierzem zawodowym i chciałam iść w jego ślady. Niestety w czasach, gdy zdawałam maturę, kobiet nie przyjmowano na wojskowe uczelnie”, tłumaczy. Ukończyła więc studia inżynierskie na kierunku geodezja i kartografia na Politechnice Warszawskiej, a potem, po odbyciu szkolenia przygotowawczego i kursu chorążych, trafiła do Straży Granicznej. W formacji

DRZWI DO ARMII SĄ OTWARTE TAKŻE DLA REZERWISTÓW. SZEREGI ZASILAJĄ ŻOŁNIERZE NARODOWYCH SIŁ REZERWOWYCH, BYLI MUNDUROWI ORAZ CI, KTÓRZY SŁUŻBĘ PRZYGOTOWAWCZĄ UKOŃCZYLI JESZCZE PRZED WPROWADZENIEM NOWEGO SYSTEMU REKRUTACJI

służyła 17 lat. W końcu postanowiła zrealizować zakładany od dawna plan. Na jej decyzję miały wpływ m.in. możliwości rozwoju, jakie oferuje armia. „Okazało się, że w wojsku będę mogła połączyć swoje zainteresowania z wykształceniem”, podkreśla. W październiku trafiła do 22 Wojskowego Ośrodka Kartograficznego w Komorowie. „Myślę, że była to jedna z najlepszych decyzji w moim życiu. W końcu mam poczucie, że jestem w miejscu, w którym powinnam być”, przyznaje st. chor. sztab. Wilk.



Mówiąc o wzroście liczebności armii, nie sposób nie wspomnieć o wojskach obrony terytorialnej. Rosnące szeregi formacji liczą dziś około 30 tys. osób, w tym ponad 25,7 tys. terytorialsów. Dla części z nich jest to pierwszy etap do zostania zawodowcem. W 2018 roku taką decyzję podjęło 109 terytorialsów, rok później – 180, w 2020 roku – 321, a w tym, jak dotąd 131. Taki plan od dawna miał kpr. Adam Jabłoński. Zanim jednak go zrealizował, wstąpił do WOT-u. „Początkowo służbę w 12 Wielkopolskiej Brygadzie Obrony Terytorialnej traktowałem jako okazję do tego, żeby się sprawdzić. Szybko jednak się przekonałem, że mimo świetnych szkoleń, pracy na nowoczesnym sprzęcie, służba w charakterze terytorialsa już mi nie wystarczy”, przyznaje kpr. Jabłoński. Już po pierwszym roku zaczął dopytywać przełożonych o możliwości rozwoju zawodowego. „Wiedziałem, że to niełatwa droga i że ścieżkę awansu trzeba sobie wydeptywać samemu, krok po kroku, ciężką pracą i codzienną służbą. Myślę, że moje zaangażowanie zostało docenione, bo przełożeni skierowali mnie na kurs podoficerski terytorialnej służby wojskowej”, opowiada kpr. Jabłoński. Po jego ukończeniu zgłosił akces do służby zawodo-

wej. Od grudnia ubiegłego roku służy w 124 Batalionie Lekkiej Piechoty w Śremie jako dowódca sekcji przeciwpancernej.

WYSTARCZY MOCNO CHCIEĆ

O wzroście liczebności armii mają jednak decydować nie tylko powstające jednostki czy prostsza droga do tego, żeby zostać żołnierzem. Grupą, na której szczególnie zależy resortowi obrony, jest młodzież. Do nich właśnie MON kieruje m.in. koordynowane przez Biuro ds. Programu „Zostań żołnierzem RP” programy dotyczące certyfikowanych wojskowych klas mundurowych (CKWM, zastępowane przez powstałe w 2020 roku oddziały przygotowania wojskowego) oraz Legii Akademickiej. Ten pierwszy ruszył w 2017 roku i jest obecnie realizowany w około 200 szkołach średnich w całej Polsce. Placówki te prowadzą klasy wojskowe według programu nauczania uzupełnionego o przygotowanie do służby. Absolwenci takich klas mogą liczyć na ułatwienia w naborze do armii: są premiowani podczas rekrutacji do wojskowych akademii czy w szeregach WOT-u, mają też możliwość odbycia skróconej – od tego roku 12-dniowej – służby przygotowawczej. Wielu absolwentów chętnie z tych bonusów korzysta. W I i II edycji CWKM szkolenie w ramach skróconej służby przygotowawczej odbyło ponad 700 absolwentów, a w tym roku wnioski o powołanie złożyły 854 osoby. Wśród nich szer. rez. Andrzej Krzyżaniak, tegoroczny absolwent I Liceum Ogólnokształcącego PUL im. 111 Eskadry Myśliwskiej w Wołominie. „Zdecydowałem się na służbę przygotowawczą, by, po pierwsze, zdobyć nowe doświadczenia, a po drugie, uzyskać dodatkowe punkty jako rezerwista podczas rekrutacji do Akademii Wojsk Lądowych. Taką bowiem drogę do zostania żołnierzem zawodowym wybrałem”, mówi. Otwarte drzwi do armii zawodowej mają także ci, którzy w trakcie studiów zgłosili się do programu „Legia Akademicka”. Od 2017 roku 7,4 tys. osób ukończyło szkolenie w ramach modułu podstawowego, z czego 5,8 tys. po module podoficerskim zostało mianowanych na stopień kaprała. W tym roku 58 najlepszych osób otrzymało możliwość wzięcia udziału w pierwszym w historii module oficerskim.

Służba ojczyźnie, stabilne zatrudnienie, szansa rozwoju zawodowego, okazja do sprawdzenia się – to tylko wybrane powody, dla których młodzi ludzie decydują się na włożenie munduru. „Wojsko Polskie oferuje wszystkie te możliwości. Każdy chętny może więc znaleźć swoje miejsce w armii. Wystarczy mocno chcieć”, mówi ppor. Lichańska. ■



Ppor. HIACYNTA LICHANŚKA: „Po maturze złożyłam dokumenty do Policji, ale nie udało mi się tam dostać. Wybrałam więc bezpieczeństwo narodowe w Społecznej Akademii Nauk w Łodzi, a po ukończeniu studiów postawiłam na wojsko”.



WOJSKO WYSZŁO Z KOSZAR I POD- JĘŁO AKTYWNE DZIAŁANIA PRO- MOCYJNE



Sposoby na pełne szyki

Cywilne korporacje nieustannie szukają nowych pomysłów na przyciągnięcie pracowników. A jak armia dociera do potencjalnych kandydatów?

PAULINA GLIŃSKA

Pierwsze w historii społeczne kampanie reklamowe wojsko przygotowało w 2008 roku. W całej Polsce pojawiło się wówczas 2 tys. plakatów wielkoformatowych oraz 600 miniboardów z plakatem znanego grafika Andrzeja Pągowskiego przedstawiającym wizerunki żołnierzy. Elementem kampanii był także 30-sekundowy spot reklamowy emitowany w telewizji publicznej. Przedsięwzięcie związane z profesjonalizacją sił zbrojnych oraz planowanym całkowitym zawieszeniem poboru miało zachęcić młodych ludzi do służby oraz promować zawód żołnierza.

Podobne działania promocyjne są potrzebne także dziś, gdy polska armia ma być coraz liczniejsza. Przedstawiciele wojska wiedzą jednak, że ulotka czy plakat już nie wystarczą, by przyciągnąć chętnych. Podejmowanych jest więc wiele róż-

norodnych inicjatyw, które mają zachęcić młodych ludzi do włożenia munduru.

WYCHODZĄ DO LUDZI

W 2018 roku zainicjowano kampanię „Zostań żołnierzem Rzeczypospolitej”. Jej kluczowym przesłaniem stało się to, by nie czekać na chętnych, lecz wyjść z koszar i podjąć aktywne działania promocyjne. Do pracy ruszyły więc mobilne zespoły rekrutacyjne, złożone m.in. z żołnierzy lokalnych jednostek, wojskowych komend uzupełnień oraz wojewódzkich sztabów wojskowych, a także przedstawicieli i podchorążych wojskowych akademii. Można ich było spotkać np. w centrach handlowych, na dworcach kolejowych i autobusowych, a ponadto na organizowanych w całej Polsce piknikach pod hasłem

NA WIELKIM EKRANIE

Tegorocznym piknikiem organizowanym pod hasłem „Zostań żołnierzem Rzeczypospolitej” towarzyszą wojskowe kina plenerowe. Projekcje filmowe będą się odbywały w sobotnie wieczory do 4 września 2021 roku. Będzie można zobaczyć takie filmy, jak m.in. „Miasto 44” czy „Karbala”. ■





MACIEJ NIEDZYŃSKI/CO MON

Korzystając m.in. z doświadczeń Gwardii Narodowej USA, terytorialiści przeprowadzili akcje promocyjne i rekrutacyjne w miejscach publicznych, np. w galeriach handlowych.

„Zostań żołnierzem Rzeczypospolitej”. Od wojskowych rekruterów ochotnicy mogli otrzymać informacje o służbie wojskowej w wielu jej formach.

W tym roku okazji do spotkań z żołnierzami też będzie niemało. Pikniki na stałe bowiem wpisały się już w wojskowy kalendarz. Swoją udział w organizacji tych wydarzeń będą miały m.in. jednostki wojskowe oraz WKU. „Wojsko nie jest oderwane od rzeczywistości i podobnie jak inne firmy funkcjonuje na konkurencyjnym dziś rynku pracy. Nie jesteśmy jedynym elementem w szeroko pojętej sferze bezpieczeństwa – są także inne służby mundurowe zabiegające o to, by uzupełnić swoje szczyty. Nie możemy siedzieć z założonymi rękoma i czekać, aż ochotnicy do nas przyjdą. Jesteśmy więc otwarci, wychodzimy do ludzi, rozmawiamy z nimi”, mówi mjr Bogdan Zalewski, zastępca komendanta Wojskowej Komendy Uzupełnień na warszawskim Mokotowie.

Przedstawiciele terenowych organów administracji wojskowej są wszędzie tam, gdzie może znaleźć się ich przyszły pracownik. Cyklicznie uczestniczą w targach pracy i edukacyjnych, spotkaniach w szkołach, a swoje stoiska promocyjno-informacyjne wystawiają także podczas obchodów świąt narodowych i jednostek wojskowych czy festynów charytatywnych. „Zawsze wtedy są z nami żołnierze zawodowi z miejscowych jednostek. Młodzi ludzie mogą porozmawiać z nimi o ich doświadczeniach, perspektywach rozwoju czy ścieżkach kariery. Ale żołnierze nie tylko przekazują informacje, lecz także doradzają, jak dany człowiek może pokierować swoją karierą zawodową w wojsku”, mówi Joanna Lipka, rzecznik prasowy wojskowego komendanta uzupełnień w Szczecinku.

NA PRZEKÓR PANDEMII

W prowadzonych działaniach promocyjnych wojsko szczególnie bierze pod uwagę grupę docelową, do której kieruje

ofertę służby. Potencjalnymi kandydatami są głównie młodzi ludzie, których podstawowym źródłem wiedzy jest internet. Dlatego armia celuje w takie formy komunikacji, które najbardziej do nich przemawiają: Facebook, Instagram, YouTube czy Spotify. W ubiegłym roku, wzorem cywilnych korporacji, wprowadziła nowoczesne narzędzia umożliwiające aplikowanie w szeregi: internetowy portal rekrutacyjny Zostań żołnierzem.pl oraz będąca jego uzupełnieniem aplikację. „Wcześniej każdy, kto myślał o wojsku, musiał co najmniej kilka razy odwiedzić WKU, a cała procedura rekrutacyjna opierała się na bezpośrednim kontakcie z ochotnikiem. Dziś kontakt jest ograniczony do niezbędnego minimum, a gros rzeczy, w tym także obieg dokumentów czy wstępne szkolenie teoretyczne, odbywa się online”, przyznaje mjr Zalewski.

Paradoksalnie wiele dobrego w kwestii promocji wojska zadziało się w ostatnim roku, gdy wszystkim przyszło mierzyć się z pandemią. Nie dość, że armia szybko przestawiła się na komunikację z ochotnikami w trybie online, to jeszcze wiele działań w przestrzeni wirtualnej zostało przyspieszonych. „Sądziliśmy, że wprowadzone obostrzenia ograniczające kontakty międzyludzkie zamrozą naszą działalność informacyjną. Tymczasem stało się zupełnie odwrotnie. Ta sytuacja obudziła w nas dużą kreatywność i, co najważniejsze, uświadomiła nam, że możemy skorzystać z wielu dotychczas nieużywanych narzędzi, niewymagających jakiegokolwiek finansowania. Ruszyliśmy więc do akcji”, mówi ppłk Waldemar Krzyżanowski, szef Wydziału Komunikacji Biura do spraw Programu „Zostań żołnierzem Rzeczypospolitej”. Efekty? Ponad 120 filmów, 50 webinarów, wideoblogi, podcasty, audycje telewizyjne w ramach wirtualnego studia. „Powstały m.in. materiały pokazujące osoby, które spełniły wielkie marzenia o służbie. Na konkretnych przykładach można było się przekonać, że wojsko zapewnia możliwości rozwoju i kształcenia”, przyznaje ppłk Krzyżanowski. ■



15 SIERPNIA
ŚWIĘTO WOJSKA POLSKIEGO
DZIĘKUJEMY ZA WASZĄ SŁUŻBĘ!

ARMIA

/ SZKOLENIE

„Sea Breeze” to jeden z wielu elementów programu współpracy NATO z ukraińską armią. Podczas tegorocznych ćwiczeń na Morzu Czarnym operowało ponad 30 okrętów, w tym wszechstronnie uzbrojone niszczyciele z USA.

W JEDYNYM SŁUSZNYM KIERUNKU

**NATO coraz mocniej
wspiera Ukrainę w jej
euroatlantyckich aspiracjach. Ważną rolę
do odegrania w tym procesie ma
polska armia.**

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
ŁUKASZ ZALESIŃSKI



U.S. NAVY

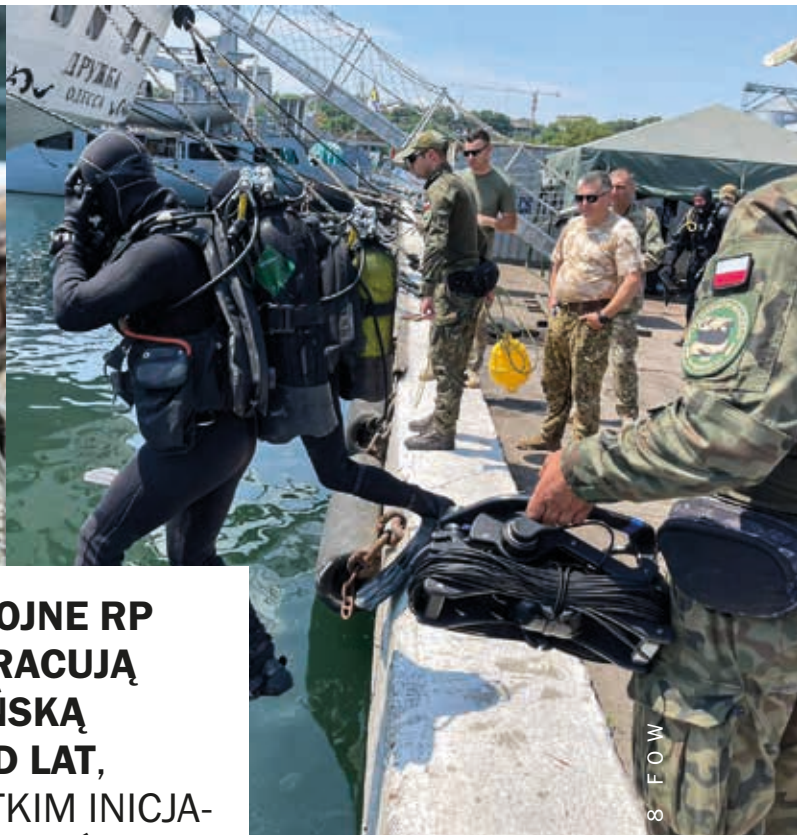
W ćwiczeniach „Sea Breeze” amerykańską marynarkę wojenną reprezentowały niszczyciele (na zdjęciu USS „Laboon”).



Port w Odessie. Cumujący przy nabrzeżu okręt stał się obiektem ataku. Terrorysty przytwierdzili do kadłuba niewielkie magnetyczne miny. Ładunki zostały namierzone i zneutralizowane przez polskich nurków minerów. To tylko jeden z całej serii epizodów ćwiczeń „Sea Breeze ’21”. Manewry zorganizowały Stany Zjednoczone i Ukraina. W sumie wzięło w nich udział 5 tys. żołnierzy z 32 państw, przede wszystkim członków NATO. Na morze wyszło ponad 30 okrętów, w tym wszechstronnie uzbrojone niszczyciele z USA – USS „Laboon” i Wielkiej Brytanii – HMS „Defender” czy fregaty z Turcji – TCG „Barbaros” i Włoch – ITS „Virginio Fasan”. W powietrzu zaś znalazło się łącznie 40 maszyn – od dronów Bayraktar, przez samoloty pionowego startu V-22 Osprey, po myśliwce Eurofighter Typhoon. I choć historia „Sea Breeze” sięga 1997 roku, nigdy nie zaangażowano w nie tak dużych sił. „Chcemy zademonstrować światu, że Morze Czarne jest akwenem otwartym i dostępnym dla każdego”, podkreślał kmdr Kyle Gantt, zastępca dowódcy amerykańskiej 60 Eskadry Niszczycieli.

Polskę na ćwiczeniach reprezentowali marynarze z Grupy Nurków Minerów 12 Dywizjonu Trałowców, który podlega 8 Flotylli Obrony Wybrzeża w Świnoujściu. „Na »Sea Breeze« jesteśmy po raz pierwszy”, relacjonował chor. mar. Michał Jodłowski. „Samo nurkowanie trochę różni się od tego na Bałtyku. Większe zasolenie sprawia, że trudniej się zanurzyć, ale kiedy już osiągnie się zakładaną głębokość, łatwiej na niej pływać”, mówił. Dla doświadczonych nurków takie różnice nie stanowią większego problemu. „Podczas »Sea Breeze« wykonywaliśmy zadania zarówno na otwartym morzu, w portowym basenie, jak i na lądzie”, tłumaczy por. mar. Piotr Bruski, dowódca Grupy Nurków Minerów 12 Dywizjonu Trałowców. „Na nabrzeżu poszukiwaliśmy improwizowanych ładunków wybuchowych przy użyciu zdalnie sterowanego robota Expert. Potem je neutralizowaliśmy”, wyjaśnia oficer.

Dzięki „Sea Breeze” Polacy zdobyli nowe doświadczenia, ale na Ukrainie wystąpili też w roli mentorów. „Baza szkoleniowa ukraińskich nurków znajdowała się na zajęętym przez Rosję Krymie. Teraz powoli ją odbudowują, podpatrując standardy obowiązujące w NATO. System szkolenia zamierzają oprzeć na polskich



SIŁY ZBROJNE RP WSPÓŁPRACUJĄ Z UKRAIŃSKĄ ARMIĄ OD LAT, A WSZYSTKIM INICJA- TYWOM PRZYŚWIECA JEDEN CEL – CHODZI O WDROŻENIE DO SIŁ ZBROJNYCH UKRAINY STANDAR- DÓW OBOWIĄZUJĄ- CYCH W NATO

instrukcjach. Korzystają nawet z polskiego sprzętu, choćby skafandrów”, podkreśla chor. mar. Jodłowski. Tymczasem „Sea Breeze” to jeden z wielu elementów szerokiego programu współpracy NATO z ukraińską armią.

PRZEŁOM PO ANEKSJI

Agresywna polityka Kremla i aneksja Krymu obnażyły militarną słabość Ukrainy, choć tamtejsze siły zbrojne od wielu lat starały się zbliżyć do NATO. W 1991 roku nasz wschodni sąsiad stał się członkiem Północnoatlantyckiej Rady Współpracy, szybko też przystąpił do programu „Partnerstwo dla pokoju”. W 1997 roku paraflowano umowę o szczególnym partnerstwie pomiędzy Ukrainą a Sojuszem, w Kijowie powstało Biuro Łącznikowe NATO, a sama Ukraina otworzyła przedstawicielstwo przy Kwaterze Głównej w Brukseli. Ukraińscy żołnierze zaczęli ćwiczyć z wojskami Sojuszu i wyjeżdżać na zagraniczne misje – na Bałkany, do Afganistanu, Iraku. Nie wszystko jednak szło gładko. James Green, były szef Biura Łącznikowego NATO na Ukrainie, podsumowując 20-lecie szczególnego partnerstwa, opowiadał na łamach „Przeglądu NATO”: „Ukraińskie formalne instytucje często okazywały się słabym przekątnikiem wiedzy i know-how zdobytych we współpracy z Sojuszem. Tamtejsze jednostki wojskowe ćwiczyły zgodnie ze standardami

Żołnierze Grupy Nurków Minerów 8 Flotylli Obrony Wybrzeża na „Sea Breeze” wykonywali zadania m.in. w portowym basenie.

»Partnerstwa dla pokoju«, ale ich podstawowe instrukcje pozostawały bez zmian. Bywało, że jednostka była formowana wyłącznie w celu wysłania jej na operację, a potem żołnierze wracali do swoich macierzystych jednostek”.

Cezurą we wzajemnych stosunkach okazała się aneksja Krymu oraz wojna w Donbasie. O zacieśnieniu współpracy z Ukrainą liderzy państw NATO rozmawiali w 2014 roku podczas szczytu w Newport, a dwa lata później, przy okazji szczytu w Warszawie, zatwierdzony został kompleksowy pakiet pomocowy. Dotyczył on m.in. doradztwa, edukacji i szkolenia oraz reformy sektora bezpieczeństwa i obrony. Sojusz obiecał wzmocnić ukraińską armię m.in. w zakresie logistyki, łączności, cyberbezpieczeństwa czy rehabilitacji rannych żołnierzy.

WSPÓLNE KORZYŚCI

Siły Zbrojne RP współpracują z ukraińską armią od lat, a wszystkim inicjatywom przyświeca jeden cel – chodzi o wdrożenie do Sił Zbrojnych Ukrainy standardów obowiązujących w NATO. Doskonałym przykładem integracji armii obydwu państw są ćwiczenia „Rapid Trident”, organizowane od 2006 roku w ramach programu „Partnerstwo dla pokoju”. Z ukraińskimi żołnierzami ćwiczyły np. pododdziały



6 Brygady Powietrznodesantowej. W 2015 roku zainaugurowano także współpracę podoficerów z obu państw. W ramach DEEP Ukraina (Defence Education Enhancement Programme) w Szkole Podoficerskiej Wojsk Lądowych w Poznaniu szkoliło się kilkudziesięciu żołnierzy zza wschodniej granicy. Poznawali system kształcenia naszych podoficerów i przygotowywali się do prowadzenia zajęć według standardów NATO.

Rok wcześniej z inicjatywy Ukrainy rozpoczęła się współpraca lekarzy z obu państw. Organizowane są szkolenia psychologów, psychoterapeutów i medyków, którzy u siebie w kraju pomagają żołnierzom i cywilom poszkodowanym na skutek walk w Donbasie. Głównym tematem takich spotkań są: diagnostyka i terapia zaburzeń stresowych, pourazowych oraz innych związanych ze stresem bojowym.

Ważne miejsce na liście polsko-ukraińskiej współpracy zajmuje LITPOLUKRBRIG, międzynarodowa brygada stworzona przez armie Polski, Ukrainy oraz Litwy. Składa się ona z dowództwa w Lublinie oraz 4 tys. żołnierzy, którzy na co dzień stacjonują w macierzystych jednostkach. W ubiegłym roku brygada została podporządkowana pod względem szkoleniowym 18 Dywizji Zmechanizowanej. „Na rzecz LITPOLUKRBRIG działają nasze jednostki, m.in. batalion saperów, dywizyjony artylerii samobieżnej i przeciwlotni-

NATOWSKIE WSPARCIE WYNIKA Z PROSTEGO ZAŁOŻENIA: SILNA UKRAINA TO DOBRY BUFOR WOBEC IMPERIALNYCH ZAPĘDÓW ROSJI

czej, batalion zmechanizowany oraz dowodzenia”, wyjaśnia mjr Przemysław Lipczyński, rzecznik 18 DZ. Oficerowie dywizji i brygady współpracowali już podczas treningu sztabowego „Wkra”, a obecnie przygotowują się do ćwiczeń dowódco-sztabowych „Wydra”, które mają sprawdzić zdolność brygady do planowania, organizowania i prowadzenia działań taktycznych. W lipcu żołnierze wyjechali wspólnie do Jaworowa na Ukrainę, gdzie rozpoczęły się ćwiczenia „Three



TRZY PYTANIA DO

Rajmunda T. Andrzejczaka

Pod koniec czerwca spotkał się pan w Krakowie z naczelnym dowódcą Sił Zbrojnych Ukrainy, gen. Rusłanem Chomczakiem. Jakże jest tło tej wizyty i czego dotyczyły rozmowy?

Moje kontakty z gen. Rusłanem Chomczakiem są bardzo intensywne. W 2020 roku, po przejęciu przez Polskę prezydencji w Grupie Wyszehradzkiej, z mojej inicjatywy naczelny dowódca Sił Zbrojnych Ukrainy uczestniczył w drugim dniu rozmów prowadzonych w formacie V4. W tym

roku wystosowałem do gen. Rusłana Chomczaka zaproszenie na podsumowujące prezydenckie spotkanie szefów obrony V4 w Krakowie.

Podczas wizyty ukraińskiego partnera odbyłem z nim również spotkanie, które stało się okazją do wymiany opinii na temat m.in. przyszłego wykorzystania Litewsko-Polsko-Ukraińskiej Brygady. Podkreśliłem wówczas, jak ważnym partnerem jest dla nas Ukraina oraz zapewniłem o pełnym poparciu w procesie integracji ukraińskich sił zbrojnych z Sojuszem Północnoatlantyckim.

Mówiliśmy nie tylko o sytuacji bezpieczeństwa w regionie, lecz także o potencjalnych zagrożeniach dla wschodniej flanki NATO, determinowanych agresywnymi działaniami Federacji Rosyjskiej oraz sytuacją polityczną na Białorusi. Dyskutowaliśmy również o doświadczeniach z użycia systemu NSM [Naval Strike Missile] przez Morską Jednostkę Rakietową, której głównym zadaniem jest niszczenie lub neutralizacja wrogich jednostek powierzchniowych, ochrona morskich linii komunikacyjnych, osłona głów-

swords”. Na tamtejszym poligonie Polacy goszczą regularnie. W połowie 2016 roku wyjechała tam pierwsza zmiana Polskiej Grupy Zadaniowej, czyli 28 żołnierzy z 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. Weszli oni w skład Połączonej Międzynarodowej Grupy Szkoleniowej „Ukraina” i wspólnie z Amerykanami, Kanadyjczykami i Brytyjczykami szkolili gospodarzy.

Po dwumiesięcznej misji podhalańczyków zmienili spadochroniarze z 6 Brygady Powietrznodesantowej, którzy swoich ukraińskich odpowiedników uczyli m.in. maskowania, patrolowania, technik obrony i natarcia. Współpracowali z jednostką, która kilka tygodni później wyjechała, by wzmocnić linię frontu. XVI zmianę stworzyli głównie żołnierze 6 Batalionu Powietrznodesantowego z Gliwic oraz 1 Batalionu Czołgów z Żurawicy. „Skupialiśmy się raczej na doradzaniu dowódcom plutonów i kompanii batalionu OPFOR [opposing force]. Rolą tej jednostki jest podgrywanie sił przeciwnika dla szkolących się pododdziałów”, mówi mjr Jan Rosiek, dowódca zmiany.

Pod koniec maja tego roku w Jaworowie zameldowała się już XVII zmiana polskich żołnierzy. Kontyngent w większości wystawiła 19 Brygada Zmechanizowana. „Współdziałamy z ukraińskim batalionem OPFOR. Prowadzimy zajęcia z medycyny pola walki, taktyki wojsk zmechanizowanych, zmotoryzowanych. Zaznajamiamy też Ukraińców ze sposobem działania zwiadowców”, wylicza mjr Piotr Zieliński, dowódca Polskiej Grupy Zadaniowej. „Bazujemy na programie szkolenia ukraińskich żołnierzy, ale dzielimy się swoją wiedzą, pokazujemy rozwiązania i sposoby działania obo-

wiązujące w NATO. Zysk jest obustronny. Wśród szkolonych są także żołnierze z doświadczeniem frontowym. Kontakt z nimi to dla nas ciekawa lekcja”, dodaje oficer.

Od kilku lat z ukraińskimi komandosami pracują polscy specjaliści, m.in. z Jednostki Wojskowej Komandosów czy Dowództwa Komponentu Wojsk Specjalnych. Ich działania owiane są tajemnicą. Wiadomo jednak, że nie wykonują żadnych zadań operacyjnych, a jedynie szkolą Ukraińców ze strzelectwa, taktyki wojsk specjalnych oraz medycyny pola walki.

SOJUSZ WIEKSZYCH MOŻLIWOŚCI

Natowskie wsparcie wynika z prostego założenia: silna Ukraina to dobry bufor wobec imperialnych zapędów Rosji. Eksperti potwierdzają, że od czasu aneksji Krymu ukraińska armia zmieniła się nie do poznania. Jest zdecydowanie lepiej zorganizowana, wyszkolona i uzbrojona. Żołnierze dostali nowe karabiny, pojazdy opancerzone, drony Bayraktar TB-2, niebawem ruszy modernizacja czołgów T-64.

Władze w Kijowie powtarzają jednak, że to za mało. Chcą członkostwa w NATO. „Samymi reformami nie da się powstrzymać Rosji”, stwierdził niedawno ukraiński prezydent Wołodymyr Zełenski. W czerwcu ubiegłego roku Sojusz przyznał Ukrainie status członka programu rozszerzonych możliwości (Enhanced Opportunities Partners). Posiada go zaledwie sześć państw, w tym Szwecja czy Finlandia. To kolejny krok ku zacieśnieniu współpracy pomiędzy Ukrainą a NATO. Ale droga do samego członkostwa wydaje się jeszcze daleka. ■

nych baz morskich marynarki wojennej, rejonów dogodnych do lądowania desantu morskiego oraz ważnych obiektów wojskowych i infrastruktury krytycznej.

Polskie siły zbrojne od kilku lat wspierają ukraińską armię we wdrażaniu procedur NATO. Jak ocenia pan tę współpracę i czy będzie ona kontynuowana?

Siły Zbrojne Ukrainy są naszym najważniejszym partnerem spoza NATO i dwustronną współpracę wojskową traktujemy priorytetowo. Będziemy nadal wspierać euroatlantyckie aspiracje tego państwa i udzielać praktycznej pomocy ukraińskim siłom zbrojnym w procesie dostosowywania do standardów NATO.

Konsekwentnie angażujemy się w projekty zapewniające wsparcie re-

form ukraińskiego sektora bezpieczeństwa zarówno w wymiarze dwustronnym, jak i wielostronnym. Przekazując naszą wiedzę i doświadczenia z okresu transformacji, wspieramy także proces budowania efektywnych struktur na Ukrainie. Podkreśliłbym niezwykle istotną rolę wspólnych ćwiczeń, co zdecydowanie wpływa na zwiększenie interoperacyjności wojsk oraz kontynuację współpracy w zakresie m.in. wojsk specjalnych.

Jak będą się rozwijać zdolności Litewsko-Polsko-Ukraińskiej Brygady? W jaki sposób jej potencjał można wykorzystać na wschodniej flance Sojuszu?

LITPOLUKRBRIG jest niezwykle cenną inicjatywą, nastawioną na integrację Sił Zbrojnych Ukrainy z państwami Sojuszu. Perspektywy rozwoju

tej formuły współpracy są liczne i stanowią przedmiot dyskusji zaangażowanych państw, czyli Polski, Litwy i Ukrainy. Obecnie za najbardziej perspektywiczne uważa się wykorzystanie LITPOLUKRBRIG jako kontrybutora na rzecz Sił Odpowiedzi NATO, grup bojowych Unii Europejskiej, operacji Organizacji Narodów Zjednoczonych lub też regionalnego centrum analitycznego.

Należy jednak podkreślić, że każda z przywołanych form współpracy w ramach tej inicjatywy przynosi wymierne korzyści w postaci przekazania światu jasnego sygnału, w jakim kierunku zmierza Ukraina, oraz pokazania, że państwa sojuszu są gotowe wesprzeć te dążenia. MKS ■

Gen. RAJMUND T. ANDRZEJCZAK jest szefem Sztabu Generalnego WP.



Czułem się jak w rakiecie

Wprowadzenie do służby samolotu M-346 Bielik miało w rewolucyjny sposób zmienić jakość i sposób kształcenia pilotów bojowych. Po trzech latach od promocji pierwszych podchorążych szkolonych na bielikach czas powiedzieć: sprawdzam.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Samoloty M-346 i zintegrowany lotniczy system szkolenia zaawansowanego kupiliśmy w 2014 roku. Pierwsze wyprodukowane przez Włochów maszyny przyleciały do Polski dwa lata później, ale ze względu na pewne kłopoty formalne wprowadzone zostały do służby dopiero w 2018 roku. W pierwszej kolejności za sterami usiedli instruktorzy, a wiosną 2019 roku podchorążowie. Z samolotami do szkolenia zaawansowanego od samego początku wiązano ogromne nadzieje.

W KOLEJCE DO EFÓW

„Nie ukrywam, że z pewnym sceptycyzmem podchodziłem do zapowiadanej rychłej rewolucji w szkoleniu lotniczym w związku z realizacją programu M-346 Bielik, ale... jestem mile zaskoczony”, mówi ppłk pil. Łukasz „Rattler” Gradziński, dowódca 6 Eskadry 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego. W tej krzesińskiej jednostce szkolą się podporucznicy, którzy praktyki przeszli na bielikach. „Już na pierwszym etapie kursu podstawowego okazało się, że młodzi piloci prezentują wyższy niż ich poprzednicy poziom wyszkolenia w lotach według przyrządów czy w formacjach taktycznych. Równie dobrze było, gdy uczyli się walk powietrznych”, opowiada „Rattler”. Jego zdaniem jest to zasługa samolotu M-346 i kadry instruktorskiej z Dębina.

„Kokpit, system zobrazowania informacji, układ kabiny są w M-346 i F-16 bardzo podobne. Początkujący pilot wie zatem, gdzie szukać danych, dzięki czemu oszczędza odrobinę czasu na podjęcie decyzji i reagowanie w powietrzu, co daje mu przewagę w uzyskaniu pożądanego rezultatu szkolenia”, przyznaje ppłk Gradziński. Instruktorzy chwalili młodych pilotów m.in. za poprawne starty i lądowania, loty do wyznaczonej strefy, a także umiejętne manewrowanie maszyną w powietrzu. „W dalszej części szkolenia obserwowaliśmy już błędy, ale były one typowe dla wszystkich szkolonych na F-16, także tych, którzy naukę rozpoczynali w Stanach Zjednoczonych”, wyjaśnia dowódca 6 Eskadry.

„Poziom wyszkolenia pilotów M-346 nie odbiega znacząco od tego, jaki obserwowaliśmy u poprzednich kursantów, którzy w Stanach Zjednoczonych latali na T-38 Talon”, dopowiada ppłk Gradziński. Dotychczas bowiem niemal wszyscy piloci F-16 szkolili się za oceanem. „Kierowaliśmy pilota do USA na szkolenie wstępne na T-6, później na T-38 Talon, a potem na kurs IFF [Introduction to Fighter Fundamentals]. Następnie albo zostawał na kurs podstawowy na F-16 w Stanach, albo wracał do Polski. Przy czym faza IFF była dla nas najważniejsza jako ostateczne sito, które pozwalało odrzucić ludzi nienadają-

cych się do latania bojowego. Pokazuje, kto ma w sobie taką iskrę myśliciwa”, wyjaśnia „Stoiwky”, szef sekcji szkolenia lotniczego 31 Bazy.

ROBIĘ SWOJE

Po wprowadzeniu do służby M-346 schemat szkolenia się zmienił. Podchorążowie Lotniczej Akademii Wojskowej na czwartym roku mają praktyki w 42 Bazie Lotnictwa Szkolnego, gdzie pilotują PZL-130 Orlik, a rok później najlepsi z nich uczą się w 41 Bazie Lotnictwa Szkolnego na M-346. Kolejnym krokiem jest już F-16. Podporucznicy, którzy w grudniu 2020 roku zaczęli w Krzesinach kurs podstawowy, nie kryją entuzjazmu. „Marzyłem o pilotowaniu F-16 i o służbie w Krzesinach. Spełniło się jedno i drugie. Jestem żołnierzem 6 Eskadry 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego”, z dumą przyznaje podporucznik (nie ujawniamy personaliów pilotów F-16). Drugi ze szkolonych obecnie pilotów służyć będzie w 32 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Łasku, ale na razie kurs podstawowy robią wspólnie w 31 BLT. Przyznają, że początki nie były łatwe. „Wiem, że byliśmy tu bacznie obserwowani. Są wobec nas duże oczekiwania, bo do F-16 przesiedliśmy się bezpośrednio z M-346. Jesteśmy »produktem«, który ma udowodnić, czy zintegrowany system szkolenia lotniczego zaawansowanego AJT [Advanced Jet Trainer] działa”, dodaje pilot. Przyznaje jednak, że nie czują przez to ciężaru. „Robię swoje. Uczę się, przykładam do każdego lotu. Wiem, że nie wszystko robię idealnie, ale nie popełniłem żadnych drastycznych błędów”, mówi 26-latek.

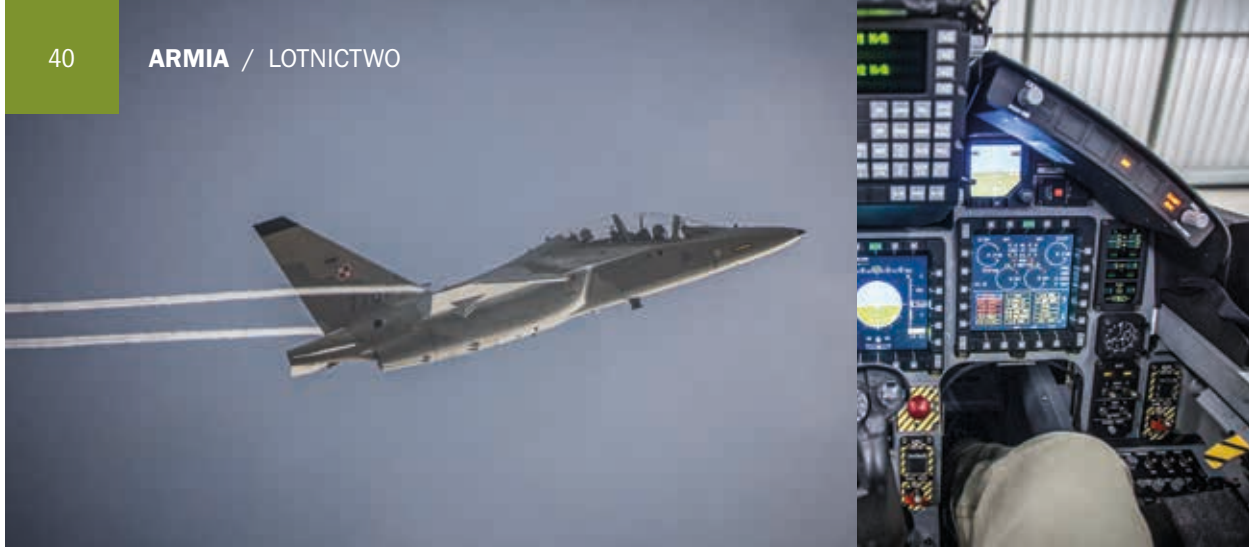
Podporucznicy przyznają, że szkolenie na bielikach dało im solidne podstawy. „Basic course [kurs podstawowy] zaczyna się od szkolenia naziemnego. Najpierw mamy wykłady, poznajemy budowę samolotu. Potem na symulatorach ćwiczymy podstawowe procedury, obsługę samolotu, sytuacje awaryjne i misje powietrzne”, wylicza kursant. Po miesiącu wzbili się w powietrze, choć jeszcze dwumiejscowym F-16. „Bielik robił na mnie wrażenie, ale F-16 ma mocniejszy silnik i nie mogłem odebrać wzroku od prędkościomierza. Czułem się jak w rakiecie”, wspomina podporucznik. „Za to lądowanie było bardzo intuicyjne i poszło mi całkiem nieźle”, dodaje szkolony. Pierwszy samodzielny lot wykonali po sześciu misjach zrealizowanych pod nadzorem instruktora.

Piloci przyznają, że na początku szkolenia ćwiczyli przeloty do strefy, by poznać możliwości samolotu, musieli także dobrze opanować komputer pokładowy. „Za nimi już szkolenie z lotów małymi formacjami, przeloty pomiędzy lotniskami, walki powietrzne w konfiguracjach 1:1 i 2:1. Teraz szkolą



BARTOSZ BERA

Ppłk pil. ŁUKASZ GRADZIŃSKI: „Poziom wyszkolenia pilotów M-346 nie odbiega znacząco od tego, jaki obserwowaliśmy u poprzednich kursantów, którzy w Stanach Zjednoczonych latali na T-38 Talon”.



MICHAŁ NIWICZ (2)

Drugi i trzeci rocznik podchorążych szkolonych na M-346 w czasie nauki korzystał z nowego trenażera, Simulation Based Trainer. To proste urządzenie, które wyglądem przypomina zwykły komputer klasy PC, ale jest wyposażone w drążek sterowniczy i dźwignię sterowania silnikami, tak jak w kabine M-346, oraz duży ekran dotykowy.

się z atakowania celów naziemnych i lotów na małej wysokości”, mówi ppłk pil. Arkadiusz Pietrzak, dowódca Grupy Działań Lotniczych 31 Bazy. Dodaje też, że piloci nie mieli problemów z odnalezieniem się w kokpicie, doskonale radzą sobie także z pracą na przeziernym wyświetlaczu HUD (Head-Up Display). „Mówimy na nich nawet żartobliwie »HUD babies«, bo z tego rozwiązania korzystają od początku swojej kariery lotniczej i robią to niemal intuicyjnie”, przyznaje ppłk Pietrzak.

Dziś dwie trzecie szkolenia podstawowego za nimi. Teraz będą jeszcze trenować atakowanie celów naziemnych z użyciem ćwiczebnego uzbrojenia. „Każda faza nauki kończy się egzaminem, ale ten najważniejszy, podsumowujący całe szkolenie podstawowe, jeszcze przed nami”, zaznacza lotnik. W powietrzu wylatali na F-16 ponad 70 godzin, a kilka razy więcej poświęcili na przygotowanie się do każdej misji, na briefingi i debriefingi po lotach. „Na bielikach było dużo nauki, ale tu jest jeszcze więcej. W powietrzu nie ma czasu, by zastanawiać się, co i jak należy wykonać. Dlatego uczymy się praktycznie bez przerwy, godzinami studiujemy instrukcje i zasady taktyki”, mówią żołnierze.

REWIZJA PROGRAMU

Promocje oficerskie otrzymało dotąd ośmiu pilotów szkolonych na M-346, a dwóch kolejnych bronić się będzie jesienią. Praktyka pokazuje, że młodzi podporucznicy nie od razu obejmują stanowiska w 2 Skrzydle Lotnictwa Taktycznego, ale po promocji wracają do jednostki szkolnej, by tam dalej doskonalić się w lotach na M-346. Dlaczego? Muszą czasami po prostu poczekać na swój etat w jednostce bojowej albo dokończyć naukę. „Rzeczywiście szkolenie dwóch pierwszych roczników trwało dłużej, niż pierwotnie zakładaliśmy, ale finalnie zakończyło się sukcesem”, tłumaczy ppłk Marek Kejna, dowódca Grupy Działań Lotniczych 41 BLSz.

Szkolenie podchorążych wydłużało się m.in. ze względu na usterkowość M-346. Samoloty objęte są gwarancją producenta i część napraw może być wykonywana wyłącznie przez Leonardo. „To było dokuczliwe zwłaszcza w czasie pandemii

koronawirusa. Firma ma siedzibę we Włoszech, które jako pierwsze w Europie walczyły z COVID-19, więc na części zamienne trzeba było czekać dwa razy dłużej niż zwykle”, mówi ppłk Kejna. Innym problemem były braki kadrowe. W ostatnim czasie mundur zdjęło wielu instruktorów, którzy na M-346 szkolili się jeszcze we Włoszech.

„Podporucznicy, którzy szkolą się teraz na jastrzębiach, udowadniają, że program, który stworzyliśmy dla M-346, działa”, tłumaczy ppłk Kejna i dodaje: „Są na pewno sprawy, które będziemy chcieli usprawnić, ale ogólna koncepcja była słuszna, i to jest dla mnie najważniejsze”.

Dęblińscy instruktorzy wyjaśniają, że drobne poprawki do programu szkolenia wprowadzono już po praktykach lotniczych pierwszych czterech podchorążych. Zdecydowano na przykład, że będzie on bardziej elastyczny, dostosowany do poziomu każdego ucznia. Zrezygnowano z części szkolenia zaawansowanego na rzecz elementów taktyki podstawowej. „Wspólnie z instruktorami z Krzesin stwierdziliśmy, że będzie lepiej, gdy skupimy się na zadaniach wykonywanych parą samolotów. Aby nie wchodzić w elementy bardziej skomplikowane, takie jak np. szkolenie z procedur wsparcia lotniczego czy lotów nocnych. Takich rzeczy uczyć się będą pod koniec kursu podstawowego na F-16”, wyjaśnia ppłk Kejna. Ponadto program szkolenia na bielikach daje teraz możliwość dopasowywania tematyki zajęć do warunków atmosferycznych czy dostępności statków powietrznych, nie robiąc niepotrzebnych pauz w szkoleniu.

„To dobry czas na podsumowanie pierwszych efektów, dlatego dzielimy się wiedzą i doświadczeniem z kadrą Lotniczej Akademii Wojskowej i planujemy spotkanie z instruktorami 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego”, podkreśla dowódca Grupy Działań Lotniczych 41 Bazy. Potrzebę dialogu widzą także lotnicy z Krzesin. „Pamiętajmy o tym, że szkolenie na F-16 jest dużo droższe niż na M-346, a zadania jednostki bojowej nie skupiają się wyłącznie na szkoleniu, dlatego dobrze byłoby niektóre elementy przenieść do 4 Skrzydła, a nawet do Szkoły Orłat, np. szkolenie teoretyczne dotyczące lotów w goglach noktowizyjnych”, zaznacza ppłk Gradziński. ■

SZK JAŚMIN

System Zarządzania Kryzysowego

Innowacyjne oraz rozległe działające rozwiązanie,
dedykowane dla struktur krajowego systemu
zarządzania kryzysowego, NATO i UE



www.TELDAT.com.pl

TELDAT
Cicha 19-27
85-650 Bydgoszcz

tel.: +48 52 341 97 00
fax: +48 52 341 97 40
e-mail: teldat@teldat.com.pl

A large military helicopter, likely a Sikorski UH-60 Black Hawk, is shown from a low angle, hovering in the sky. Two soldiers in full combat gear are rappelling down ropes from the side of the helicopter. The helicopter has a red and white checkered marking on its nose. The background is a clear sky with a large yellow diagonal graphic element on the right side.

TANIEC NA LINACH

**Grono, papież lub long line.
Każdy z żołnierzy kawalerii
powietrznej musi nie tylko
wiedzieć, co oznaczają te pojęcia,
lecz także potrafić wykonać
na polu walki kryjące się
za nimi czynności.**

MICHAŁ ZIELIŃSKI

MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)

Zołnierze z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej znani są z wszechstronności. W jednostce służą nie tylko kawalerzyści z zespołów szturmowych, lecz także saperzy, piloci, nurkowie, strzelcy wyborowi, medycy oraz zwiadowcy. Niezależnie jednak od specjalności, ze względu na specyfikę brygady, wszyscy najpierw muszą opanować techniki linowe. „To jeden ze sposobów na dotarcie do trudno dostępnych obiektów, takich jak gęsty las, półki skalne czy platformy wiertnicze. Każdy z naszych żołnierzy od samego początku jest przygotowywany do przerzutu za pomocą śmigłowców i – co za tym idzie – szkolony pod kątem szeroko pojętych technik linowych”, zaznacza płk dr inż. Mariusz Pawluk, dowódca 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. Umiejętności te przydają się nie tylko na śmigłowcach. Kawalerzy-

ści wykorzystują liny alpinistyczne także podczas wykonywania zadań w górach oraz w miastach. „Nasze szkolenia z czarnej taktyki zakładają, że żołnierze po zjeździe za pomocą grubej liny na dach budynku muszą się dostać na znajdujące się niżej piętra. Główne drogi, jak klatka schodowa czy winda, mogą być dla nich niedostępne, dlatego zakładają stanowiska i zjeżdżają na linach”, tłumaczy płk Pawluk.

Zanim kawalerzyści zdobędą tak zaawansowane umiejętności, muszą ukończyć wiele specjalistycznych kursów. Rozpoczynając służbę, większość z nich nie miała do czynienia ze wspinaczką, dlatego zgodnie z przepisami Państwowej Inspekcji Pracy najpierw muszą przejść badania lekarskie i w konsekwencji uzyskać dopuszczenie do pracy na wysokości. Następnie przystępują do szkolenia podstawowego, w czasie którego przyswajają podstawowe umiejętności, takie jak wiązanie węzłów czy budowanie stanowisk asekuracyjnych oraz zjazdowych. „Równocześnie za pomocą wień i atrap śmigłowca zaczynamy oswajać żołnierzy z wysokością. Początkowo jest to poziom 1,5 m. Następnie stopniowo zwiększamy wysokość, aż osiągniemy 16 m, czyli długość grubej liny, tzw. fast rope. Zgodnie z programem szkolenia etap ten trwa 70 godzin”, wyjaśnia ppłk Zbigniew Kowalski, instruktor technik linowych w ratownictwie lotniczym i wspinaczki skałkowej z Pionu Szkolenia 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, i dodaje: „Nie-

małe znacznie ma też podejście instruktora, dzięki któremu adept nabiera zaufania do ekwipunku”. W czasie pierwszych kilkudziesięciu godzin kursu żołnierze muszą nie tylko zmierzyć się z infrastrukturą dostępną na terenie jednostki, lecz także sprawdzić się w prawdziwych skałach. W tym celu instruktorzy wspinaczki skałkowej z 25 BKPow zabierają

żołnierzy ze szwadronów na tygodniowy kurs prowadzony w Ośrodku Szkolenia Piechoty Górskiej „Jodła” w Dusznikach Zdroju.

DWADZIEŚCIA SIEDEM SEKUND

W Sudetach żołnierze po raz pierwszy mają możliwość praktycznego wykorzystania przyswajanych technik. Uczą się zjazdów na linach, ale też wspinaczki z dolną i górną asekuracją oraz ratownictwa wysokościowego. Pod koniec kursu samodzielnie mierzą się ze skałą mającą 40 m wysokości. „Najpierw żołnierz podchodzi do punktu, z którego będzie zjeżdżał. Jeżeli droga nie prowadzi po płaskim terenie, używa do tego lin poręczowych, do których wpina się za pomocą lonży. Jest to podwójna taśma



lub lina dynamiczna o długości około 80 cm zakończona karabinkiem”, tłumaczy st. szer. Michał Kobalczyk, instruktor technik linowych w ratownictwie lotniczym. Po dotarciu do punktu zjazdowego żołnierze korzystają z dwóch lin. „Pierwsza z nich to lina asekuracyjna, w którą należy wpiąć się przyrzędem asekuracyjnym. Druga to trakcyjna, czyli zjazdowa, do której wpina się przyrząd zjazdowy. Po wykonaniu tych czynności można odpiąć lonżę i zacząć zjeżdżać”, dodaje st. szer. Kobalczyk. Techniki te stanowią fundament umiejętności potrzebnych podczas dalszego szkolenia na śmigłowcach.

W 25 Brygadzie Kawalerii Powietrznej żołnierze muszą potrafić zjeżdżać na linach ze śmigłowców Mi-8/Mi-17 oraz W-3 Sokół. Nauka zaczyna się od wpajania nawyków bezpiecznego podejścia do statku powietrznego i właściwego zachowania na jego pokładzie. Następnie kawalerzyści uczą się desantowania z przyziemienia oraz metodą kropelkową, czyli wyskakując ze śmigłowca unoszącego się w zawisie na niewielkiej wysokości. Dopiero wtedy zakładana jest gruba lina (fast rope). „Żołnierze muszą oswoić się z tym, że śmigłowiec się przemieszcza, szumią silniki i wieje wiatr, dlatego tutaj także stopniujemy wysokość i zaczynamy od maksymalnie 3 m. Dzięki temu jestem w stanie na bieżąco korygować błędy. To bardzo ważne, ponieważ na grubej linie każdy jest zdany na siebie. Mając trzy punkty podparcia, czyli ręce, kolana oraz buty, trzeba utrzymać odpowiednią prędkość i bezpiecznie dotrzeć do powierzchni ziemi. Dopiero kiedy mam pewność, że żołnierz wie, co robi, mogę podnieść śmigłowiec do pełnego naciągu liny”, mówi ppłk Zbigniew Kowalski.

Podczas pierwszych zjazdów żołnierze zakładają wyłącznie rękawice kevlarowe, które chronią przed poparzeniami, jakie może wywołać tarcie rąk o linę. Potem zaczynają doskonalić technikę w pełnym ekwipunku, czyli z kamizelką, plecakiem patrolowym oraz z bronią. W przyszłości najbardziej doświadczeni będą zjeżdżać w ten sposób, aby na linie było jednocześnie trzech żołnierzy. Dzięki temu desantowanie 12-osobowego zespołu trwa około 27 s.

TRZY ETAPY

Żołnierze muszą także potrafić używać lin alpinistycznych, zarówno osobistych (każdy z żołnierzy wyposażony jest w oddzielną linę), jak i zespołowych, montowanych na pokładzie śmigłowca. „Sposób zjazdu zbliżony jest do tego, który został przećwiczony na skałach. Po zajęciu miejsca w śmigłowcu kursanci wpinają się dla bezpieczeństwa w linę poręczową oraz wpinają linę osobistą w przyrząd typu rolka stop lub rig. Na znak instruktora podają mu węzeł z liny osobistej, który wpinany jest w stanowisko do zjazdu. Instruktor sprawdza na pokładzie, czy wszystko jest poprawnie zamocowane, następnie wypuszcza kursanta na próg śmigłowca, sprawdza jeszcze raz, wypina z liny poręczowej i daje sygnał do zjazdu. Gdy żołnierz dotknie stopami ziemi, lina wypinana jest ze śmigłowca i zrzućkana na dół”, tłumaczy st. szer. Michał Kobalczyk. Podczas zjazdu ze śmigłowca trudniej oszacować odległość od ziemi niż na skałach. „Trudniej o punkty odniesienia, dlatego zdarza się, że niektórzy za bardzo się rozpędzają i mają problem

z wyhamowaniem”, dodaje starszy szeregowy. W przypadku lin pokładowych czynności te wyglądają podobnie, z tą różnicą, że żołnierze wpinają się w jedną linę zamontowaną w punkcie siłowym (tzw. piramidkę) na śmigłowcu.

Żołnierze z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej muszą jeszcze nauczyć się działań z użyciem technik linowych pod pokładem śmigłowca, w tym ratowniczych. Najbardziej podstawową i zarazem najprostszą techniką jest tzw. grono. Polega ona na wypuszczeniu ze śmigłowca liny, którą na ziemi żołnierze muszą złapać, wpiąć uprząż do zawiązanego na niej węzła za pomocą karabinka, wzajemnie się posprawdzać oraz dać sygnał, że są gotowi. Wówczas pilot, mający łączność z instruktorem technik linowych, może unieść ich z ziemi. Grono może być wykonane z jednych drzwi śmigłowca, wtedy transportuje się maksymalnie trzech żołnierzy. Można także przełożyć linę przez pokład i wypuścić ją drzwiami po drugiej stronie statku powietrznego, co umożliwia podpięcie kolejnych trzech kawalerzystów. Inną techniką jest tzw. papież, różni się ona tym, że żołnierze najpierw łączą się liną na ziemi, a następnie już jako jeden „ładunek” wpinają się do dwóch lin spuszczonej ze śmigłowca.

Najbardziej wymagająca jest technika tzw. long line, czyli długiej liny, typowo ratownicza, która umożliwia transport kosza ratowniczego z poszkodowanym. „Zwykle do takiego kosza bezpośrednio wpięty jest lekarz lub ratownik, który w warunkach bojowych czuwa nad czynnościami życiowymi pacjenta i pilnuje jego bezpieczeństwa. Kolejny ratownik podcina się do niego już własną liną. W ostatniej fazie lotu on jako pierwszy zjeżdża na ziemię i stabilizuje kosz, żeby ten nie wpadł w rotację”, tłumaczy st. szer. Kobalczyk. W czasie wykonywania tzw. long line trzeba pilnować dużej liczby wpięć i przepięć. „Jeżeli ratownik zjeżdżający na linie osobistej przypadkowo zawisnie na lonży, nie będzie miał już możliwości jej wypięcia. Wtedy cały układ musimy posadzić na ziemi bez stabilizacji z dołu, co jest bardzo niebezpieczne”, podkreśla instruktor.

MICHAŁ ZIELIŃSKI





W KAWALERII POWIETRZNEJ

DROGA DO NAJWYŻSZYCH UPRAWNIEŃ INSTRUKTORSKICH W DZIEDZINIE TECHNIK LINOWYCH ZACZYNA SIĘ OD UZYSKANIA TYTUŁU INSTRUKTORA WSPINACZKI SKAŁKOWEJ



Płk dr inż. MARIUSZ PAWLUK, dowódca 25 Brygady Kawalerii Powietrznej: „Każdy z naszych żołnierzy od samego początku jest przygotowywany do przetrwania za pomocą śmigłowców i – co za tym idzie – szkolony pod kątem szeroko pojętych technik linowych”.

Dopiero przyswojenie wszystkich opisanych technik umożliwia żołnierzom kawalerii powietrznej wykonywanie zadań zgodnie z przeznaczeniem Brygady. Mogą desantować się w trudno dostępnym miejscu, ale też samodzielnie z niego zejść i po wykonaniu zadania ponownie dostać się na dach czy półkę skalną, z której zostaną błyskawicznie odebrani przez śmigłowca. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, będą także w stanie uratować rannych kolegów. To jednak wciąż początek ich szkolenia. „Kurs technik linowych na śmigłowcu podzielony jest na trzy etapy. Pierwszy z nich umożliwia wykonywanie wszystkich opisanych czynności pod nadzorem instruktora. Żeby móc wykonywać je samodzielnie i zarazem wypuszczać ludzi z pokładu, trzeba przejść szkolenie poziomu drugiego, czyli szkolenie na operatora

pokładowego technik linowych. Trzeci to poziom instruktorski”, wylicza st. szer. Kobalczyk. Zasady dalszego rozwoju są jasno określone, ale w praktyce uzyskanie tytułu instruktora w 25 Brygadzie Kawalerii Powietrznej wiąże się ze znacznie większymi wyzwaniami.

WSZYSTKO POD KONTROLĄ

W kawalerii powietrznej droga do najwyższych uprawnień instruktorskich w dziedzinie technik linowych zaczyna się od uzyskania tytułu instruktora wspinaczki skałkowej. W ramach dodatkowych szkoleń górskich kandydaci zdobywają uprawnienia kontrolera sprzętów ochrony indywidualnej. Niezbędne są również uprawnienia do pracy w załodze lotniczej (Crew Resource Management – CRM), obsługi wyciągarki, prowadzenia korespondencji lotniczej oraz pracy w koszu ratowniczym. Dopiero wtedy mogą starać się o tytuł instruktora technik linowych na pokładzie statku powietrznego. „Jeśli mam takich instruktorów, jestem pewien, że są to ludzie w pełni wyszkoleni i świadomi swoich umiejętności oraz zagrożeń, na które muszą zwracać uwagę podczas szkolenia adeptów. Jest to bardzo ważne, ponieważ kursanci muszą mieć pewność, że instruktorzy nie tylko są w stanie jasno przekazać potrzebną wiedzę, ale także pomóc im, kiedy zajdzie taka potrzeba”, zaznacza płk Zbigniew Kowalski.

Wymienione etapy szkolenia przechodzi teraz st. szer. Łukasz Misiek, instruktor wspinaczki skałkowej z 25 Batalionu Dowodzenia 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, którego na skałach dostrzegł płk Zbigniew Kowalski. Jego przygoda z technikami linowymi zaczęła się w 2013 roku, kiedy został wysłany na szkolenie w Zieleńcu. Był to początek pasji, którą do dziś jest wspinaczka sportowa. Z zaangażowaniem to zostało docenione i dwa lata później st. szer. Misiek został skierowany na kurs instruktorski. „Dopiero na kursie instruktorskim zobaczyłem, jak wygląda strona metodyczna oraz zdałem sobie sprawę z tego, jak ważny jest sposób przekazywania wiedzy”, mówi st. szer. Łukasz Misiek.

Najważniejszą cechą instruktora jest opanowanie. Kursant musi czuć, że cały proces nauki przebiega pod kontrolą, a jego pytania nie pozostają bez odpowiedzi. Bardzo ważne jest podejście do podopiecznego. „Na skałach nieraz widzimy zdenerwowanych żołnierzy, którzy przez stres myślą wykonywane czynności. Należy ich uspokoić i dopiero wtedy przeanalizować popełnione błędy. Po chwili odpoczynku mogą wrócić do wykonywanego zadania”, wyjaśnia st. szer. Łukasz Misiek. Na koniec dodaje, że każdy żołnierz, nawet jeśli początki są trudne, może osiągnąć cel, czyli desantować się na linie ze śmigłowca. To tylko kwestia czasu. ■



Sprawdzian ogniowy

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Wydzielenie modułu bojowego, błyskawiczny przerzut w wybrane miejsce na wschodniej flance NATO, uderzenie raketowe we wskazane cele, powrót do bazy – Morska Jednostka Raketowa pokazała, że może nie tylko bronić polskich obszarów morskich, lecz także stanowić istotny element w natowskim systemie bezpieczeństwa.

Trwają właśnie międzynarodowe ćwiczenia „Spring Storm '21”. Pojazdy Morskiej Jednostki Raketowej (MJR) czekają w gotowości na estońskiej wyspie Hiiuma. Do dowództwa komponentu spływa meldunek z rozpoznania – okręt przeciwnika na Zatoce Fińskiej. Pada rozkaz: zniszczyć cel. Machina zostaje wprawiona w ruch. Niebawem w stronę okrętu polecą dwa pociski Naval Strike Missile (NSM) o zasięgu przekraczającym 180 km. Choć żołnierze odpalą rakiety jedynie w przestrzeni wirtualnej, a atak raketowy jest symulowany, to możliwości zaprezentowane przez polską jednostkę są jak najbardziej realne. A same manewry to kolejny dowód

na to, że MJR rozpoczęła właśnie zupełnie nowy rozdział w swojej niedługiej przecież historii.

WIOSENNA BURZA Z POLAKAMI

Wszystko zaczęło się dekadę temu, kiedy to w strukturach marynarki wojennej powstał Nadbrzeżny Dywizjon Raketowy. Wszedł w skład 3 Flotyli Okrętów, a jego baza została ulokowana w Siemirowicach. Dwa lata później żołnierze otrzymali sprzęt, którego trzon stanowiły przeciwokrętowe kierowane pociski raketowe wyprodukowane przez norweską firmę Kongsberg. Niebawem obok pierwszego dywizjonu ogniowego pojawił się drugi. Wkrótce też Siemirowice



ARCH. MJR (3)



CHRZEST OGNIOWY
JEDNOSTKA PRZE-
SZŁA W 2016 ROKU.
WÓWCZAS TO JEJ
MARYNARZE WRAZ
ZE SPRZĘTEM ZO-
STALI PRZERZUCENI
DO NORWEGII. TAM
PRZEPROWADZILI
STRZELANIA Z WY-
KORZYSTANIEM BO-
JOWYCH POCISKÓW
RAKJETOWYCH



Polska nie jest jedynym krajem, który dysponuje mobilnym nadbrzeżnym systemem rakietowym przeznaczonym do zwalczania okrętów potencjalnego przeciwnika. Broń tego rodzaju mają Szwecja, Rumunia, Chorwacja czy Rosja.

stały się siedzibą Morskiej Jednostki Rakietowej. Dziś to jeden z najnowocześniejszych komponentów polskich sił zbrojnych.

W skład MJR wchodzi dwa dywizjony ogniowe i dywizjon zabezpieczenia. Jednostka może działać całymi siłami lub wydzielać samodzielne moduły bojowe. Serce każdego z nich stanowi ruchomy węzeł łączności. Właśnie tam spływają informacje o potencjalnych celach. Zbierane są za pomocą własnej stacji radiolokacyjnej, ale przede wszystkim ze źródeł zewnętrznych – samolotów, okrętów, bezzałogowych statków powietrznych. Dzięki temu obszar, który można objąć rozpoznaniem, wydatnie się zwiększa. Dalej informacje są przekazywane poprzez wozy dowodzenia do kolejnych szczebli – dywizjonu, baterii, zespołu ogniowego. Oficerowie operacyjni przydzielają zadania ogniowe obsadom poszczególnych wyrzutni. W dywizjonowym module bojowym jest ich sześć, a każda może jednocześnie przenosić cztery rakiety.

Przez długi czas MJR ćwiczyła przede wszystkim na polskim wybrzeżu. Pojazdy zajmowały pozycje ogniowe w różnych jego rejonach, choćby

na poligonie w Uście, i na sygnał wykonywały symulowane uderzenia rakietowe w obrębie polskich obszarów morskich. Chrzest ogniowy jednostka przeszła w 2016 roku. Wówczas to jej marynarze wraz ze sprzętem zostali przerzuceni do Norwegii. Tam przeprowadzili strzelania z wykorzystaniem bojowych pocisków rakietowych. Polacy operowali z poligonu na wyspie Andøya, cel znajdował się zaś 150 km dalej. Była nim jednostka pływająca, która imitowała fregatę. Ataki rakietowe wykonane przez polskich marynarzy okazały się skuteczne. Test został zaliczony, przyszła więc pora, by zrobić kolejny krok.

Wiosną 2019 roku żołnierze z Siemierowic wyruszyli do Estonii na swoje pierwsze międzynarodowe ćwiczenia – „Spring Storm '19”. Na północ Europy sprzęt został przerzucony na pokładzie okrętu transportowo-minowego ORP „Gnieszno”. Wyrzutnie rakietowe i wozy dowodzenia dotarły na wyspę Sarema. Stamtąd przeprowadziły symulowane uderzenia na cele nawodne w obrębie Zatoki Fińskiej. Ćwiczenia pokazały jasno: mobilne wyrzutnie pocisków rakietowych NSM są w stanie trzymać w szachu rosyjskie okręty. Główna baza Floty →



Bałtyckiej znajduje się przecież w głębi Zatoki Fińskiej. Aby wydostać się z niej na pełne morze, trzeba przejść wzdłuż estońskiego wybrzeża.

OD RUMUNII PO LITWĘ

„Nasza jednostka jest ważnym elementem w systemie obrony państwa. Ćwiczenia »Spring Storm '19« pokazały, że można ją wykorzystać również w inny sposób. Wydzielić moduł bojowy, sprawnie przerzucić go w wybrane miejsce na wschodniej flance NATO i tam wejść w ścisłą kooperację z siłami morskimi sojuszników”, tłumaczy kmdr Przemysław Karaś, dowódca MJR. „Postanowiliśmy pójść o krok dalej i sprawdzić inne warianty wykorzystania potencjału bojowego MJR”, dodaje. W 2020 roku aktywność jednostki, jak zresztą całego wojska, została co prawda wyhamowana przez pandemię, ale już ostatnie miesiące były dla niej wyjątkowo pracowite.

W marcu marynarze z Siemierowic zameldowali się w Rumunii na międzynarodowych manewrach „Sea Shield '21”. Na miejsce dotarli na pokładzie samolotu An-124 Rusłan, sam lot zaś odbywał się w ramach natowskiego programu transportu strategicznego SALIS. Polacy ćwiczyli na poligonie ra-



Kmdr PRZEMYSŁAW KARAŚ, dowódca MJR: „Pokazaliśmy, że nasze moduły ogniowe mogą mieć istotne znaczenie dla układu sił w jednym z najbardziej naważnych obszarów odpowiedzialności NATO. Mogą też stanowić znaczący wkład w system zbiorowego bezpieczeństwa”.

kietowym Capu Midia, który znajduje się na północ od portu w Konstancy. Ich zadanie polegało na ochronie kluczowych linii żeglugowych na Morzu Czarnym. Mieli też nie dopuścić do tego, by przeciwnik zbliżył się do wybrzeża. Ścisłe przy tym współdziałał z obsadą trzech mobilnych wyrzutni Rubież należących do rumuńskich sił morskich. Moduł bojowy MJR raził cele znajdujące się 120 km od linii brzegowej, z kolei Rumuni strzelali na odległość 80 km. Jak podkreślał krótko po ćwiczeniach kmdr por. Daniel Krefft, dowodzący polskim komponentem, mimo technologicznych różnic współpraca układała się dobrze. „Rumuńscy żołnierze są dobrze wyszkoleni i, jak wszyscy sojusznicy, działają na podstawie procedur NATO”, mówił.

W Rumunii marynarze spędzili prawie dwa tygodnie. Po wykonaniu zadania w błyskawicznym tempie załadowali sprzęt do samolotu i wrócili do Gdyni, skąd już drogą lądową pojazdy przejechały do macierzystej jednostki. „»Sea Shield« były ćwiczeniami typowo morskimi. W kolejnych miesiącach mieliśmy jednak okazję działać w ramach ćwiczeń opartych na zupełnie innych scenariuszach”, podkreśla kmdr Karaś.



ARCH. MJR

W maju pododdział MJR po raz kolejny wyruszył do Estonii na manewry „Spring Storm”. Podobnie jak dwa lata wcześniej, przerzut odbył się drogą morską. Tym razem sprzęt został załadowany na dwa okręty transportowo-minowe. „W skład komponentu wchodził moduł bojowy, tyle że bez zaplecza logistycznego. Założyliśmy, że ten aspekt wezmą na siebie gospodarze”, wspomina kmdr ppor. Marcin Brudniewicz, dowódca sił wydzielonych z MJR. Celem okrętów był port Paldiski nieopodal Tallina. Stamtąd pojazdy, już po estońskich drogach, wyruszyły na zachód, ku wspomnianej Hiumie. Przesmyk pomiędzy stałym lądem a wyspą pokonały na pokładzie cywilnego promu wynajętego na potrzeby wojska. Przez cały czas Polacy ściśle współpracowali z żołnierzami estońskiej obrony terytorialnej oraz pododdziałem tamtejszej żandarmerii, które zapewniały im ochronę. Podobnie było już na samej Hiumie, gdzie wozy dowodzenia i wyrzutnie zajęły pozycje, czekając na dyspozycje estońskiego Centrum Operacji Morskich. „Ćwiczenia »Spring Storm«, inaczej niż »Sea Shield«, rozgrywały się przede wszystkim na lądzie. Ale obszar, na którym operowały wojska, należało też zabezpieczyć od strony morza. Estończycy dysponują niewielką marynarką wojenną, która składa się przede wszystkim z sił przeciwinowych. Dlatego ciężar tego zadania spoczywał głównie na nas”, tłumaczy kmdr ppor. Brudniewicz. Polski kompo-

nent wykonywał symulowane uderzenia raketowe na okręty. Cele znajdowały się poza horyzontem, a informacji o nich dostarczali sami Estończycy. Za rozpoznanie byli odpowiedzialni też żołnierze polskich wojsk specjalnych, którzy korzystali z bezzałogowego systemu powietrznego. „Na Hiumie spędziliśmy tydzień. Potem wyruszyliśmy w głąb łądu. Poruszaliśmy się po drogach różnej kategorii, zarówno za dnia, jak i po zapadnięciu zmroku. W ten sposób po raz kolejny przetestowaliśmy możliwości związane z szybkim przerzutem wojsk”, zaznacza kmdr ppor. Brudniewicz. Zadania na kolejne dni były podobne do tych, które MJR wykonywała na Hiumie. Jedyna różnica: okręty znajdujące się w Zatoce Fińskiej nie były już nękane z samego wybrzeża, lecz także z głębi łądu.

A potem raz jeszcze – załadunek pojazdów na okręty transportowo-minowe i rejs przez Bałtyk, choć... jeszcze nie do domu. Prosto z Estonii marynarze skierowali się na Litwę, gdzie właśnie rozpoczynały się ćwiczenia „Baltic Fortress '21”. Stanowiły one część „Baltopsu '50”, największych na Bałtyku manewrów z udziałem NATO. „Tutaj zarysowana w scenariuszu sytuacja była odmienna niż podczas »Spring Storm«. W Estonii mieliśmy do czynienia z wojną, a na Litwie reagowaliśmy na sytuację kryzysową. Naszym zadaniem było przede wszystkim demonstrowanie gotowości, a co się z tym wiąże, odstraszenie potencjalnego przeciwnika. Musieliśmy też zmagać się z zagrożeniami asymetrycznymi”, wyjaśnia kmdr ppor. Brudniewicz. Polacy zostali przydzieleni do komponentu odpowiedzialnego za obronę wybrzeża i ochronę portu w Kłajpedzie. Współpracowali m.in. z portugalską piechotą morską.

ELEMENT SOJUSZNICZEJ UKŁADANKI

„W krajach bałtyckich spędziliśmy miesiąc. Działaliśmy w specyficznych warunkach. Pandemia COVID-19 miała duży wpływ na same przygotowania do ćwiczeń. Nie było zbyt wiele czasu, by przeprowadzić rekonesans. Często już na miejscu musieliśmy weryfikować dane przekazane nam przez gospodarzy, dla których współpraca z takim komponentem jak nasz była czymś nowym. Daliśmy jednak radę”, podsumowuje kmdr ppor. Brudniewicz.

Według przedstawicieli Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych ostatnie miesiące pokazały całkowicie nowe możliwości jednostki z Siemiowic. „Udział MJR w międzynarodowych ćwiczeniach na wschodniej flance pozwolił zademonstrować mobilność tej jednostki i zdolność do szybkiego włączenia się w system obrony przed okrętami przeciwnika”, uważa kadm. Krzysztof Zdonek z Inspektoratu Marynarki Wojennej. A kmdr Karaś dodaje: „Pokazaliśmy, że nasze moduły ogniowe mogą mieć istotne znaczenie dla układu sił w jednym z najbardziej newralgicznych obszarów odpowiedzialności NATO. Mogą też stanowić znaczący wkład w system zbiorowego bezpieczeństwa. Potwierdzili to zresztą nasi sojusznicy. Estończycy sami chcą iść w tym kierunku i kupić dla swojej marynarki wojennej nadbrzeżny system raketowy”.

PILOTOWANIE ZAPISANE W DNA

Gdy ktoś pyta, czy czasem nie czują się jak taksówkarze, odpowiadają, że owszem... Zakładając, że taksówki mają opcję desantowania pasażerów w niedostępne miejsca i poruszają się w nocy niezauważone, a na pokładzie mają strzelca z karabinem maszynowym.

EWA KORSAK

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIE-
GO WOJSKA. W CYKLU **WOJSKO
OD KULIS** PRZECZYTACIE O MA-
RYNARZACH, PILOTACH, LOGI-
STYKACH, ARTYLERZYSTACH,
PRZECIWŁOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.



Żołnierzach 7 Eskadry Działań Specjalnych mówi się, że podwożą operatorów, którzy mają do wykonania misję. Teoretycznie tak to wygląda, ale w praktyce, jak to zwykle bywa, jest znacznie bardziej skomplikowane. Zadaniem 7 Eskadry Działań Specjalnych jest prowadzenie operacji powietrznych z wojskami specjalnymi. Kryje się za tym transport specjalistów w miejsce wykonywania operacji lub takie, z którego dopiero wyruszą na akcję, desant żołnierzy, rozpoznanie powietrzne oraz wsparcie ogniowe tego rodzaju wojsk. Latają w górach, nad wodą, miastem czy lasem, głównie w nocy, bo zwykle wtedy odbywają się operacje specjalne.

LICZY SIĘ WSPÓŁPRACA

W tym roku 7 Eskadra Działań Specjalnych obchodzi dziesięciolecie powstania. Historia pododdziału rozpoczyna się z chwilą podjęcia zobowiązania wynikającego z przynależności do NATO. Polska musiała stworzyć jednostkę powietrzną gotową przerzucić wojska specjalne w rejon operacji. Dokumenty w tej sprawie powstawały na różnych szczeblach wojskowych od 2008 roku. Początkowo plan zakładał stworzenie jednostki, w końcu stanęło na pododdziale w 33 Bazie Lotnictwa Transportowego. Oficjalnie 7 Eskadra Działań Specjalnych zaczęła funkcjonować 1 lipca 2011 roku. Jedną z osób, które ją formowały, był ppłk Piotr Ciechan, dziś szef pionu bezpieczeństwa lotów 33 Bazy, a przed dziesięciu laty – dowódca zespołu lotniczego. „Kiedy powstawały wojska specjalne, było jasne, że potrzebna jest jednostka lotnicza, która będzie wspierać z powietrza ich operacje”, mówi oficer. „Bez niej nie moglibyśmy pełnić choćby dyżuru w Siłach Odpowiedzi NATO”, dodaje.

Eskadra weszła w struktury sił powietrznych. Dlaczego nie wojsk specjalnych? Ppłk Piotr Ciechan uważa, że było to najlepsze możliwe rozwiązanie. „Cóż, siły powietrzne nadzorują lotnictwo w każdym rodzaju sił zbrojnych. Poza tym pamiętajmy, że 2011 rok to były dopiero początki funkcjonowania wojsk specjalnych, ich struktura w żaden sposób nie była dopasowana do potrzeb jednostki powietrznej”, zaznacza podpułkownik. Zanim pojawiły się zadania, trzeba było skompletować zespół, który będzie w stanie je wykonać. „Szukaliśmy osób doświadczonych, o co znowu nie było tak trudno, bo wielu pilotów i techników miało za sobą misje w Iraku, Afganistanie czy Czadzie”, mówi Ciechan. Do Powidza przychodzili ludzie z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej w Tomaszowie Mazowieckim, 56 Bazy Lotniczej w Inowrocławiu czy 49 Bazy Lotniczej w Pruszcze Gdańskim. „Chętnych było sporo, przyciągały wojska specjalne i pewien powiew świeżości”, mówi jeden z pilotów. Zachętę stanowiły też szkolenia.

„Nikogo nie trzeba było uczyć latać, bo wszyscy mieliśmy doświadczenie. Chodziło raczej o współpracę w załodze, której skład był polskim siłom powietrznym nieznany, nowością była obecność w niej strzelca pokładowego”, tłumaczy oficer. Ale piloci i strzelcy pokładowi musieli zdobyć umiejętności, które pozwoliłyby im wykonywać misje bojowe na



TRZY PYTANIA DO

Piotra Kozłowskiego

Kto może służyć w 7 Eskadrze Działań Specjalnych?

Jeśli chodzi o pilotów, to tacy z doświadczeniem najlepiej trzy-, czteroletnim. Szukam ludzi maksymalnie zdeterminowanych, takich, którzy chcą pracować i nie obawiają się latać w nocy w trudnych warunkach terenowych. A jeśli chodzi o resztę załogi – nie wymagam doświadczenia, ale pracowitości i potrzeby samorozwoju. No i wszyscy muszą być wysportowani i znać angielski. To jest minimum.

Czy do współpracy z wojskami specjalnymi wymagane są jakieś dodatkowe predyspozycje?

Tak. Przede wszystkim jest to umiejętność pracy w załodze. Bez tego wspólnie prowadzona operacja nie ma szans na powodzenie. Wypracowujemy

to przez cały czas szkolenia, ale warto się zastanowić, czy mamy predyspozycje do takiego działania.

Co jednostka oferuje swoim żołnierzom?

Wszechstronność. Praca z wojskami specjalnymi daje możliwość latania w każdym terenie: nad wodą, w terenie zurbanizowanym, w górach. Nie ma tu nudy, latania z punktu do punktu. Praca z wojskami specjalnymi motywuje do samorozwoju, nie można się zatrzymać na jakimś etapie i myśleć, że jest się mistrzem świata. Gdy tak się stanie, na pewno zaraz ktoś sprowadzi cię do parteru. Jeśli takie zasady ci odpowiadają, zapraszamy. ■

Ppłk Piotr KOZŁOWSKI jest dowódcą 7 Eskadry Działań Specjalnych.



Załogi często wykonują bardzo trudne loty ze specjalnymi, gdy niezwykle ważna jest precyzja i opanowanie w trakcie desantowania.

śmigłowcach Mi-17, w które został wyposażony pododdział. Wiedzę zdobywali m.in. na kursach w USA i w Belgii, uczyli się latać w nocy we wszystkich warunkach terenowych i pogodowych. Ppłk Ciechan wspomina jednak, że kamieniem milowym dla lotników z 7 Eskadry Działań Specjalnych było opanowanie... procedur. „Musieliśmy zdobyć wiedzę o natowskich przepisach dotyczących lotnictwa specjalnego. Bez tego nie moglibyśmy ruszyć. Pomagali nam oficerowie NATO, szczególnie ze Stanów Zjednoczonych”, dodaje oficer. Lotnicy musieli również stworzyć program szkolenia adekwatny do swoich zadań. Praca nad nim była przyjemnością, bo współpracowali ze sobą ludzie otwarci, kreatywni. „Byliśmy z różnych wojskowych środowisk, jednostek, rodzajów sił zbrojnych. Prawdziwa mieszanka doświadczeń, pomysłów. Dało się wyczuć pasję”, wspomina podpułkownik.

Wreszcie przyszedł czas na to, by pododdział zaprezentować na arenie międzynarodowej. Rok po powstaniu 7 EDS piloci po raz pierwszy wzięli udział w ćwiczeniach „Logical Decision”. Oprócz Polski brały w nich udział Węgry, Macedonia i Słowacja. W kolejnym roku zadaniowy lotniczy zespół bojowy osiągnął gotowość operacyjną, co oznaczało, że może brać udział w operacjach specjalnych wspólnie

TRZONEM JEDNOSTKI SĄ PILOCI. W SIŁACH POWIETRZNYCH MÓWI SIĘ O NICH „SPECYFICZNI”, BO LATAJĄ GŁÓWNIEM W NOCY

z GROM-em, Jednostką Wojskową Komandosów, Nilem, Formozą czy Agatem.

STO DZIESIĘĆ PROCENT NORMY

Trzonem jednostki są piloci. W siłach powietrznych mówi się o nich „specyficzni”, bo latają głównie w nocy.

7 ESKADRA DZIAŁAŃ SPECJALNYCH

Ten pododdział powstał w 33 Bazie Lotnictwa Transportowego w 2011 roku. Jego pierwszym dowódcą był ppłk pil. Grzegorz Wiatrak. Od samego początku eskadra była przeznaczona wyłącznie do współpracy z jednostkami spe-



cialnymi: GROM-em, Jednostką Wojskową Komandosów, Agatem, Nilem i Formozą.

7 Eskadra Działań Specjalnych już dwa razy wydzielała zadaniowy lotniczy zespół bojowy, który pełnił dyżur w ramach Sił Odpowiedzi NATO.

WYPOSAŻENIE

Piloci 7 Eskadry Działań Specjalnych latają ośmioma śmigłowcami Mi-17, które teraz przechodzą modernizację. Poprzednia była w 2013 roku. Zmieniono wówczas przyrządy w kokpicie z analogowych na cyfrowe, śmigłowiec został wyposażony w systemy łączności, z których korzystali żołnierze wojsk specjalnych, zmodernizowano również system radionawigacyjny. Śmigłowiec otrzymał też nowoczesny system identyfikacji „swój-obcy”, kamery noktowizyjne i termowizyjne. Także w 2013 roku w śmigłowcach pojawiły się stanowiska dla



strzelców pokładowych. Żołnierze 7 Eskadry Działań Specjalnych używają M134G Minigun. Ten karabin maszynowy waży prawie 20 kg, a jego maksymalny zasięg to 1200 m.

Unormowany system pracy w ich przypadku raczej się nie sprawdza. Szkolą się w weekendy i rzadko kończą pracę o 15.30. Ale coś za coś. „W mojej poprzedniej jednostce odczuwałem głód latania. 40–50 godzin w powietrzu w ciągu roku to był maks. A ja wróciłem z misji i nie chciałem siedzieć na krześle”, mówi Arek, pilot służący w 7 Eskadrze Działań Specjalnych, który doświadczenie bojowe zdobywał na misji w Afganistanie. „Kiedy przeniosłem się do Powidza, tę liczbę godzin wylatałem w ciągu kilku pierwszych miesięcy”, dodaje oficer.

Nowo przybyłych do jednostki ludzi zaskakuje nie tylko liczba godzin spędzonych za sterami śmigłowca, lecz także rodzaj wykonywanych lotów. „Spełniają się marzenia o lataniu. W dzieciństwie z klocków lego zamiast samochodów konstruowałem samoloty”, mówi „Walo”, pilot z niewielkim stażem w pododdziale.

Trzeba podkreślić, że nie są to loty nudne. „Zadania wykonywane dla wojsk specjalnych zazwyczaj okazują się bardzo ciekawe. Kiedyś człowiek ekscytował się, gdy poleciał z punktu A do punktu B. W eskadrze robi się zdecydowanie więcej. Nie mogę mówić o szczegółach, bo dotyczą taktyki, ale to, co potrafi ten śmigłowiec, jest tu wykorzystywane

w 100%”, mówi Arek. „A może w 110? Czasami wydaje mi się, że wycisnąłem z niego wszystko, a tu okazuje się, że zawsze można coś dodać”.

Wszyscy służący w jednostce piloci zostali wyszkoleni (lub są w trakcie szkolenia) w lotach w nocy, w górach, nad wodą, nisko czy w chmurach. „Nie mamy indywidualnych specjalności, potrafimy latać w każdych warunkach”, potwierdza Arek. Dbają o to instruktorzy. „Od nich czerpiemy wiedzę i doświadczenie. W podręcznikach można znaleźć teorię, ale nie ma mowy, żeby zastąpiła ona doświadczenie instruktorów”, mówi „Walo”. „Szczupły”, doświadczony pilot i instruktor, nieco go stopuje: „Możemy być mentorami dla młodych pilotów, przedstawiać możliwości wypracowane podczas naszych lotów. Ale nie narzucimy swoich rozwiązań, bo każdy z nas jest inny. I nie chodzi tylko o charakter. Inny wzrost, inna waga, długość kończyn – już to sprawia, że dla każdego praca w kabinie wygląda inaczej”, wyjaśnia.

DOŚWIADCZENIE PRZYCHODZI Z CZASEM

Kiedy pilot może zacząć wykonywać operacje specjalne? „Szkolenia nie są długie, ale tak naprawdę liczy się doświadczenie, które ugruntuje to, czego uczysz się podczas lotów





W SKŁAD ZAŁOGI MI-17 W 7 EDS WCHODZĄ RÓWNIEŻ STRZELCY POKŁADOWI.

MÓWI SIĘ O NICH: DODATKOWA PARA OCZU. WIDZĄ TO, CZEGO PILOCI NIE SĄ W STANIE DOSTRZEC, CZYLI M.IN. WSZYST- KO, CO DZIEJE SIĘ ZA I POD ŚMIGŁOWCEM

z instruktorem”, twierdzi „Voice”, pilot i instruktor 7 Eskadry Działań Specjalnych. Do jednostki przychodzą ludzie już z jakimś przygotowaniem – minimum to latanie w dzień z ograniczoną widocznością. „Szkolenie zaawansowane rozpoczynamy od desantowania w przyziemieniu, następnie z użyciem technik linowych, potem mamy ewakuację za pomocą wyciągarki i liny nośnej, czyli tzw. grona”, wymienia „Voice”. Każdy etap jest prowadzony w dzień i w nocy, z użyciem gogli noktowizyjnych. „Wisienką na torcie, ale i najtrudniejszą częścią szkolenia są loty w górach z noktowizją. Jest w nich dużo lotniczego romantyzmu – sceneria, księżyc, gwiazdy, zwierzęta, które widać w noktowizji, ale... desantowanie żołnierzy w takim terenie w nocy nie należy do

najłatwiejszych zadań”, opowiada „Voice”. „Doświadczenie przychodzi z czasem i kolejnymi lotami. Myślę jednak, że warto sobie wziąć do serca słowa mojego dowódcy: »Nie jesteś w stanie robić wszystkiego naraz, więc musisz wiedzieć, co robić w danej chwili«”.

Poza szkoleniem typowo lotniczym załogi śmigłowców uczą się też planowania misji specjalnych. Jak sami przyznają, nie jest to łatwa sprawa. Wymaga drobiazgowości, trzeba wziąć pod uwagę wiele czynników i ustalić plany zapasowe. „Operacje specjalne są jak chirurgiczne cięcia: szybkie i precyzyjne. Sukces zapewnia im przede wszystkim dobry plan. A stworzenie go na potrzeby kilkudziesięciminutowej akcji trwa czasem kilka dni”, mówi instruktor.

W tym roku 7 Eskadra Działań Specjalnych obchodzi dziesięciolecie powstania. Historia pododdziału rozpoczyna się z chwilą podjęcia zobowiązania wynikającego z przynależności do NATO.

W skład załogi Mi-17 w 7 EDS wchodzi również strzelec pokładowy. Mówi się o nich: dodatkowa para oczu. Widzą to, czego piloci nie są w stanie dostrzec, czyli m.in. wszystko, co dzieje się za i pod śmigłowcem. „W każdej fazie lotu strzelec skanuje otoczenie oraz natychmiast reaguje na każde zagrożenie. W czasie wykonywania ćwiczeń lub zadań z wojskami, oprócz zapewnienia śmigłowcowi obrony w postaci skutecznego ognia, naszym głównym obowiązkiem jest wybór miejsca desantowania i naprowadzenie na nie pilotów”, mówi o swojej pracy Krzysiek. Jako najtrudniejsze wskazuje latanie w noktowizji. „Taka jest specyfika naszej jednostki, że większość zadań wykonujemy w nocy. Loty w goglach noktowizyjnych są bardzo męczące. To dodatkowy sprzęt, który czasami przez kilka godzin trzeba mieć na sobie. Wzrok dość szybko się męczy, a gdy do tego dodamy presję związaną z szybką analizą i wypracowaniem decyzji dotyczącej strzelania, robi się naprawdę ciężko. Takie loty wykonują ludzie z doświadczeniem. Nie wyobrażam sobie, by w nocy na stanowisku strzelca leciała osoba początkująca”, podkreśla Krzysiek.

BEZPIECZNY POWRÓT DO DOMU

Marta dopiero zaczyna karierę na stanowisku strzelca. „Zmieniłam dla eskadry całe swoje zawodowe życie, bo do niedawna byłam kontrolerką ruchu lotniczego. Nadarzyła się okazja, by latać jako strzelec pokładowy i zdecydowałam, że tego chcę. Teraz ciągle się szkolę, musiałam przejść badania, kursy naziemne, które pozwoliły mi rozpocząć szkolenie w powietrzu”, opowiada jedyna kobieta na stanowisku strzelca pokładowego w polskiej armii. „Do tej pory nikt nie dał mi odczuć, że mi nie ufa, że we mnie nie wierzy. Były obawy, czy dam radę zwinąć linę do desantowania na pokład, ale poradziłam sobie. Czasami trzeba sprawdzić, na co cię stać. I ja właśnie to robię”, mówi Marta. Pierwszy lot ze specjalsami wykonała niedawno na poligonie w Wędrzynie. „Przekazywałam pilotom informacje o tym, jak wygląda teren, na którym mieliśmy wylądować. Szczepnie mówiąc, czułam większą odpowiedzialność, niż gdy naprowadzałam statek powietrzny jako kontrolerka ruchu”, przyznaje.

Na pokładzie Mi-17 jest również technik obsługi pokładowej, który odpowiada za techniczne przygotowanie śmigłowca do lotu. „Kiedy przebywamy w jednostce, Mi-17 jest obsługiwany przez czterech specjalistów: od płatowca i silnika, osprzętu, urządzeń radio-elektronicznych oraz uzbrojenia. W czasie wylotu pracę ich wszystkich wykonuję ja lub któryś z moich kolegów”, mówi Marcin, który służy w 7 Eskadrze Działań Specjalnych jako technik pokładowy. To na nim spoczywa odpowiedzialność za sprawdzenie i przygotowanie śmigłowca do wykonania zadania. W czasie lotu technik czuwa nad parametrami pracy zespołu napędowego i przekładni, podaje też czas lotu i stan paliwa. Po wylądowaniu odtwarza gotowość bojową maszyny: tankuje ją i sprawdza wszystkie systemy. Od współpracy pilotów, strzelca i technika zależy powodzenie specjalnej operacji lotniczej. „Wszyscy wiemy, że po wykonaniu zadania cała załoga chce bez-

piecznie wrócić do domu. Dajemy z siebie wszystko, aby się udało”, podkreśla Marta.

Co jest najtrudniejsze w lotach ze specjalsami? „Świadomość, że gdy coś pójdzie nie tak – zginą ludzie”, mówi „Szczupły”. Transportowani przez śmigłowców żołnierze podczas desantu zjeżdżają na linach bez zabezpieczenia. „Musimy nad tym panować. Nie możemy ich za szybko opuszczać, bo mogą się połamać, nie możemy ich za szybko ewakuować, bo lina może zacząć szarpać i na przykład okręcić się wokół szyi”, wyjaśnia „Szczupły”.

Jak zapanować nad stresem związanym z olbrzymią odpowiedzialnością za życie innych ludzi? „Trudno znaleźć receptę dla wszystkich. Przechodzimy badania psychologiczne, psychiatryczne i być może one wyławiają osoby z odpowiednimi predyspozycjami. A w praktyce... Albo sobie radzisz, albo nie. Nie mam złotej rady”, przyznaje instruktor.

Jednym z najtrudniejszych dla pododdziału momentów był koniec sierpnia 2016 roku, gdy w czasie ćwiczeń na Westerplatte zginął jeden z żołnierzy GROM-u. Mężczyzna desantował się ze śmigłowca Mi-17 i, będąc jeszcze na linie, wpadł w przestrzeń między nabrzeżem a statkiem. Delikatnie poruszający się statek przygnoił żołnierza. Kilka godzin później zmarł w szpitalu. „Voice” był wówczas drugim pilotem w załodze feralnego lotu. „Wykonywaliśmy jeszcze zadanie, ale już w śmigłowcu wiedziałem, że coś jest nie tak”. Gdy nadleciał helikopter Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, było jasne, że sprawa jest poważna. „Wylądowaliśmy kawałek dalej. Jak bardzo jest złe, dowiedzieliśmy się od pilota LPR, który pobiegł na miejsce zdarzenia sprawdzić, co się dzieje. Kiedy wracał, był błąd. Kilka godzin później otrzymaliśmy informację, że żołnierz nie żyje”, wspomina trudne chwile pilot. „Mieliliśmy do dyspozycji psychologa, ale dla mnie największym wsparciem okazał się ówczesny dowódca GROM-u, płk Piotr Gąstał. Był bardzo spokojny, opanowany, nikogo nie winił. Zachował się jak prawdziwy przywódca”, mówi „Voice”. Rok temu prokuratura umorzyła śledztwo w tej sprawie, uznając, że wypadek nie był spowodowany przez ćwiczących żołnierzy.

„Jak w każdej robocie zdarzają się też sytuacje, kiedy nie możesz zasnąć przez pozytywne emocje”, mówi jeden z lotników. „Pewnego dnia leciałem z chłopakami z Formozy na platformę wiertniczą na Bałtyku. Osoba, która trzymała z nami łączność z platformy, powiedziała, że kilka mil dalej na statku jakiś marynarz miał wypadek. Postawienie na nogi całego dyżuru sarowskiego [Morska Służba Poszukiwania i Ratownictwa, czyli Search and Rescue] chwilę by potrwało, a my byliśmy niemal na miejscu. Polecieliśmy. Udało nam się wylądować na naprawdę niewielkim lądowisku na pokładzie statku. Było tak małe, że koła śmigłowca stały na jego krawędziach. Medyk z Formozy i jeden z naszych strzelców z przeszkoleniem medycznym zeszli na statek, zabezpieczyli marynarza, po czym wciągnęliśmy go na pokład śmigłowca. Przetransportowaliśmy poszkodowanego na ląd, gdzie czekała już karetka. Przyjemne uczucie – uratować kogoś życie”, mówi „Szczupły”. Czy zmieniłby profesję na ratowniczą? „Nie. Bycie pilotem bojowym mam zapisane w DNA”, śmieje się żołnierz. ■

ST. KPR. DAWID LUBOWSKI



Data i miejsce urodzenia: 9 czerwca 1986 roku, Świebodzin.

W wojsku służy od:

1 grudnia 2009 roku.

Zajmowane stanowisko:

dowódca drużyny
w 17 Wielkopolskiej Brygadzie
Zmechanizowanej.

EDUKACJA WOJSKOWA:

w 2018 roku ukończyłem Szkołę Podoficerską Wojsk Lądowych w Poznaniu.

ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM, BO:

lubię wyzwania.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

ślub – pomógł mi wydrościć i określić priorytety w życiu.

MISJE I ĆWICZENIA:

każde ćwiczenia wojskowe są dla mnie nowym i ważnym wyzwaniem, dlatego od 2009 żadnych nie opuściłem.

NAJLEPSZA BRON:

karabinek Beryl-C, który jest bardzo celny oraz ma prostą i niezawodną konstrukcję.

GDYBYM NIE ZOSTAŁ ŻOŁNIERZEM, BYŁBYM DZIŚ:

zawodowym strażakiem, bo największą satysfakcję daje mi pomaganie innym.

CO ROBIE PO SŁUŻBIE:

jestem strażakiem ochotnikiem, gram też amatorsko w piłkę nożną.

GDYBYM MÓGŁ ZMIENIĆ COŚ W WOJSKU:

chciałbym, żeby żołnierze korzystali z taktycznego wyposażenia modułowego, które mogłyby dopasowywać indywidualnie do swoich potrzeb.



**MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE
TO RODZINA, Z KTÓREJ CODZIENNIE
JESTEM DUMNY.**

HOBBY:



OSP



sport



muzyka



literatura



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA -SENDEK
FOT. ANNA DOMINIAK



TOMASZ ZDZIKOT

Niezbędny krok

Prawdziwie nowoczesna wojna [...] nie pociągnie za sobą prawie żadnych zniszczeń materialnych. Będzie to wojna bardzo wydajna, ekonomiczna. Jej zwycięzca będzie panem życia i śmierci na zdobytych terytoriach i wśród podbitych ludów. Będzie nimi władał w sposób bardziej suwerenny niż niegdyś królowie. Znajdujemy się u zarania rozwoju nowej broni, wcale nie śmiercionośnej, wydajniejszej niż wszystkie dotychczasowe [...]. Sprawy nabierają rozmachu od momentu, kiedy to my podpowiadamy przeciwnikowi intencje i zamiary, które on później zechce wprowadzić w życie. Jako swoje”. Tak znaczenie propagandy i dezinformacji przedstawiał Vladimir Volkoff w wydanej w 1982 roku znakomitej powieści „Montaż”. Blisko 40 lat temu nie tylko trafnie ocenił ogromny potencjał wojny informacyjnej, lecz także przejrzyście opisywał narzędzia i metody jej prowadzenia, jak choćby dziesięć przepisów na tendencyjną informację czy pięć technik pozwalających kierować postępowaniem przeciwnika. Obserwując rosyjskie działania w domenie informacyjnej, wyraźnie widać, że cele takich operacji pozostały niezmiennie, wraz z rozwojem technologii znacząco udoskonalono natomiast narzędzia i techniki.

Budowanie zdolności do skutecznego stawiania czoła zagrożeniom związanym z wojną informacyjną należy dziś do podstawowych elementów systemu bezpieczeństwa państwa. Także na poziomie sojuszniczym zostały one potraktowane bardzo poważnie. 1 września 2014 roku akredytację Sojuszu Północnoatlantyckiego uzyskało NATO Strategic Communications Centre of Excellence (NATO StratCom COE), do którego założycieli, oprócz państw bałtyckich, Niemiec, Włoch i Wielkiej Brytanii, należy także Polska. Przedmiot zainteresowania Centrum stanowi komunikacja strategiczna, której celem jest skoordynowanie i właściwe wykorzystanie działań i zdolności NATO w tym zakresie. W praktyce podstawową misją tego think tanku jest rozpoznawanie, analizowanie i przeciwdziałanie dezinformacji i manipulacji.

Czerpiąc z natowskich wzorców, także w Polsce zainaugurował swoją działalność think tank, którego aktywność będzie się skupiać wokół zagadnień domeny informacyjnej. Powstałe przy Akademii Sztuki Wojennej Akademickie Centrum Komunikacji Strategicznej zajmie się z jednej strony doskonaleniem kadr, a z drugiej przygotowywaniem analiz i ekspertyz na rzecz m.in. resortu obrony narodowej oraz rekomendacji dotyczących rozwijania komunikacji strategicznej w wojsku. Misja Centrum jest niezwykle ważna. Wiedza o tym, jak rozpoznać dezinformację i przeciwdziałać jej skutkom, jak radzić sobie z fake newsami i jak przygotować się na ekspansję zaawansowanych deepfake’ów, wykorzystujących prawdziwy wizerunek, głos i sposób zachowania wybranych osób do szerzenia fałszywych treści, musi być jak najbardziej powszechna. Już pierwszy numer wydanego przez Centrum „Biuletynu” wskazuje, że jego agenda nie odbiega od wyżej wspomnianych doświadczeń NATO StratCom COE.

Włączenie zagadnień informacyjnych do sfery bezpieczeństwa i obronności to krok niezbędny. Z perspektywy blisko 40 lat od czasu wydania „Montażu” na pewno zdecydowanie spóźniony, ale słuszny. ■

TOMASZ ZDZIKOT jest ekspertem do spraw cyberbezpieczeństwa. Był wiceministrem obrony narodowej oraz pełnomocnikiem ministra obrony narodowej do spraw bezpieczeństwa cyberprzestrzeni.

Braterstwo ponad wszystko

Szedł w pierwszej linii, jak to saper. Narażając siebie, ratował innych. Ale było wiadomo, że **sierż. Szymon Sitarczuk wykona każde zadanie.**

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Jako pierwszego polskiego żołnierza przedstawiono go do wyróżnienia tytułem honorowym „Hero of the Battle”, przyznawanym przez dowódcę Sektora Wschodniego ISAF. W dystrykcie Zanakhan w Afganistanie st. szer. Szymon Sitarczuk znalazł skrytkę, w której rebelianci ukryli 22 pociski moździerzowe. Bohaterem pola walki został również w uznaniu za swoją postawę: ranny podczas ataku na polski patrol, nadal sprawdzał drogę. Znalazł minę, która mogła zabić jego kolegów. A oni mówią, że Szymon był otwarty, szczery i przyjacielski. Jak podkreśla st. chor. Grzegorz Kot, szef kompanii rozminowania 1 Pułku Saperów, w której służył st. szer. Sitarczuk, wiadomo było, że ten saper wykona każde zadanie.

WYMARZONA SŁUŻBA

„Bazę zorganizowaliśmy w niedokończonej przybudówce u kolegi. Obowiązywała hierarchia wojskowa z nadawaniem stopni, wydawaniem rozkazów i pobytami na poligonie w pobliskim lesie”, Łukasz Stańczyk, przyjaciel z dzieciństwa, wspomina czasy, gdy Szymon bawił się w wojsko na podwórku. Wówczas jego rodzice nie myśleli, że w przyszłości ich jedynak włoży mundur. Matka, Maria Sitarczuk, opowiada, że dopiero po śmierci syna znalazła w jego pokoju szkatułkę, a w niej łuski po nabojach. Ciągnęło go do munduru.

Rodzice wsparli go, gdy podczas zasadniczej służby wojskowej zdecydował, że zostaje w wojsku. W 2005 roku, już jako żołnierz zawodowy, trafił do 1 Brzeskiej Brygady Saperów (dziś pułk). „Chętnie się uczył, chłonał wiedzę jak gąbka”, mówi st. chor. Grzegorz Kot. Przełożeni zamierzali wysłać go na kurs podoficerski, bo uważali, że w przyszłości byłby świetnym dowódcą drużyny.

Por. Tomasz Kamiński, dowódca grupy EOD (Explosive Ordnance Disposal), oddziału saperów zajmujących się m.in. rozpoznaniem, niszczeniem amunicji oraz neutralizacją improwizowanych urządzeń wybuchowych, podkreśla profesjonalizm Szymona jako sapera. „Znał się na robocie, nie szarżował. Chętnie szkolił młodych żołnierzy. Był dla nich wzorem”, opowiada.

Jednym z takich żołnierzy był kpr. Przemysław Trzos. Trafił on do 3 plutonu rozminowywania, w którym służył st. szer. Sitarczuk. Jak wspomina, Szymon nie odmawiał pomocy, nawet w drobnej sprawie. „Szybko przekonałem się, że w pełni zasługiwał na szacunek innych żołnierzy”, podkreśla podoficer.

SPRAWDZIAN UMIEJĘTNOŚCI

St. szer. Szymon Sitarczuk dwukrotnie brał udział w misji w Afganistanie: był na IV i IX zmianie polskiego kontyngentu wojskowego (PKW). Kpr. Trzos wspomina, że przegadali na temat misji wiele godzin: „Byliśmy podekscytowani wyjazdem, który miał być sprawdzianem naszego doświadczenia oraz szansą na zdobycie nowych umiejętności”.

St. chor. Grzegorz Kot, dowódca Szymona na IX zmianie PKW Afganistan, wspomina, że Szymon się nie bał, ale był ostrożny, co w saperskim fachu jest ważną cechą. „Jego mocną stroną stanowiła siła spokoju. Wiedział, że swoje zadania musi wykonywać w skupieniu. Zdawał sobie sprawę z tego, że liczą na niego koledzy z plutonów bojowych.



18 sierpnia 2021 roku przypada dziesiąta rocznica śmierci Szymona Sitarczuka. Z tej okazji zaplanowano rajd motocyklowy z udziałem żołnierzy 1 Pułku Saperów oraz bractwa motocyklowego, do którego należał.

Wiedział, że chroni ich przed minami, a w razie zagrożenia oni wesprą go ogniem”, opowiada oficer.

Szymon chciał się kształcić jako saper, uczyć od starszych kolegów. St. chor. Kot wraca pamięcią do wieczorów w bazie Ghazni w Afganistanie, gdy żołnierze z kilku saperских sekcji spotykali się i opowiadali o doświadczeniach minionego dnia: jakie zmiany dostrzegli na trasach patrolowania oraz jakie znaleźli ładunki wybuchowe. Szymon dopytywał, jak trafili na ukryte miny i jak je rozbroili. Najbardziej interesowały go przygotowywane przez afgańskich rebeliantów ajdiki [impro wizowane urządzenie wybuchowe – IED], gdyż trudniej było je rozbroić niż konwencjonalne ładunki.

ZOSTAŁA PAMIĘĆ

Tego dnia żołnierze 1 kompanii piechoty zmotoryzowanej Zgrupowania Bojowego „Alfa” wykonywali zadania patrolowe w północnej części prowincji Ghazni. Wracali już do bazy, od której dzieliło ich około 5 km. Wąską, gruntową drogę sprawdzali st. szer. Sitarczuk oraz sierż. Kot. Ich uwagę zwróciło lekkie wgłębienie w drodze, zapewne po poprzednim ładunku. Obok można było zauważyć „mrówczą ścieżkę”, ziemia była lekko wzruszona. Wezwani z patrolu żołnierze musieli zobaczyć, czy jakieś przewody nie prowadzą na pobocze. St. chor. Kot tak zapamiętał tę chwilę: „Zobaczyłem, że Szymon kłeka. Usłyszałem, że mówi: »Chyba coś znalazłem«”. I nastąpił wybuch. Zdetonowane zostało IED, po czym polski patrol zaatakowano z broni strzeleckiej. Żołnierze odpowiedzieli ogniem, a rebelianci się wycofali.

W oficjalnym komunikacie podano, że 18 sierpnia 2011 roku st. szer. Szymon Sitarczuk zginął w wyniku ataku na polski patrol. Podczas pożegnania w bazie w Ghazni – na znak braterstwa i żołnierskiej solidarności – trumnę z ciałem poległego żołnierza wprowadzili na lądowisko śmigłowców koledzy z grupy inżynieryjnej Zgrupowania Bojowego „Alfa”, w której pełnił służbę przez ostatnie miesiące. Podczas ceremonii pogrzebu asystował pluton honorowy PKW w Afganistanie.

St. szer. Szymon Sitarczuk pośmiertnie został awansowany na stopień sierżanta, a także odznaczony Gwiazdą Afganistanu i Krzyżem Kawalerskim Orderu Krzyża Wojskowego. 18 sierpnia 2021 roku przypada dziesiąta rocznica jego śmierci. „Rodzice Szymona dostaną od nas specjalną antyrwę z pamiątkami po nim, m.in. jego beretem, coinami, polską flagą”, zapowiada kpr. Przemysław Trzos.

Maria i Stanisław Sitarczukowie mówią, że nie ma dla nich nic ważniejszego niż pielęgnowanie pamięci po Szymonie. Pamiętają o nim koledzy z 1 Pułku Saperów oraz z 17 Brygady Zmechanizowanej. „Odwiedzają nas, zapraszają na uroczystości w jednostce. Jest to dla nas ważne”, przyznają rodzice.

W centralnej części pułku znajdują się tablice upamiętniające dwóch żołnierzy, którzy polegli na misjach: sierż. Szymona Sitarczuka oraz por. Wiesława Kucińskiego. „Pamiątki im poświęcone można oglądać w sali tradycji, a ich nazwiska są wspominane w apelach pamięci” – dodaje por. Paweł Romek, szef sekcji wychowawczej 1 Pułku Saperów.

„Szymon zasłużył na pamięć”, przyznają bliscy sapera. ■

P O L E G L I

Pamiętamy



st. chor. Łukasz Sroczyński

3 sierpnia 2013 roku, PKW Afganistan



st. kpr. Dariusz Tylanda

6 sierpnia 2010 roku, PKW Afganistan



sierż. Wiktor Lenczewski

8 sierpnia 1992 roku, UNDOF Syria

kpt. Daniel Ambroziński

10 sierpnia 2009 roku, PKW Afganistan



st. kpr. Marek Dziak

14 sierpnia 1994 roku,
UNPROFOR b. Jugosławia

plut. Jerzy Abram

14 sierpnia 2000 roku, KFOR Kosowo

por. Łukasz Kurowski

14 sierpnia 2007 roku, PKW Afganistan



sierż. Szymon Sitarczuk

18 sierpnia 2011 roku, PKW Afganistan



kpr. Sylwester Kutrzyk

19 sierpnia 2004 roku, PKW Irak

kpr. Grzegorz Rusinek

19 sierpnia 2004 roku, PKW Irak

plut. Waldemar Sujdak

20 sierpnia 2008 roku, PKW Afganistan



kpr. Paweł Szwed

20 sierpnia 2008 roku, PKW Afganistan



kpr. Paweł Brodzikowski

20 sierpnia 2008 roku, PKW Afganistan



kpr. Krystian Andrzejczak

21 sierpnia 2004 roku, PKW Irak

st. chor. sztab. Mirosław Łucki

24 sierpnia 2013 roku, PKW Afganistan



STRAŻNICY STREF

**Kolejne państwa inwestują
w duże, nowoczesne jednostki
patrolowe, które wchodzą w skład
marynarek wojennych oraz straży przybrzeżnych.**

TADEUSZ WRÓBEL

Projekt norweskiej jednostki „Svalbard” (na zdjęciu) posłuży kanadyjskiej marynarce do budowy okrętów OPV typu Harry DeWolff. „Svalbard” jest okrętem straży przybrzeżnej, a de facto lodolamaczem.





W

siłach morskich wielu państw w czasach pokoju duże okręty patrolowe klasy Offshore Patrol Vessel (OPV) wykonują gros zadań związanych z dozorowaniem akwenów, zwłaszcza wyłącznych stref ekonomicznych, ale zwykle pozostają w cieniu niszczycieli, fregat i korwet.

Pierwszymi oceanicznymi patrolowcami były statki handlowe lub rybackie uzbrojone w działka i karabiny maszynowe. Jednak obecnie istnieje wiele projektów jednostek przeznaczonych specjalnie do takich zadań.

SWOBODNA KLASYFIKACJA

Klasa OPV jest dość pojemna, bo są do niej zaliczane okręty o wyporności zarówno kilkuset, jak i kilku tysięcy ton. Kluczowym wyznacznikiem jest tu zdolność do działań na otwartym morzu. Z kolei do operacji w pobliżu wybrzeży są przeznaczone łodzie patrolowe.

Do największych OPV na świecie należą okręty typu Thacon di Revel zaprojektowane przez grupę stoczniową Fincantieri, określane jako wielozadaniowe jednostki patrolowe (pattugliatori polivalenti d'Altura – PPA). Pierwszy z siedmiu zamówionych patrolowców (w planach jest 16) wejdzie do służby jeszcze w 2021 roku. Mają one powstać w trzech wariantach, będą miały aż 143 m długości i wyporność pełną, zależnie od wersji, od 5830 do 6270 t. Niewiele mniejsze od nich są kutry amerykańskiej straży przybrzeżnej typów Legend i Heritage o wyporności 4600 t. To gigantyczne jednostki, bo trzeba pamiętać, że za duży uchodzi już OPV o długości 70–100 m i wyporności 1500–2000 t. Takie rozmiary

umożliwiają bowiem wyposażenie okrętu w hangar i lądowisko dla śmigłowca lub drona czy też obu naraz. Dysponowanie statkami powietrznymi zwiększa możliwości wykorzystania OPV do dozoru konkretnego akwenu oraz zdolność do szybkiej interwencji. Zamawiający zwykle oczekuje, by na pokładzie było miejsce nie tylko dla załogi, w tym personelu lotniczego, lecz także dla pasażerów.

Standardowym uzbrojeniem OPV są armaty morskie i karabiny maszynowe oraz np. działka wodne. Zdarza się jednak, że projektanci przygotowują okręt w taki sposób, aby można było zamontować na nim systemy rakietowe, m.in. pociski przeciwokrętowe, gdyby zaszła taka konieczność. Bywa, że patrolowiec jest wyposażony w zaawansowane uzbrojenie już podczas budowy. I tak np. Bułgaria zamówiła w 2020 roku dwa wielozadaniowe modułowe okręty patrolowe według projektu OPV 90 niemieckiej firmy Lürssen, które mają dysponować m.in. pociskami przeciwokrętowymi i przeciwlotniczymi. Także dwie z trzech wersji włoskich patrolowców będą miały wyrzutnie pocisków tego typu, a jedna dodatkowo wyrzutnie lekkich torped przeciwko okrętom podwodnym. Włoskie i bułgarskie patrolowce są zresztą przykładem powolnego zacierania się tradycyjnej klasyfikacji okrętów wojennych.

OPV mają różnego typu napędy. Niektóre są wyposażane w nowoczesne siłownie dieselowo-gazowe, które pozwalają im osiągać prędkość do 30 w. Jednak w przypadku patrolowców ten parametr nie jest najważniejszy. Kluczowy okazuje się zasięg przy prędkości ekonomicznej i czas przebywania na morzu.

Specyficzne oczekiwania klientów spowodowały, że firmy stoczniove oferują kolejne wersje jed-



Na światowym rynku OPV głównymi graczami są firmy z Europy Zachodniej, ale zaczynają z nimi rywalizować Chiny.



Bulgaria zamówiła w 2020 roku dwa okręty według projektu OPV 90 (na zdjęciu) niemieckiej firmy Lürssen. Te wielozadaniowe modułowe jednostki patrolowe mają dysponować m.in. pociskami przeciwokrętowymi i przeciwlotniczymi.

NOWY OPV MOŻE KOSZTOWAĆ

OD KILKUDZIESIĘCIU DO KILKUSET MILIONÓW EURO LUB DOLARÓW. O CENIE DECYDUJĄ NIE TYL ROZMIARY, ILE UZBROJENIE I SYSTEMY POKŁADOWE OKRĘTU

nostek oparte na tym samym projekcie, ale różniące się zarówno uzbrojeniem i wyposażeniem, jak i wielkością, a tym samym zaliczane do zupełnie innych klas, czyli mogące być patrolowcami, korwetami lub fregatami. Obok okrętów Gowind francuskiej firmy Naval Group reprezentantami tej koncepcji są rodzina Avante hiszpańskiej Navantii i Sigma holenderskiego Damen. Choć tych projektów nie zamówiły rodzime marynarki wojenne, to wzbudziły one zainteresowanie za granicą. Obecnie Francuzi realizują kontrakt na oparte na projekcie Gowind trzy 1650-tonowe OPV dla Argentyny, a Hiszpanom udało się zdobyć zamówienia na patrolowce od Wenezueli i Maroka.

Z kolei rodzime marynarki wojenne zamówiły w wymienionych firmach OPV według innych projektów. Damen zbu-

dował cztery patrolowce typu Holland o wyporności pełnej 3750 t, a hiszpańską Armadę zasililo sześć okrętów typu Meteor o wyporności pełnej 2840 t, które powstały w ramach programu „Buques de Acción Marítima”, zakładającego budowę na modułowej platformie różnych jednostek, w tym ratowniczej i oceanograficznej.

Francuzi, posiadający wyłączne strefy ekonomiczne o największej powierzchni na świecie, uznali, że potrzebują do ich dozoru trzech różnych typów okrętów. W latach 2025–2029 do służby ma wejść dziesięć patrolowców oceanicznych (patrouilleur océanique – PO) o wyporności około 2000 t. Wcześniej, w latach 2023–2025, pojawi się we francuskiej flocie sześć patrolowców zamorskich (patrouilleurs d’outre-mer – POM) o wyporności 1300 t. Pod



trójkolorową banderą już od kilku lat operują zaś trzy 760-tonowe okręty (patrouilleurs Antilles-Guyane – PAG).

DOPASOWANE DO ZADAŃ

Francuska różnorodność jest powiązana z akwenami, na których mają operować poszczególne typy patrolowców, i charakterem istniejących zagrożeń. Najmniejsze PAG, przeznaczone do dozoru wód wokół Gujany Francuskiej w Ameryce Południowej i Antyli Francuskich na Karaibach, zostały zaprojektowane tak, by mogły operować zarówno na morzu, jak i rzekach. Głównymi ich zadaniami są ochrona łowisk oraz zwalczanie przemytu narkotyków. Jednostki stacjonujące w Gujanie dozoruja też wybrzeża podczas startów rakiet kosmicznych z kosmodromu w Kourou. Z kolei POM-y przeznaczone do działań na wodach zamorskich departamentów Francji na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim. Jednostki te muszą być większe, bo obszary ich odpowiedzialności są duże, a to wymaga też pełniejszej autonomiczności francuskich patrolowców.

Dlatego z prędkością 12 w. POM będzie mógł przebyć 5500 Mm i pozostawać w morzu do 30 dni. Z kolei operujące z baz morskich na wybrzeżu Francji PO mają być przystosowane do odbywania 40-dniowych rejsów bez konieczności uzupełniania zapasów.

Jeśli chodzi o wersje włoskich patrolowców, to o przewidywanych dla nich zadaniach decyduje uzbrojenie. Niedysponujący rakietami PPA Light ma patrolować wybrzeża i zwalczać przestępczość na morzu. Z kolei PPA Light+ i PPA Full, mające bogatszy arsenał, będą zdolne do działań militarnych, w tym do zwalczania wrogich okrętów wojennych.

Także w innych państwach europejskich inwestycje w wielkie patrolowce są związane z kontrolą nad akwenami wokół ich zamorskich posiadłości. Rząd Portugalii, posiadającej wyspy na Atlantyku, zaaprobował w maju zamówienie sześciu 1600-tonowych OPV typu Viana do Castelo. Cztery takie jednostki są już w służbie. Dla Wielkiej Brytanii kluczowe znaczenie ma zapewnienie bezpieczeństwa Falklandom na południowym Atlantyku, do których swe roszczenia wysuwa Argentyna. Brytyjczycy mają również terytoria zamorskie na Karaibach. Dlatego w tym roku wszedł do służby piąty patrolowiec należący do drugiej generacji typu River.

Państwa leżące na północy inwestują w jednostki patrolowe mogące działać w Arktyce. Kanada realizuje program budowy ośmiu OPV o wyporności około 6,6 tys. t. Sześć z nich otrzyma marynarka wojenna, a dwa straż przybrzeżna. Kanadyjskie OPV typu Harry DeWolf, oparte na projekcie, według którego powstała jednostka „Svalbard” dla norweskiej straży przy-



FINCANTIERI

JEDNYM Z NAJWIĘKSZYCH OPV NA ŚWIECIE BĘDZIE WŁOSKI TYP THAON DI REVEL ZAPROJEKTOWANY PRZEZ GRUPĘ STOCZNIOWĄ FINCANTIERI

brzeżnej, będą de facto lodołamaczami. Podobne jednostki o wyporności aż 23,3 tys. t, nazwane polarnymi kutrami bezpieczeństwa, mają trafić do amerykańskiej Coast Guard.

Wiele krajów uznaje potrzebę posiadania OPV nie tylko po to, by zapewnić sobie suwerenność na akwenach morskich. Jednostki tej klasy sprawdzają się w zewnętrznych operacjach militarnych o małej intensywności działań, jak chociażby zwalczanie piractwa na wodach wschodniej Afryki czy powstrzymanie nielegalnej migracji na Morzu Śródziemnym. Koszty udziału w takiej misji okrętu patrolowego są niższe niż fregaty czy korwety, choćby z powodu mniej licznych załóg.

WAŻNE PIENIĄDZE

Na światowym rynku OPV głównymi graczami są stocznie z Europy Zachodniej, ale zaczynają z nimi rywalizować Chiny. Firmy budują gotowe okręty lub sprzedają ich projekty. Poza tym oferują doradztwo, zarządzanie programami budowy i integrację sys-

temów. Zainteresowanie taką kooperacją rośnie, ponieważ budowa OPV nie jest tak skomplikowana technologicznie jak fregat czy korwet. Patrolowce powstają w stoczniach coraz większej liczby krajów. Dzięki temu unika się kosztownego importu, a przy tym inwestuje w rozwój rodzimego przemysłu stocznioowego. Przykładem dążenia do samowystarczalności jest Indonezja, gdzie już obecnie większość z kilkuset jednostek patrolowych marynarki wojennej i straży przybrzeżnej powstała w kraju. Podobnie postępują też inne państwa Azji Południowo-wschodniej (Tajlandia, Malezja czy Wietnam) oraz Ameryki Łacińskiej (Meksyk, Brazylia, Chile).

Nowy OPV może kosztować od kilkudziesięciu do kilkuset milionów euro lub dolarów. O cenie decydują nie tyle rozmiary, ile uzbrojenie i systemy pokładowe okrętu. Wpływ na cenę ma też liczba zamówionych jednostek, a nawet miejsce budowy. Dlatego Bułgaria zapłaci za dwa OPV o wyporności rzędu 2100 t 503 mln euro, a Australia za tuzin 1640-tonowych patrolowców typu Arufa – opartych na projekcie OPV 80 tej samej firmy – około 2,23 mld euro. Tymczasem Portugalia chce wydać na sześć swoich OPV tylko 352 mln euro, niewiele więcej niż Argentyna zapłaciła Francuzom za cztery podobne jednostki.

Niezależnie od ceny patrolowce znajdują nabywców i ten rynek jeszcze się rozwinie. Jest to związane z pojawianiem się kolejnych sporów terytorialnych, często wynikających z odkrywania nowych podmorskich złóż surowców naturalnych. ■

Doskonały wybór



AW101

Najbardziej zaawansowany technologicznie śmigłowiec morski na świecie. Stworzony do operowania w ekstremalnych warunkach. Sprawdzony w wielu misjach wojskowych i doceniony przez wiodące państwa NATO. Wkrótce wejdzie do służby Marynarki Wojennej RP, jako ważny element bezpieczeństwa polskiego Bałtyku.

AW101 zostanie dostarczony przez PZL-Świdnik, przemysłowy filar Leonardo, jedyną firmę w Polsce zdolną do zarządzania pełnym cyklem życia śmigłowca.

Dziękujemy za powierzone zadanie i zaufanie.

**Zapraszamy do odwiedzenia naszego stoiska podczas MSPO 2021,
Hala E - Stoisko 29, Stoisko zewnętrzne ZF-5**

Zainspirowani wizją, ciekawością świata i kreatywnością wielkiego mistrza i wynalazcy – w Leonardo tworzymy technologie przyszłości.


PZL-ŚWIDNIK
1951 - 2021



F-15EX mają udźwig około 12-13 t i są w stanie zabrać nawet największe pociski typu powietrze-powietrze.

TONY POD SKRZYDŁAMI

Myśliwiec przewagi powietrznej F-15EX Eagle II w nowej wersji dzięki imponującemu udźwigowi ma zapewnić US Air Force większe możliwości operacyjne.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Choć dzisiaj próżno szukać dowodów dawnej świetności tego miejsca, na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego wieku lotnisko w Tuszyń, obecnie dzielnicy handlowo-sportowej Moskwy, było najważniejszym takim obiektem w ZSRR. Przynajmniej dla Zachodu. To tam odbywały się największe parady lotnicze w sowieckiej Rosji, na których z dumą prezentowano najnowsze wojskowe statki powietrzne. A trzeba pamiętać, że w czasie zimnej wojny była to jedna z niewielu okazji, aby podejrzeć radziecki wyścig zbrojeń.

W 1966 roku Moskwa pochwaliła się w Tuszyń prototypami samolotów MiG-23 i MiG-25. Szczególne zainteresowanie USA wzbudziła druga konstrukcja, która zapowiadała się jako jeden z najlepszych ówczesnych samolotów bojowych. Potwierdziła to kolejna dekada, gdyż MiG-25 do 1976 roku ustanowił 25 rekordów świata, w tym prędkości lotu i prędkości wznoszenia na 25 km. Po analizie zdjęć MiG-25 Amerykanie zaczęli się obawiać, że będzie to maszyna o właściwościach lotnych, szczególnie w zakresie zwrotności, zdecydowanie przewyższających możliwości samolotów wykorzystywanych

przez US Air Force. W efekcie znacząco zwiększyli swoje oczekiwania wobec myśliwca, który miał powstać z myślą o nowej doktrynie obronnej USA.

NOWE NARZĘDZIE

Jak wynikało z nowej koncepcji obronnej z tamtych lat, USA powinny być bardziej przygotowane do konfliktów o niskiej intensywności. Wiązało się to ze znaczącą reformą zadań US Air Force. Amerykańskie lotnictwo nie miało się już koncentrować na obronie sił własnych i osłonie swojego lotnictwa bombowego. Zgodnie z założeniami powinno być zdecydowanie bardziej ofensywne i walczyć o przewagę powietrzną już nad terytorium przeciwnika, atakując jego samoloty przy użyciu Air Superiority Fighter, czyli myśliwca przewagi powietrznej.

Program dotyczący ich opracowania otrzymał oznaczenie F-X (Fighter Experimental), a przemysłowi lotniczemu (13 firmom) przedstawiono listę wymagań, jakie powinien spełniać samolot – m.in. wysoka manewrowość, prędkość 2,5 Ma, radar w wyposażeniu i kierowanie nim pociski powietrze–powietrze – w grudniu 1965 roku. Niestety żaden z projektów nie uzyskał aprobaty dowództwa sił powietrznych, które obawiało się głównie zbyt dużej masy maszyny (co negatywnie wpływałoby na zwrotność). Opracowano więc nowe wymagania – zmniejszono m.in. masę startową do 18 t, prędkość maksymalną zredukowano do 2,3 Ma, ale za to zwiększono stosunek ciągu do masy. W 1968 roku do przetargu na F-X zaproszono osiem amerykańskich firm, były to: McDonnell Douglas, North American, Grumman, General Dynamics, Lockheed, Northrop, Fairchild Republic i Boeing. W grudniu 1969 roku ogłoszono, że najlepiej oceniony został projekt 199-B koncernu McDonnell Douglas i to on trafi do seryjnej produkcji jako F-15 Eagle, czyli orzeł.

Prototyp jednomiejscowej maszyny F-15A odbył swój pierwszy lot w lipcu 1972 roku, a rok później wzniósł się w powietrze pierwszy dwumiejscowy, szkolno-bojowy TF-15A. Produkcję seryjną rozpoczęto 1 marca 1973 roku, a pierwsze liniowe egzemplarze przekazano US Air Force półtora roku później. W F-15 znalazła się większość ówczesnych nowinek technicznych, mających znacząco poprawić jego właściwości lotne i bojowe. Samolot wyposażono w systemy wspomagania sterowania, czyli Control Augmentation System (CAS) oraz wspomagania stateczności, czyli Stability Augmentation System (SAS), a kabinę skonstruowano zgodnie z nową koncepcją HOTAS (Hands on Throttle and Stick), czyli ręce wyłącznie na drążku sterowym i dźwigni sterowania silnikami. To dlatego dane celownicze i parametry lotno-pilotażowe były wyświetlane na wyświetlaczu przeziernym HUD (Head-Up Display). O ile elektronika faktycznie wyróżniała F-15, o tyle konstrukcję płatowca trudno nazwać rewolucyjną. To był klasyczny gór-

nopłat z trapezowym skrzydłem i podwójnym usterzeniem, które zastosowano, aby zwiększyć jego stateczność w lotach naddźwiękowych oraz właściwości manewrowe.

Choć dowództwo US Air Force było zadowolone z F-15A/B Eagle, to szybko zaczęło oczekiwać, że producent ulepszy maszynę. Jej największą słabość stanowił zbyt mały zapas paliwa, co powodowało, że miała mocno ograniczony zasięg. Poprawki konstrukcyjne – w tym nowe wewnętrzne zbiorniki, kadłub przeprojektowany pod kątem dodatkowych zbiorników paliwa (z którymi zasięg był większy o 77%) – przyniosły sporą poprawę. A ponieważ wraz z innymi ulepszeniami, w tym wzmocnionym podwoziem i strukturą płatowca (zwiększono

dopuszczalne przeciążenia z 7 do 9 g), pakiet modyfikacji był duży, armia zdecydowała się nazwać te samoloty F-15C (wersja jednoosobowa) i F-15D (wersja szkolno-treningowa).

Gdy F-15 C/D wchodziły do służby na szeroką skalę, US Air Force rozpoczęły na początku lat osiemdziesiątych poszukiwania następcy wielozadaniowego samolotu dalekiego zasięgu F-111 Aardvark. Do walki o kontrakt stanęły wówczas General Dynamics z F-16XL oraz McDonnell Douglas z ulepszoną, dwumiejscową wersją F-15 oznaczoną literą „E”. Ku zasko-

czeniu wielu obserwatorów, w US Air Force zdecydowano się sięgnąć po konstrukcję McDonnella – Strike Eagle. Samolot ten, którego prototyp oblatano w 1986 roku, mógł zabrać ponad 8 t więcej bomb niż F-15C/D, został też przystosowany to przenoszenia pełnego (wówczas) zakresu uzbrojenia bombowego i raketowego.

CZAS NA KOLEJNĄ ODSŁONĘ

Obecnie amerykańska armia wykorzystuje zarówno F-15C/D, jak i F-15 Strike Eagle. Jednak te pierwsze znajdują się przede wszystkim w wyposażeniu jednostek Gwardii Narodowej, a drugie są używane przez jednostki US Air Force. Kiedy więc kilka lat temu Pentagon ogłosił, że chce zastąpić F-15C/D nowym modelem F-15, oznaczonym jako F-15EX, większość ekspertów odebrała to jako zapowiedź prostego unowocześnienia sił powietrznych gwardii.

Tymczasem okazuje się, że plany Pentagonu są nieco inne. Dzięki F-15EX chce on znacząco zwiększyć możliwości operacyjne całych US Air Force. F-15EX mają bowiem udźwig około 12–13 t uzbrojenia i są w stanie zabrać nawet największe pociski typu powietrze–powietrze, których nie można podwieścić np. pod F-35. Eksperci podkreślają, że nie będą to samoloty „pierwszorzutowej walki”, lecz wsparcia dla konstrukcji piątej i szóstej generacji. Jeden z amerykańskich dowódców określił je nawet mianem ciężarówki z raketami. Właśnie dlatego Pentagon nie wyklucza, że jeżeli F-15EX spełni pokładane w nim nadzieje, to w przyszłości zastąpi nie tylko gwardyjskie F-15C/D, lecz także liniowe F-15E. ■

PIERWSZY Z OŚMIU PROTOTYPOWYCH F-15EX TRAFIŁ KILKA TYGODNI TEMU DO BAZY LOTNICZEJ NA FLORYDZIE, GDZIE KADRA US AIR FORCE PODDA GO SZCZEGÓŁOWYM TESTOM



USA

WYŻSZA SZKOŁA JAZDY

TEXTRON

Korpus piechoty morskiej zamierza wymienić około 600 pochodzących z lat osiemdziesiątych XX wieku wozów LAV-25 8X8.

Latем 2021 roku polecono, aby prototypy zaawansowanego pojazdu rozpoznawczego **Advanced Reconnaissance Vehicle (ARV)** opracowały dwie firmy – General Dynamics Land Systems i Textron Systems. Bardziej zaawansowana w pracach nad takim projektem wydaje się ta druga, ponieważ prowadzi badania nad wozem Cottonmouth 6x6. Niewykluczone jednak, że żołnierze piechoty mor-

skiej w przyszłości zdecydują się na trzecią opcję. Koncern BAE Systems ma bowiem sprawdzić, czy w ARV mogą zostać przekształcone pływające wozy bojowe ACV (Amphibious Combat Vehicle), już wcześniej wybrane przez ten korpus. Program ARV jest związany z wymianą około 600 pochodzących z lat osiemdziesiątych XX wieku wozów LAV-25 8X8. Wojsko chce, by ich następca – wyposażony

w zaawansowane systemy dowodzenia, kontroli, łączności i komputerowe – mógł działać jako bezzałogowy pojazd o wysokiej mobilności zarówno na lądzie, jak i w wodzie. Informacje ma uzyskiwać z pokładowych sensorów służących do rozpoznania, obserwacji i wskazywania celów, a także od współpracujących z nim bezzałogowych statków powietrznych. WR

INDONEZJA

PŁYWAJĄCY CZOŁG



Wyposażona w dwa silniki i dwa pędniki strugowodne jednostka typu Antasena, o wyporności 43 t i zasięgu 600 Mm, może poruszać się z prędkością marszową 40 w.

PT PINDAD

Trwają testy łodzi szturmowej służącej do prowadzenia działań na otwartym morzu, wodach przybrzeżnych, rzekach, a nawet bagnach. Konsorcjum, którego liderem stała się firma stoczniowa PT Pindad, zaprojektowało katamaran specjalnie dla indonezyjskiej marynarki wojennej, do której zadań należy zapewnienie bezpieczeństwa na wodach kraju, który tworzy 17,5 tys. różnej wielkości wysp. W bezzałogowej wieży ulokowa-

nej na nadbudówce umieszczono armatę automatyczną Cockerill kalibru 30 mm z 225 nabojami w dwubębnowym systemie podawania, montowany współosiowo karabin maszynowy kalibru 7,62 mm, wyrzutnie granatów dymnych i system wykrywania snajperów. Dodatkowym uzbrojeniem antaseny są dwa karabiny kalibru 12,7 mm. Mostek i sterownia zostały opancerzone na poziomie 5 według natowskiego STANAG 4569, co

zapewnia ochronę m.in. przed trafieniem pociskiem podkalibrowym APDS-T wystrzelonym z odległości 500 m.

Poza pięcioosobową załogą indonezyjska jednostka może zabrać 60-osobowy desant, więc jest pływającym bojowym wozem piechoty. Lokalne media nazwały ją jednak „łodzią czołgiem” ze względu na wizualizację jednostki z wieżą uzbrojoną w armatę Cockerill Farlic kalibru 105 mm. TED



PGZ



MODERNIZACJE I REMONTY SPRZĘTU PANCERNEGO

CENTRUM SERWISOWE POJAZDÓW GAŚNIENICOWYCH

SZKOLENIA ZAŁÓG I SŁUŻB TECHNICZNYCH

BUMAR@BUMAR.GLIWICE.PL

BUMAR.GLIWICE.PL



Mural dla powstańców

Rosomak SA oraz Fundacja Polskiej Grupy Zbrojeniowej upamiętniły wybuch III Powstania Śląskiego.

W czerwcu 2021 roku w Siemianowicach Śląskich na budynku i murze spółki Rosomak SA powstał wyjątkowy mural historyczny, upamiętniający wybuch III powstania śląskiego. To wspólna inicjatywa spółki Rosomak SA oraz Fundacji Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Projekt jest hołdem dla lokalnej społeczności, która bohaterstwo walczyła o wolność kraju. Wpisuje się on w działania podejmowane przez Fundację i spółkę, które szczególną wagę przywiązują do podtrzymywania i upowszechniania tradycji narodowej, pielęgnowania polskości oraz rozwoju świadomości narodowej, obywatelskiej i kulturowej.

Mural historyczny, wzbogacając krajobraz miejski Siemianowic Śląskich i aglomeracji śląskiej, jest istotnym przekazem wpisującym się w nurt współczesnej edukacji historycznej.

PRZED WSZYSTKIM BOHATEROWIE

Projekt muralu został stworzony z wykorzystaniem kilku podstawowych założeń. Intencją organizatorów było upamiętnienie bohaterów tamtych wydarzeń, urodzonych lub zamieszkałych w Siemianowicach Śląskich, którzy – poza Wojciechem Korfantym – pozostawali w cieniu pamięci historycznej.

Powstała praca najbardziej wyróżniają niezwykłą szczegółowość, fotorealizm oraz fragmenty trójwymiarowe. Dodatkowym elementem obrazu są, w ciągu dnia niemal niewidoczne, rysunki przedstawiające KTO Rosomak. Wyraźnie można je zobaczyć jedynie w nocy, po włączeniu specjalnie

zainstalowanych w tym celu lamp UV. Powierzchnia muralu to około 500 m².

Główną postacią, przedstawioną na najwyższej ścianie, jest płk Jan Emil Stanek, jeden z dowódców powstańczych, mieszkaniec Siemianowic Śląskich, sąsiad i znajomy Wojciecha Korfatego. Płk Stanek wydał rozkaz rozpoczęcia II powstania śląskiego – gdyby nie jego decyzja, zostałyby ono odwołane. Po powstaniach służył w Wojsku Polskim. W czasie II wojny światowej trafił do sowieckiej niewoli, gdzie jako oficer miał zostać zastrzelony w Katyniu, ale udało mu się uciec w czasie transportu. Był również więźniem obozu koncentracyjnego i przeżył marsz śmierci. Po wojnie, za dalszą działalność polityczną, został aresztowany przez UB. Po wyjściu z aresztu nadal miał problemy z ówczesną władzą, m.in. odebrano mu mieszkanie. Zmarł w 1961 roku.

Obok niego przedstawiono, również urodzonego w Siemianowicach Śląskich, Wojciecha Korfatego, dowódcę dwóch powstań śląskich. W wyborach uzupełniających do Reichstagu z czerwca 1918 roku pokonał niemieckiego kandydata, mimo że jawnie opowiadał się za oderwaniem Górnego Śląska, Wielkopolski i części Pomorza od Rzeszy. 25 października 1918 roku wystąpił w parlamencie berlińskim z postulatem przyłączenia tych ziem do Polski. Wszedł też w skład Naczelnej Rady Ludowej, kierującej od końca grudnia tegoż roku powstaniem wielkopolskim. W 1920 roku był polskim komisarzem plebiscytowym na Górnym Śląsku, energicznie agitując za Polską. Po niezbyt korzystnej dla Polski interpretacji wyni-



Projekt jest hołdem dla lokalnej społeczności, która bohaterstwo walczyła o wolność kraju.

ków plebiscytu z marca 1921 roku przez Radę Ambasadorów Ententy stanął na czele III powstania śląskiego.

Tłem dla tych postaci jest wóz powstańczy Korfanty, który, co ciekawe, w pewnym momencie również znajdował się na terenie Siemianowic Śląskich.

Na muralu znajdują się odtworzone wizerunki powstańców i postaci w różnych sytuacjach. Zdjęcie na schodach wykonano przy istniejącym do dzisiaj budynku Poczty Polskiej w centrum Siemianowic Śląskich, przed wyruszeniem do walki. W sfotografowanej grupie znajduje się dziadek jednego z pracowników spółki oraz dowódca grupy – Karol Gajdzik.

Pierwszym, wyraźnie widocznym w dolnej części muralu bohaterem jest Tadeusz Bawół. Był on działaczem siemianowickiego gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, pełnił rolę kuriera razem ze Zdzisławem Stęślickim. To także członek Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, uczestnik III powstania. Na świecie był znany jako tenor operowy używający pseudonimu Franco Beval, którego odkryła Janina Korolewicz-Waydowa na przesłuchaniu zorganizowanym na prośbę Katowickiego Towarzystwa Muzycznego, chcącego poznać opinię na temat jego głosu. Po pomyślnym przesłuchaniu Bawół został skierowany na intensywną naukę śpiewu, a 3 lutego 1935 roku miał swój sceniczny debiut w warszawskim Teatrze Wielkim w roli Jontka z „Halki” Moniuszki. W 1937 roku wyjechał jako stypendysta do Mediolanu, gdzie zamierzał kontynuować naukę. 9 stycznia 1940 roku wystąpił w La Scali – w operze Umberta Giordana jako tytułowy Andrea Chénier. Odnosił wówczas sukces, który zaowocował licznymi propozycjami z włoskich teatrów. W kwietniu 1940 roku powrócił do La Scali, ale w swej karierze występował także na innych europejskich scenach operowych, włącznie z Covent Garden w Londynie. Choć artystyczny świat zwrócił na niego uwagę za sprawą fenomenalnego tenora, w Polsce był zupełnie nieznan.

Obok Tadeusza Bawoła znajduje się portret wspomnianego już Karola Gajdzika. Urodził się w Przelajce (obecnie dzielnica Siemianowic Śląskich), należał do TG „Sokół”. Uczestniczył we wszystkich powstaniach śląskich. Był do-

wódcą 4 Pułku Powstańczych wojsk. W sierpniu 1922 roku wraz z grupą najbardziej zasłużonych powstańców został odznaczony przez marszałka Józefa Piłsudskiego Krzyżem Virtuti Militari. W 1939 roku dowodził oddziałem samoobrony w Przelajce. Aresztowany przez gestapo, został osadzony w obozie koncentracyjnym, przeżył marsz śmierci. Po II wojnie światowej był represjonowany przez władze PRL-u. Zmarł w 1955 roku w Siemianowicach Śląskich.

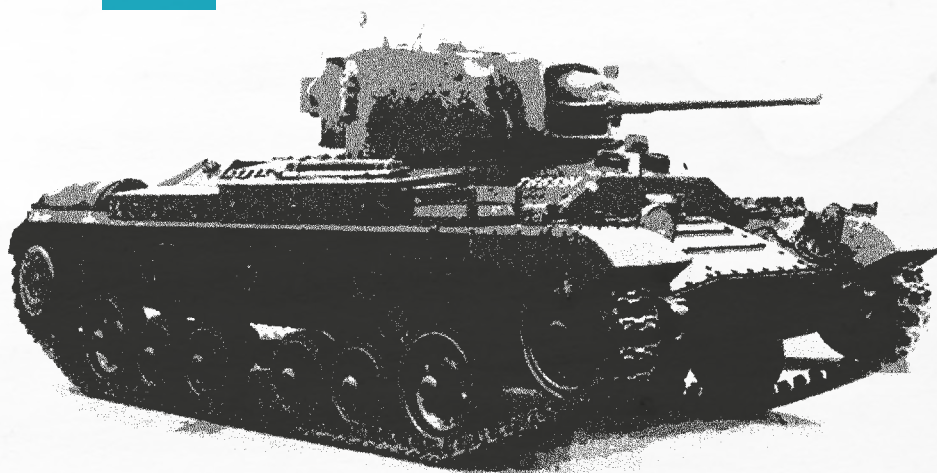
Kolejną postacią wyróżniającą się w centralnej części pracy jest Walenty Fojkis, który w czasie III powstania był dowódcą 1 Pułku Powstańczego im. J. Piłsudskiego. We wrześniu 1939 roku dowódca Powstańczej Samoobrony kopalni „Michał”. Po zakończeniu wojny został naczelnikiem gminy Michałowice i posłem na Sejm RP i Sejm Śląski.

Ostatnią przedstawioną postacią jest Zdzisław Tadeusz Stęślicki, syn dr. Jana Nepomucena Stęślickiego, działacz TG „Sokół”, kurier Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska. Ochotnik-żołnierz 1 Pułku Strzelców Bytomskich, uczestnik akcji plebiscytowej II i III powstania śląskiego. W III powstaniu, jako porucznik Wojska Polskiego, pełnił służbę przy Komendzie Głównej Powstańczej. Był oficerem zawodowym w randze kapitana 58 Pułku Piechoty, z Poznania przeniesiony do Korpusu Ochrony Pogranicza Sarny. We wrześniu 1939 roku otrzymał nominację na kwatermistrza pułku i pełnomocnictwa zastępcy dowódcy pułku. 16 września 1939 roku prowadził pułk do nocnego natarcia na Niemców pod Sądową Wisznią, wyszedł z okrążenia, rozbijając oddziały niemieckiej dywizji zmotoryzowanej. Po wkroczeniu Sowiec dostał się do niemieckiej niewoli. Po wojnie już nie podjął służby.

WYKONANIE

Kompleksowa realizacja projektu została powierzona Wojciechowi Walczykowi. W ostatnich latach namalował wiele murali, m.in. o tematyce patriotycznej, w tym dla miasta Katowice serię obrazów na temat powstań śląskich. Jego mural „Korfanty” uznawany jest za jeden z najlepszych w tym mieście.

źródło: dr hab. Zdzisław Janeczek, historyk



Valentine

Jest zaliczany do czołgów piechoty. Pierwsze wozy Valentine przekazano do jednostek polskich w Wielkiej Brytanii pod koniec 1940 roku. Jednak największym ich użytkownikiem była 2 Brygada Czołgów, która latem 1943 roku miała ich ponad sto.

Valentine Mark III

- ❶ Masa bojowa – 16,7 t
- ❷ Długość – 5,56 m
- ❸ Szerokość – 2,63 m
- ❹ Wysokość – 2,58 m
- ❺ Silnik – wysokoprężny AEC A 190 o mocy 131 KM
- ❻ Zapas paliwa – 164 l
- ❼ Opancerzenie – 15–65 mm
- ❽ Uzbrojenie – armata 2 pdr OQF Mk IX kalibru 40 mm (62 naboje), karabin maszynowy Besa kalibru 7,92 mm, przeciwlotniczy karabin maszynowy Bren kalibru 7,7 mm
- ❾ Załoga – 4 żołnierzy



A13 Mk III Covenanter

Problemy z chłodzeniem silnika czołgu szybkiego sprawiły, że nie wysłano go do Afryki Północnej i używano tylko do szkolenia. W maju 1942 roku covenantery otrzymała 16 Brygada Czołgów, a potem też 10 Brygada Kawalerii Pancernej. Razem było to około 200 wozów.

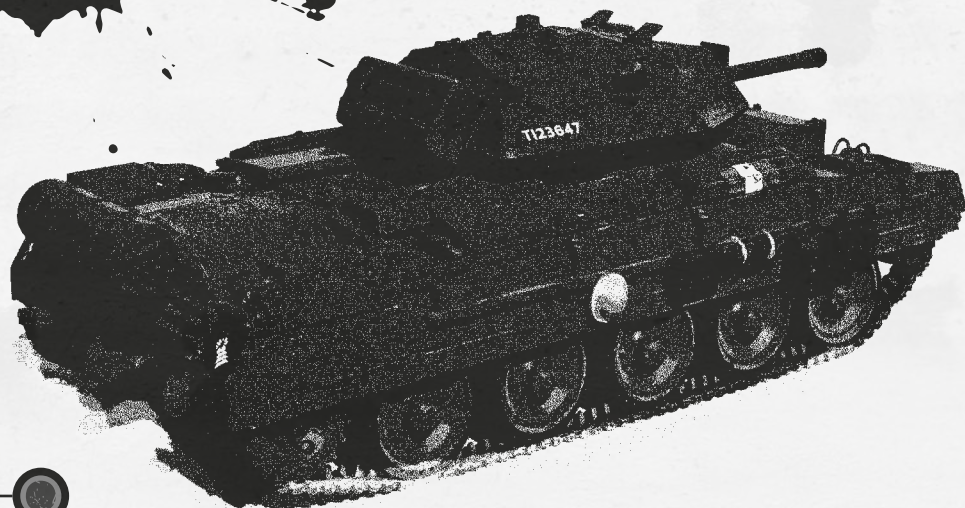
OD VALENTYNY DO CENTAURA

Do szkolenia polskich pancerniaków w Wielkiej Brytanii, a potem też na Bliskim Wschodzie wykorzystywano w latach 1940–1945 wiele typów brytyjskich czołgów, które pod względem masy można uznać za średnie.

Maszyn przeznaczonych do szkolenia nigdy nie użyto w boju, gdyż były to pojazdy przestarzałe, które wycofywano z jednostek liniowych, zastępując je m.in. amerykańskim sprzętem. Korzystano też z czołgów, których ze względu na wady konstrukcyjne nigdy nie wysłano na front. W Wielkiej Brytanii, zgodnie z opracowaną w okresie międzywojennym koncepcją

użycia broni pancernej, zrezygnowano z tankietek. Z kolei czołgi podzielono na te wsparcia piechoty oraz pościgowe, a dosłownie krążownicze. Pierwsze z nich były silnie opancerzone, ale powolne. Ich zadanie polegało na wsparciu piechurów podczas atakowania linii obronnych wroga i ich przełamania. Maksymalna grubość pancerza wozu Matilda II wynosiła

78 mm. W przypadku A10, jednego z pierwszych czołgów pościgowych, było to zaledwie 30 mm. W wozach przeznaczonych do samodzielnych działań na tyłach wroga stawiano na prędkość kosztem pancerza. Ów podział miał wpływ na struktury organizacyjne wojsk. W armii brytyjskiej istniały brygady pancerne i brygady czołgów.



Covenanter Mark IV

- ❶ Masa bojowa – 18,45 t
- ❷ Długość – 5,8 m
- ❸ Szerokość – 2,625 m
- ❹ Wysokość – 2,24 m
- ❺ Silnik – benzynowy Meadows Flat – 12 D.A.V. o mocy 300 KM
- ❻ Zapas paliwa – 328 l
- ❼ Opancerzenie – 7–40 mm
- ❽ Uzbrojenie – armata 2 pdr OQF Mk IX kalibru 40 mm (87 naboł), karabin maszynowy Besa kalibru 7,92 mm
- ❾ Załoga – 4 żołnierzy

A15 Crusader

Jesienią 1942 roku „krzyżowiec”, używany w Afryce Północnej, zaczęto przekazywać do pułków 10 Brygady Kawalerii Pancernej i 16 Brygady Pancernej, należących do 1 Dywizji Pancernej. Latem 1943 roku dywizja gen. Stanisława Maczka miała około 300 crusaderów.

Crusader Mark III

- ❶ Masa bojowa – 19,8 t
- ❷ Długość – 5,98 m
- ❸ Szerokość – 2,64 m
- ❹ Wysokość – 2,24 m
- ❺ Silnik – benzynowy Liberty Mk II o mocy 340 KM
- ❻ Zapas paliwa – 500 l
- ❼ Opancerzenie – 9–51 mm
- ❽ Uzbrojenie – armata 6 pdr OQF Mk III/ Mk V kalibru 57 mm (65 naboł), karabin maszynowy Besa kalibru 7,92 mm
- ❾ Załoga – 3 żołnierzy

OPRAC. TADEUSZ WRÓBEL
GRAF. MD/DZIAŁ GRAFICZNY

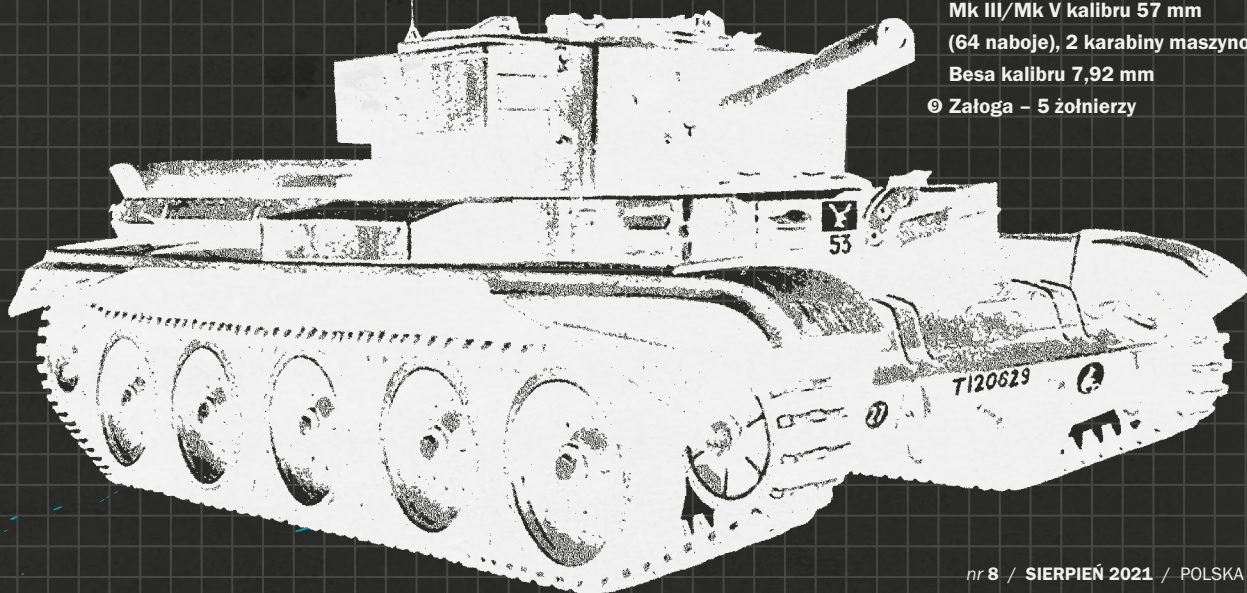
Część brytyjskich czołgów piechoty i pościgowych jako główne uzbrojenie miała haubice zamiast armat przeciwpancernych.

A27L Centaur

Na bazie doświadczeń z walk w latach 1940–1941 powstały lepiej opancerzone i uzbrojone czołgi Centaur i Cromwell, różniące się głównie silnikami. Pierwsze wykorzystywano do szkolenia, a ich największym polskim użytkownikiem była 16 Brygada Pancerna.

Centaur Mark I

- ❶ Masa bojowa – 27 t
- ❷ Długość – 6,37 m
- ❸ Szerokość – 2,9 m
- ❹ Wysokość – 2,345 m
- ❺ Silnik – benzynowy Liberty Mk V o mocy 410 KM
- ❻ Zapas paliwa – 500 l
- ❼ Opancerzenie – 20–64 mm
- ❽ Uzbrojenie – armata 6 pdr OQF Mk III/Mk V kalibru 57 mm (64 naboje), 2 karabiny maszynowe Besa kalibru 7,92 mm
- ❾ Załoga – 5 żołnierzy



STRATEGIE

/ AZJA



Laos
jeszcze do niedawna
miał w wyposażeniu czołgi
T-34. Rosjanie pozyskali stamtąd
30 legendarnych maszyn (na
zdjęciu), całkowicie przy tym
sprawnych i idealnie nadających
się do muzeów, na pokazy, de-
filady czy do kręcenia fil-
mów historycznych.

MOCNY UŚCISK BRATA

W poszukiwaniu sojuszników
Kreml prowadzi batalię dyplomatyczną,
próbując zdobyć sobie w Laosie przyczółek
potrzebny do poszerzania wpływów
w Azji Południowo-Wschodniej.

ROBERT SENDEK

ILIYA PITALEV/SPUTNIK/EAST NEWS



G

dy na początku 2019 roku media światowe – w tym również polskie – obieżyła informacja, że Rosja sprowadziła z jednego z krajów azjatyckich partię czołgów T-34, podawano to jako ciekawostkę. Rzeczywiście, sprawa wydawała się nader interesująca:

oto bowiem przetransportowano do Władywostoku 30 maszyn, które – choć ich konstrukcja pamięta jeszcze lata II wojny światowej – w służbie wojskowej pozostawały do ostatnich dni, są w pełni sprawne, jeżdżą i strzelają. Kraj, który jeszcze do niedawna miał w wyposażeniu czołgi T-34, to Laos.

Całą sprawę Rosjanie propagandowo rozegrali po mistrzowsku. Pozyskali bowiem w ten sposób znaczną liczbę legendarnych maszyn, całkowicie przy tym sprawnych i idealnie nadających się do muzeów, na pokazy, defilady czy do kręcenia filmów historycznych. Dlatego też nie było zapewne dziełem przypadku to, że w dniu, w którym poinformowano opinię publiczną o transporcie czołgów, na ekrany rosyjskich kin wchodził film wojenny w reżyserii Aleksieja Sidorowa pod tytułem... „T-34”, wyświetlany później również w Polsce. Nieprzypadkowo też Rosjanie pozyskali czołgi właśnie z Laosu – to raczej wynik skutecznej pracy rosyjskiej dyplomacji. Za malowniczą historią o laotańskich T-34 kryje się bowiem wielka polityka.

ROSJA NAD MEKONGIEM

Laos, właściwie Laotańska Republika Ludowo-Demokratyczna, to niewielki kraj położony na Półwyspie Indochińskim. Leżący w głębi lądu, bez dostępu do morza, pozostaje też z dala od wielkiej polityki – a przynajmniej tak było do niedawna. Nie ma w świecie takiej sławy jak np. sąsiednia Tajlandia, zaś jego historia najnowsza, choć tragiczna, nie jest powszechnie aż tak znana, jak w przypadku dwu innych sąsiadów, Kambodży i Wietnamu. Mimo to – a może właśnie dlatego, że leży nieco na uboczu – Laos stał się dla rosyjskich strategów interesującym miejscem na geopolitycznej mapie świata.

Kraj ten od lat utrzymuje bliskie relacje z Rosją. W 2020 roku oba państwa uroczystie obchodziły 60. rocznicę nawiązania kontaktów dyplomatycznych. W okresie zimnej wojny Związek Sowiecki mocno zaangażował się w geopolityczne gry na Półwyspie Indochińskim, a najbardziej oczywistym ich przejawem była wojna w Wietnamie, podczas której Kreml wspierał ruchy lewicowe i komunistyczne w poszczególnych krajach regionu. W rezultacie m.in. sowieckiej pomocy oraz wietnamskiego wsparcia laotańscy komuniści objęli rządy w kraju po obaleniu króla w połowie lat siedemdziesiątych. Raz zdobytej władzy nie oddali do dziś – Laos, podobnie jak sąsiedni Wietnam, pozostaje oficjalnie państwem socjalistycznym. To właśnie dlatego przez lata ZSRS pozostawał głównym dostawcą sprzętu wojskowego do tego kraju. Do początku lat dziewięćdziesiątych, tj. do upadku ZSRS, w Laosie przebywali także sowieccy instruktorzy wojskowi. Po rozpadzie Związku Sowieckiego rosyjsko-laotańskie więzy nieco się rozluźniły, jednak od kilku lat można obserwować odrodzenie wzajemnych relacji.

Kluczowa dla dwustronnych kontaktów wojskowych była wizyta w 2016 roku w Soczi Thonglouna Sisoulitha, wówczas premiera, dziś prezydenta Laosu, nawiasem mówiąc – wychowanka sowieckich szkół wyższych, znającego język rosyjski. Odbывała się ona w ramach szczytu Rosja–Stowarzyszenie Narodów Azji Południowo-Wschodniej, jednak Rosjanie wiele uwagi poświęcili właśnie Laosowi. Zawarte wówczas kontakty doprowadziły do kolejnych podróży polityków laotańskich do Moskwy i rosyjskich do Wientianu. Spośród nich najważniejsza dla współpracy wojskowej obydwu krajów stała się robocza wizyta ministra obrony Federacji Rosyjskiej Siergieja Szojgu w Laosie w styczniu 2018 roku. Poczynione wówczas ustalenia Sisoulith podsumował słowami: „Doceniamy rozwój stosunków między Rosją a Laosem na obecnym etapie. Możemy powiedzieć, że wszystko, co znajduje się w wyposażeniu sił zbrojnych Laosu, związane jest z Rosją”. Z kolei atmosferę ówczesnych rozmów najlepiej oddawały słowa, które wypowiedział laotański minister obrony,

W 2020 roku Laos i Rosja uroczystie obchodziły 60. rocznicę nawiązania kontaktów dyplomatycznych.

W 2018 roku Rosjanie utworzyli w Wientianie filię Międzynarodowego Centrum Przeciwminowego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Na zdjęciu rosyjscy instruktorzy przeprowadzają rekonesans w rejonie jednego z pól minowych w Laosie.

KLUCZOWA DLA DWUSTRONNYCH KONTAKTÓW WOJSKOWYCH

BYŁA WIZYTA W 2016 ROKU W SOCZI THONGLOUNA SISOULITHA, WÓWCZAS PREMIERA, DZIŚ PREZYDENTA LAOSU, NAWIASEM MÓWIĄC – WYCHOWANKA SOWIECKICH SZKÓŁ WYŻSZYCH, ZNAJĄCEGO JĘZYK ROSYJSKI

gen. Chansamone Chanyalath: „Stosunki między armiami obu krajów można nazwać braterskimi”.

SAMOLOTY, SZKOLENIA, MINY

Efektom wizyty Szojgu w Wientianie było nawiązanie bliskiej współpracy wojskowej, która dość szybko przyniosła konkretne efekty. Najbardziej oczywistym jest przekazanie rok później przez Laos wspomnianych czołgów T-34, ale to tylko jeden z wielu przykładów rosnącego zaangażowania Rosji w kraju nad Mekongiem. Laos ma niewielką armię, wyposażoną w sprzęt cokolwiek już przestarzały, w większości produkcji sowieckiej. To dla Rosjan dobry punkt wyjścia,

bowiem żołnierze laotańscy ze sprzętu rosyjskiego korzystają od lat, znają go i – jak pokazał przykład pozostających w rezerwie do ostatnich dni czołgów T-34 – potrafią go użytkować. Wzajemne kontakty przyniosły więc wiele umów dotyczących dostaw rosyjskiego sprzętu wojskowego do Laosu. Chodzi przede wszystkim o partię zmodernizowanych wozów T-72B1. Stanowiły one tak duże wzmocnienie laotańskich sił zbrojnych, że rząd w Wientianie zdążył się nimi w styczniu 2019 roku pochwalić – czołgi wzięły bowiem udział w defiladzie z okazji rocznicy powstania sił zbrojnych Laosu. Swoją drogą, praktycznie cały sprzęt wojskowy pokazany podczas tej defilady wyprodukowano w Rosji: czołgi T-54/55 i PT-76,



WAŻNYM ELEMENTEM INTENSYWNEJ WSPÓŁPRACY MIĘDZY ROSJĄ A LAOSEM SĄ WSPÓLNE ĆWICZENIA WOJSKOWE POD KRYPTONIMEM „LAROS”

pojazdy opancerzone BRDM-2M, transportery BTR-60 czy wozy piechoty BMP-1. Moskwa poza tym przekazała Laosowi dotychczas cztery z dziesięciu zamówionych samolotów szkolno-treningowych Jak-130. Ponieważ mogą one również pełnić funkcję maszyn myśliwskich lub wsparcia, znacząco wzmocnią potencjał obronny kraju. Wiadomo również, że został podpisany kontrakt na remont pozostających w wyposażeniu laotańskiej armii rosyjskich śmigłowców Mi-17 oraz dostawę do Laosu innych rosyjskich śmigłowców.

Intensywnie rozwija się ponadto współpraca szkoleniowa. W 2018 roku Rosjanie utworzyli w Wientianie filię Międzynarodowego Centrum Przeciwwinowego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Wkrótce potem powstał także firmowany przez rosyjską armię ośrodek szkoleniowy. Rosyjscy instruktorzy prowadzą tam kursy dla żołnierzy laotańskich. Najistotniejszym elementem tych inicjatyw było jednak przysposobienie Laotańczyków do zorganizowanej przez Rosjan szeroko zakrojonej akcji usuwania niewybuchów w kilku punktach kraju. Wyjaśniając Rosjanom powody podjęcia tej misji, rosyjskie media podkreślały, że w okresie trwania wojny w Wietnamie lotnictwo amerykańskie zrzuciło na sąsiedni Laos (gdzie ukrywała się część komunistycznej partyzantki wietnamskiej) nawet 3 mln bomb. Odbywało się to w ramach operacji „Barrel Roll”, która miała na celu przerwanie tras zaopatrzeniowych i szlaków przerzutowych dla wietnamskiej partyzantki komunistycznej. „Barrel Roll” uchodzi za najbardziej intensywną operację bombardowania w dziejach ludzkości, jej skutki zaś, w postaci licznych niewybuchów i dużych obszarów wyłączonych z użytkowania, są odczuwane do dzisiaj. Rosyjscy saperzy wyjeżdżali do Laosu z misją oczyszczania terenu w trzech turach, jesienią 2019 roku, a także wiosną i jesienią 2020 roku. Usuwali niewybuchy m.in. z obszaru lotniska wojskowego w pobliżu stołecznego Wientianu, podjęli również działania w prowincji Xieng Khouang w północno-wschodniej części kraju. Po-

za oczyszczaniem terenu i pracami szkoleniowymi Rosjanie przekazali również Laotańczykom niezbędny sprzęt, w tym wykrywacze min i odzież saperską. Wiadomo, że oprócz tych inicjatyw rosyjskie plany obejmują również postawienie budynku delegatury ministerstwa obrony Rosji.

Ważnym elementem intensywnej współpracy między Rosją a Laosem są wspólne ćwiczenia wojskowe pod kryptonimem „Laros”. Po raz pierwszy odbyły się one w grudniu 2019 roku na laotańskim poligonie Ban Peng. Z kolei jesienią tego roku ruszą ćwiczenia „Laros-2021”, przeprowadzane tym razem w Kraju Nadmorskim, położonym na Dalekim Wschodzie Federacji Rosyjskiej. Laotańscy żołnierze w 2019 i 2020 roku brali również udział w międzynarodowych igrzyskach wojskowych organizowanych corocznie w Rosji.

A MOŻE COŚ WIĘCEJ

Gdy w kwietniu 2021 roku ogłoszono zakończenie misji saperów rosyjskich w Laosie, pojawiły się informacje o tym, że na rozminowanym terenie w prowincji Xieng Khouang ma powstać baza lotnicza. Nie do końca jest jeszcze jasne, czy ma to być baza wojsk powietrznych Laosu budowana przez Rosjan, czy też Rosjanie budują ją właściwie dla siebie. Być może obydwie te przypuszczenia są prawdziwe, ponieważ pojawiły się pogłoski, że rozbudowa ma uwzględniać dwie strefy: dla lotnictwa cywilnego i dla lotnictwa wojskowego, laotańskiego i rosyjskiego. Swoistą wskazówką, że Rosjanie starają się o zapewnienie sobie możliwości korzystania z laotańskich lotnisk, może być podpisany przez Siergieja Ławrowa podczas jego wizyty w Wientianie 7 lipca protokół zmieniający istniejące dotychczas rosyjsko-laotańskie międzyrządowe porozumienie w sprawie ruchu lotniczego. Wprawdzie tekst protokołu nie został upubliczniony, wydaje się jednak, że obecna aktualizacja dokumentu zawartego przecież nie tak dawno, bo w 2017 roku, może służyć właśnie ułatwieniu przyszłego korzystania z przestrzeni powietrznej przez rosyjskie samoloty wojskowe. ■



LAOS stał się dla rosyjskich strategów interesującym miejscem na geopolitycznej mapie świata.



T A D E U S Z W R Ó B E L

Głuchy telefon

”
Miedzy władzami Republiki Korei i Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej 27 lipca 2021 roku przywrócono bezpośrednią łączność. Kontakty zostały zerwane ponad rok temu przez północnokoreański reżim zirytowany tym, że sąsiad z południa tolerował wysyłanie (za pośrednictwem balonów) ze swojego terytorium wrogich materiałów propagandowych przez linię demarkacyjną. Powodem pogorszenia stosunków dwustronnych było też fiasko drugiego szczytu, na którym spotkali się Kim Dzong Un i Donald Trump. Korea Północna przed rokiem wykonała jeszcze jeden gest mający wymiar propagandowy. Wysadziła w powietrze międzykoreańskie biuro graniczne, które zostało zbudowane po to, aby polepszyć komunikację między państwami będącymi formalnie w stanie wojny.

Teraz najwyraźniej jednak Pjongjang chce poprawić relacje dyplomatyczne, o czym świadczy kolejne wydarzenie. Kim Dzong Un w wystąpieniu 28 lipca 2021 roku przy okazji zjazdu weteranów wojny z lat 1950–1953 mówił o wyzwaniach związanych z przedłużającą się pandemią koronawirusa, ale – w odróżnieniu od ubiegłorocznego przemówienia – nie wspomniał o arsenale nuklearnym i potrzebie jego wzmocnienia.

Ograniczona wiedza o wewnętrznych mechanizmach funkcjonowania reżimu w Pjongjangu sprawia, że można tylko spekulować, dlaczego zdecydował się on na ocieplenie stosunków z Seulem. Prawdopodobnie ma to związek z doniesieniami, że sytuację ekonomiczną KRLD, i tak bardzo trudną na skutek sankcji międzynarodowych, dodatkowo pogorszyła izolacja kraju spowodowana pandemią, a zwłaszcza zamknięcie granicy z Chinami. Mieszkańcom Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej najprawdopodobniej grozi kolejna klęska głodu. Pjongjang, tak jak zdarzało się to w przeszłości, zdecydował się na deeskalację napięcia na arenie międzynarodowej, bo liczy na to, że uda się mu uzyskać pomoc humanitarną, w tym żywność i szczepionki przeciwko wirusowi SARS-CoV-2. Niewykluczone, że reżim zauważył również, że Seul ma bardzo dobre kontakty z obecną administracją w Waszyngtonie i może pomóc w nawiązaniu kontaktów z USA. Ale nawet gdyby do tego doszło, to raczej wątpliwe jest, że prezydent Joe Biden zdołałby przekonać Kim Dzong Una do realnej denuklearyzacji kraju. Powód wydaje się prosty – arsenał jądrowy jest najskuteczniejszą gwarancją trwania jego rządów. ■

”

T A D E U S Z W R Ó B E L jest publicystą „Polski Zbrojnej” specjalizującym się w kwestiach dotyczących bezpieczeństwa międzynarodowego i przemysłu obronnego oraz historii konfliktów zbrojnych.



W 2021 roku przypada 50. rocznica podpisania przez Malezję, Wielką Brytanię, Australię, Nową Zelandię i Singapur Układu Obronnego Pięciu Sił. Jednym z przejawów współpracy tych państw jest obecność w malezyjskiej bazie lotniczej Butterworth (na zdjęciu) australijskich samolotów, które wykonują loty patrolowe m.in. nad Morzem Południowochińskim.

POMIĘDZY MOCARSTWAMI

TADEUSZ WRÓBEL

Władze Malezji starają się zapewnić bezpieczeństwo w kraju i chronić jego interesy ekonomiczne, zachowując jednocześnie neutralność w sporach pomiędzy Chinami i USA.

Malezja stara się pozostać na uboczu rywalizacji wielkich mocarstw, jednak nie jest to łatwe ze względu na roszczenia Pekinu do większości powierzchni Morza Południowochińskiego, w tym części malezyjskiej wyłącznej strefy ekonomicznej. Rząd w Kuala Lumpur, bacznie obserwowany przez opozycję, jest zmuszony reagować na aktywność militarną Chińczyków na spornym obszarze, jak np. naruszenie 31 maja te-

go roku przez 16 chińskich samolotów przestrzeni powietrznej wyłącznej strefy ekonomicznej w pobliżu malezyjskiej prowincji Sarawak na wyspie Borneo. W 2019 roku ówczesny minister obrony Mohamad Sabu mówił w parlamencie o ciągłym wkraczaniu obcych okrętów wojennych i jednostek paramilitarnych w pobliże wysp i obiektów na Morzu Południowochińskim, do których Malezja rości sobie prawo własności. Choć nie wskazał wtedy konkretnego państwa,



Dozorem akwenów morskich oprócz marynarki wojennej zajmują się straż przybrzeżna – Agensi Penguatkuasaan Maritim Malaysia. Dysponuje ona ponad 200 jednostkami

plywającymi różnej wielkości, w tym 13 klasy OPV. Ich liczba zwiększy się niebawem o trzy duże nowoczesne patrolowce typu Tun Fatimah (na zdjęciu).

175 Mm od wybrzeży Malezji, czyli w głębi jej wyłącznej strefy ekonomicznej. Na ruch Pekinu zareagowały Stany Zjednoczone i Australia, wysyłając okręty w pobliże chińskiej floty. Po kilku dniach wzajemnej obserwacji jednostki obu stron odpłynęły.

Dla Malezji kontrola nad ławicami Luconia ma strategiczne znaczenie, gdyż pozwala zabezpieczyć połączenia morskie i lotnicze pomiędzy jej częścią kontynentalną a prowincjami Sarawak i Sabah w północnej części wyspy Borneo, w większości należącej do Indonezji. Warto przy tym pamiętać, że w latach 1963–1966 doszło do zbrojnego konfliktu o te prowincje z południowym sąsiadem, który Malezja wygrała przy wsparciu Brytyjczyków. Utrata ławic spowodowałaby pomniejszenie wyłącznej strefy ekonomicznej, a tym samym ograniczenie akwenu przeznaczonych do połowów morskich. Równocześnie Malezja straciłaby też prawo do eksploatacji zasobów pod dnem morskim.

KŁOPOTLIWY ZWROT

Pomimo sporów terytorialnych malezyjskie władze starają się utrzymywać dobre relacje z Pekinem, co wynika z realizmu politycznego. Chiny są największym partnerem gospodarczym Malezji, podobnie jak wielu innych państw Azji. Minister spraw zagranicznych Hishammuddin Hussein podczas swej wizyty w Pekinie w kwietniu tego roku nazwał Chiny „starszym bratem”, za co spotkała go w kraju fala krytyki. „To nie jest język i styl, który powinien być używany w świecie dyplomacji i w stosunkach międzynarodowych, ponieważ powstaje wrażenie, że Malezja ma status zagranicznej marionetki”, powiedział lider opozycji Anwar Ibrahim. W reakcji na krytykę Hishammuddin Hussein wyjaśnił, że zwrot „starszy brat” stanowił wyraz jego szacunku dla chińskiego ministra spraw zagranicznych Wang Yi i nie odnosił się do relacji Malezji z Chinami.

Współpracując z Państwem Środka w sferze ekonomicznej, Malezja utrzymuje bliskie relacje polityczno-wojskowe z krajami zachodnimi. W tym roku przypada 50. rocznica podpisania kluczowego dla jej bezpieczeństwa Układu Obronnego Pięciu Sił. Oprócz Malezji jego stronami są



eksperti wojskowi byli pewni, że miał na myśli stałą obecność statków chińskiej straży przybrzeżnej w pobliżu ławic Luconia (malezyjska nazwa Beting Patinggi Ali), które znajdują się około 54 Mm od Sarawaku. Niektórzy z geografów uważają je za część wysp Spratly, kontrolowanych i zmilitaryzowanych przez Chińczyków.

SPORNE ŁAWICE

Majowy incydent lotniczy nie był pierwszą tego typu sytuacją w malezyjskiej części Morza Południowochińskiego w tym roku. W kwietniu pojawił się tam chiński statek badawczy „Haiyang Dizhi 8” w eskorcie jednostek straży przybrzeżnej. Chińczycy śledzili statek zakontraktowany przez malezyjski koncern Petronas, który poszukiwał złóż ropy naftowej pod dnem morskim. Doszło do tego w odległości

Wielka Brytania, Australia, Nowa Zelandia i Singapur. W ramach tego sojuszu istnieje system wspólnej obrony powietrznej. Tworzą go Malezja, Australia i Singapur. Jednym z przejawów owej współpracy jest obecność od 40 lat w malezyjskiej bazie lotniczej Butterworth australijskich samolotów, najczęściej morskich patrolowo-uderzeniowych. Obecnie stacjonują tam P-8A Poseidon, które wykonują loty patrolowe m.in. nad Morzem Południowochińskim.

Owa kooperacja jest dla Malezji bardzo ważna, ma ona bowiem dość ograniczone zdolności w powietrznym dozoru swych akwenów morskich. Od połowy lat dziewięćdziesiątych kraj ten dysponuje lekkimi maszynami patrolowymi Super King Air (obecnie trzema). W 2010 roku pojawiły się informacje o planach zakupu czterech CN-235MP od Indonezji, ale nie doszło do transakcji. Dopiero jesienią 2020 roku w ramach amerykańskiej inicjatywy bezpieczeństwa morskiego (Maritime Security Initiative) rozpoczęła się konwersja na morskie samoloty patrolowe trzech malezyjskich transportowców CN-235-200M.

Z kolei w maju ubiegłego roku Malezja odebrała pierwszy z sześć z tuzina zestawów bezzałogowych statków powietrznych ScanEagle, sfinansowanych przez USA. To potwierdza bliskie relacje wojskowe łączące Kuala Lumpur z Waszyngtonem, opierające się na umowie dwustronnej o współpracy militarnej. Malezja preferuje takie bilateralne porozumienia i podpisała je z wieloma państwami, głównie z Azji.

STRATEGICZNE INWESTYCJE

Malezja uważa, że podstawą jej bezpieczeństwa są własne zdolności obronne. Dlatego po majowym incydencie, który Hussein określił jako „poważne zagrożenie dla suwerenności kraju”, ogłoszono, że zostanie zamówione 18 lekkich odrzutowych samolotów bojowych. Będą one wykorzystywane również do zaawansowanego szkolenia pilotów. Maszyny te zastąpią będące w wyposażeniu od ćwierćwiecza brytyjskie hawki 208, których użyto do zidentyfikowania chińskich samolotów podczas wspomnianego incydentu.

Plan modernizacyjny „Capability 55” zakłada zakup do 2025 roku kolejnych 18 samolotów tego samego typu, które zastąpią hawki 108 oraz użytkowane od lat osiemdziesiątych szkolne włoskie odrzutowce MB-339AM. W tym samym czasie jest planowane nabycie sześciu zestawów patrolowych dronów. Zapowiedź zakupów lotniczych znalazła się w przyjętej w grudniu 2019 roku przez parlament pierwszej w historii Malezji białej księdze obronności. Zgodnie z tą publikacją obrona prze-

strzeni powietrznej kraju ma być wzmocniona przez nowy rakiety system przeciwlotniczy średniego zasięgu oraz dodatkowe radary.

Malezja – zajmująca większość strategicznego półwyspu, który jest naturalną barierą rozdzielającą Ocean Indyjski i Pacyfik – od lat inwestuje w modernizację marynarki wojennej. W minionej dekadzie zamówiono jednostki, które zwiększą zdolności floty do dozoru rozległych akwenów. W najbliższych latach zasilą ją sześć zbudowanych w kraju fregat typu Maharaja Lela opartych na francuskim projekcie Gowind.

Choć Malezja preferuje zwykle konstrukcje zachodnie, to w 2017 roku postanowiła nabyć okręty patrolowe klasy OPV (Offshore Patrol Vessel) w Chinach. Plany przewidują zakup 18 jednostek, określanych jako Littoral Mission Ship. Na razie zamówiono tylko cztery patrolowce, z których dwa są w służbie. Z pewnością zostaną podpisane kolejne kontrakty na budowę nowych jednostek, bo Malezja chce mieć w 2050 roku 55 okrętów wojennych. Jednocześnie będzie następować redukcja liczby ich typów z 15 do pięciu.

Pozostaje pytanie, czy plany modernizacyjne zawarte w białej księdze zostaną zrealizowane. Istnieją bowiem poważne obawy co do negatywnych skutków pandemii COVID-19 dla ekonomii tego kraju. Jeśli nastąpi spowolnienie gospodarcze, to pojawi się konieczność oszczędzania, w tym na programach obronnych. Z kolei narastające zagrożenia i rosnące ryzyko w sferze bezpieczeństwa mogą spowodować, że władze w Kuala Lumpur nie będą mogły sobie pozwolić na cięcia w wydatkach na modernizację techniczną sił zbrojnych. A podczas prezentacji białej księgi w parlamencie minister Sabu nakreślił mało optymistyczną wizję rozwoju sytuacji w regionie. W jego ocenie utrzymujące się napięcie między USA a Chinami, m.in. w kwestiach morskich, w przyszłości prawdopodobnie wzrośnie. Dlatego Malezyjczycy poważnie podchodzą do kwestii swego bezpieczeństwa. Tegoroczny budżet obronny wzrósł o 1,8% w stosunku do roku 2020 i stanowi równowartość około 3,84 mld dolarów. Z tej kwoty 950 mln dolarów będzie wydane na nowe uzbrojenie i sprzęt wojskowy oraz utrzymanie już posiadanego wyposażenia.

W przyszłości Malezja będzie musiała znaleźć równowagę pomiędzy swymi celami strategicznymi a zasobami militarnymi. Prawdopodobnie, tak jak w przeszłości, podejmie próbę rozwiązania problemów zewnętrznych metodami dyplomatycznymi. Jednocześnie postara się utrzymywać siły zbrojne mające zdolność do odstraszenia potencjalnego przeciwnika. ■



Hishammuddin Hussein, szef dyplomacji Malezji, podczas swej wizyty w Pekinie w kwietniu tego roku określił Chiny jako „starszego brata”, za co spotkała go w kraju fala krytyki.



Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy



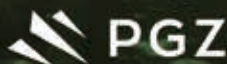
Targi Kielce
exhibition & congress centre



MSPO

XXIX Międzynarodowy Salon
Przemysłu Obronnego
7-10.09.2021

Partner strategiczny



Czas się
SPOTKAĆ!

www.mspo.pl

TANZANIA

Chiny mają już bazę morską w Afryce – w Doraleh na przedmieściach stolicy Dżibuti. Pojawiły się jednak przypuszczenia, że za chińskim zaangażowaniem w budowę portu w Bagamoyo w Tanzanii mogą stać plany uczynienia z tego miejsca kolejnej takiej placówki.



FILIPINY

Na wyspie Jolo w południowej części Filipin rozbił się wojskowy samolot transportowy Lockheed C-130 Hercules. Zginęło 50 spośród 104 osób, w większości wojskowych, które były na pokładzie. Śmierć poniosły również trzy osoby znajdujące się na terenie, na którym doszło do wypadku. To była największa katastrofa lotnicza w dziejach Filipin.



WIELKA BRYTANIA

AIRBUS

PLATFORMA CYFROWA

Armia brytyjska wprowadza w życie koncepcję chmury bojowej.

Dowódca Królewskich Sił Powietrznych

Michael Wigston ogłosił, że tworzona przez brytyjskich specjalistów wielodomenowa chmura bojowa (multidomain combat cloud) jest już praktycznie gotowa. Po serii udanych testów przeprowadzonych na początku roku system o nazwie Nexus można już wdrażać w wojsku, ale w planach jest stopniowe

poszerzanie jego możliwości.

Chmura bojowa to technologia umożliwiająca łączenie różnych wojskowych systemów, obsługiwanych przez ludzi i wspieranych przez sztuczną inteligencję, w celu szybkiej wymiany informacji. Dzięki temu możliwe jest koordynowanie zadań i szybkie reagowanie w przypadku zagrożenia. SR

Lista liderów

Rok 2020 nie przyniósł strat w największych firmach zbrojeniowych na świecie.

Jak pokazuje zestawienie opublikowane w połowie lipca przez redakcję portalu Defence News, piąty rok z rzędu odnotowano wzrost przychodów stu największych firm zbrojeniowych na świecie. Oznacza to, że rok 2020 – naznaczony pandemią koronawirusa – nie okazał się zły dla światowego przemysłu zbrojeniowego. Przychody zakładów wymienionych na tegorocznej liście Defense News Top 100 wyniosły w sumie 551 mld dolarów. To wzrost o mniej więcej 5% w porównaniu z 524 mld dolarów w roku 2019. Firmy amerykańskie stanowią połowę wszystkich podmiotów w tym zestawieniu, europejskich (z Turcją i Ukrainą, ale bez Rosji) jest 24, chińskich – 7, rosyjskie zaś są tylko dwie. ROB ■

NIGERIA

FALA PRZEMOCY

Władze mają coraz większe problemy z kontrolowaniem terytorium kraju.

Najludniejszy kraj Afryki od lat zmagają się z problemami wewnętrznymi, wśród których do najważniejszych należy islamistyczna rewolta. W ostatnich tygodniach nastąpiło zaostrzenie sytuacji. Władze Nigerii nie mogą się uporać z falą przemocy, która przetacza się

przez kraj. O skali problemu świadczy chociażby to, że w ulicznej strzelaninie zginął gen. Hassan Ahmed (na zdjęciu). W wielu miejscach kraju dochodzi do napadów z bronią w rękę i porwań dla okupu, szczególnie często –



na północnym zachodzie Nigerii. Dlatego wiele osób boi się podróżować w tym regionie. Przykładem jest sytuacja z połowy lipca, kiedy porywacze uprowadzili przywódcę lokalnej społeczności islamskiej, 83-letniego emira

Alhaji Alhassana Adamu z rodziną. Według danych rządowych, od początku roku bandyci porwali ponad tysiąc osób. W połowie lipca doszło do jeszcze jednego

szokującego wydarzenia. Otóż jedna ze zbrojnych grup działających w północno-zachodnich stanach kraju zestrzeliła... samolot wojskowy Dassault Dornier Alpha Jet, który wykonywał lot patrolowy w ramach operacji skierowanej przeciwko bandom działającym w stanie Zamfara w północno-zachodniej części kraju. To kolejny przykład pokazujący, że nigeryjskie władze mają coraz większe problemy z kontrolowaniem terytorium państwa. RS ■

HAITI TONĄ W ANARCHII

Na ulicach miast dochodzi do walk między grupami rywalizującymi o władzę oraz ulicznymi gangami.

Coraz bardziej pogłębia się kryzys na szczytach władzy w Haiti. Dzień po zabójstwie urzędującego prezydenta Jovenela jego obowiązki tymczasowo przejął premier Claude Joseph, który kilka dni później przekazał urząd głowy państwa mianowanemu jeszcze przez Moise

Arielowi Henry'emu. Tymczasem na ulicach haitańskich miast szerzy się anarchia, dochodzi do walk między grupami rywalizującymi o władzę oraz ulicznymi gangami. Rząd zwrócił się do Stanów Zjednoczonych i Organizacji Narodów Zjednoczonych o przysłanie wojsk,

żeby zaprowadzić porządek. Władze amerykańskie jednak odmówiły pomocy.

Prezydent Jovenel Moise został zamordowany 7 lipca w swojej własnej rezydencji przez przeszkolone wojskowe osoby. Część zamachowców władze aresztowały, było wśród nich kilku Kolumbij-

czyków, dwóch Amerykanów haitańskiego pochodzenia oraz kilku obywateli Dominikany. Przypuszcza się, że zamach miał podłoże polityczne i był związany z chronicznym kryzysem na szczytach władz w tym najuboższym kraju Ameryki Łacińskiej. **SEND**

GRUZJA, MOŁDAWIA, UKRAINA

Stowarzyszone Trio

Rośnie zaangażowanie w integrację z Unią Europejską.

W ramach międzynarodowej konferencji w sprawie bezpieczeństwa regionalnego 19 lipca 2021 roku w Batumi odbyło spotkanie prezydentów Gruzji Salome Zurbiszwilego, Mołdawii Mai Sandu, Ukrainy Wołodymyra Zełenskigo, premiera Gruzji Irakliego Garibaszwilego oraz przewodniczącego Rady Europejskiej Charlesa Michela. Grupa, której nadano nazwę Stowarzyszone Trio, podkreśliła wo-

lę wspierania się i współpracy. Prezydenci trzech państw podpisali deklarację, w której czytamy: „Potwierdzamy nasze niezachwiane zaangażowanie w dalszą integrację z Unią Europejską przez kompleksowe reformy mające na celu wzmocnienie naszych instytucji demokratycznych i stopniowe zbliżanie naszego ustawodawstwa w odpowiednich obszarach do kluczowych elementów prawa UE”. **SE**

NIEMCY

NA STRAŻY NIEBA

Dowództwo sił kosmicznych powstało w kolejnym państwie.

Ministerstwo obrony Niemiec 13 lipca 2021 roku zainaugurowało działalność nowego dowództwa. Głównym jego zadaniem ma być obserwacja satelitów oraz znajdujących się w przestrzeni kosmicznej niebezpiecznych śmieci, których upadek na Ziemię może stanowić zagrożenie dla mieszkańców. Nowa in-

stytucja ma się zajmować również ochroną własnej infrastruktury w przestrzeni kosmicznej, satelitów komunikacyjnych, meteorologicznych i nawigacyjnych oraz monitorowaniem działania innych państw. Kilka miesięcy temu dowództwo o bardzo zbliżonym zestawie zadań utworzyła Australia. **RS**



HISTORIA

/ XX WIEK

ODROBINA NORMALNOŚCI W PIEKLE

W czasie II wojny światowej Japończycy wykorzystywali jeńców do budowy „kolei śmierci”. W jednym z obozów pracy znalazł się płk Philip Toosey, któremu udało się ulżyć doli zniewolonych żołnierzy. Był on pierwowzorem bohatera słynnego filmu „Most na rzece Kwai”.

ROBERT SENDEK



W opinii wielu widzów „Most na rzece Kwai” uchodzi za jeden z najlepszych filmów wojennych wszech czasów.



P

rzypomnę wam dewizę generała Yamashity: *„cieszyć się pracą!”*, mówi płk Saito, zwracając się do grupy alianckich jeńców, która do jego obozu właśnie przybyła. Stojący przed nim tłum jest wymęczony długim marszem, odziany w łachmany, wymizerowany i brudny – na twarzach jeńców maluje się wszystko, tylko nie radość. Saito nie kryje cynizmu: *„Wy, brytyjczyści jeńcy, zostaliście wybrani do budowy mostu na rzece Kwai. To przyjemna, wymagająca fachowości praca”*. Odpowiada mu głucho milczenie. I tylko brytyjski oficer, ppłk Nicholson ośmiela się protestować, powołując się na konwencje genewskie. Tak wyglądają początkowe sceny *„Mostu na rzece Kwai”*, który w opinii wielu widzów uchodzi za jeden z najlepszych filmów wojennych wszech czasów. I choć wyreżyserowany przez Davida Leana obraz powstał w 1957 roku, nadal potrafi ująć dramatyzm, wyrazistymi bohaterami, niejednoznaczną intrygą i niebanalnym zakończeniem.

GDZIEŚ DALEKO W DŻUNGLI

Akcja filmu rozgrywa się wiosną 1943 roku w japońskim obozie jenieckim gdzieś w Indochinach. Główny wątek nie jest szczególnie skomplikowany: pod kontrolą japońskich inżynierów jeńcy mają zbudować w dżungli most nad tytułową rzeką, pobiegnie tędy linia kolejowa. Poleceniom płk. Saito sprzeciwia się ppłk Nicholson. Odmawia pracy i domaga się traktowania jeńców zgodnie z międzynarodowymi traktatami. Saito, obawiając się o dotrzymanie terminu postawienia mostu, przystaje na warunki alianckiego oficera. Wówczas ten z energią przystępuje do pracy. Zamierza wykorzystać budowę do tego, by jego ludzie nadal tworzyli oddział sprawnie wykonujący obowiązki. Swoje pobudki Nicholson wyjaśnia słowami: *„Muszę widzieć, że nie złamię w nas ciała ani ducha. Wojna się skończy, niech ci, co będą potem używać mostu, pamiętają, kto i jak go zbudował – nie banda niewolników, lecz brytyjscy żołnierze”*. To jednak nie wszystko, film ma bowiem drugą linię narracyjną, która wprowadza ciekawe napięcie między obydwoma wątkami: to

przygotowania alianckiego oddziału, którego zadaniem jest właśnie zniszczenie kluczowego mostu na rzece Kwai.

SPECJALS Z PLANETY MAŁP

Tyle fabuła filmu. Jest ona oparta na wydanej w 1952 roku książce o tym samym tytule. Napisał ją, co ciekawe, Francuz, Pierre Boulle. Nieco już dziś zapominany, cieszył się swego czasu zasłużoną sławą. Jest on również autorem *„Planety małp”*, która stała się inspiracją dla całego cyklu filmowego. Sam Boulle to postać niezwykle barwna, jego życie zaś to właściwie gotowy scenariusz filmu sensacyjnego. Przed wojną na Dalekim Wschodzie pracował na plantacji kaczuki. Latem 1940 roku znalazł się w Singapurze, gdzie podjął pracę w misji wojskowej Wolnej Francji gen. Charles’a de Gaulle’a. Równocześnie został żołnierzem Zarządu Operacji Specjalnych (Special Operation Executive – SOE), brytyjskiej agencji rządowej zajmującej się organizowaniem na tyłach przeciwnika działań wywiadowczych, sabotażowych i dywersyjnych. Trafił tam do oddziału znanego później jako Force 136 (to o tyle istotne, że sportretowani w filmie komandosi zamierzający wysadzić most na rzece Kwai tworzyli jednostkę nr 316, co z pewnością jest przewrotnym nawiązaniem do wojennych doświadczeń pisarza). Po przeszkoleniu Boulle został w 1942 roku skierowany do Indochin. Wydawało się, że odnajdzie się we francuskiej kolonii bez problemu, stało się jednak inaczej. Gdy przyznał się do tego, że popiera Wolną Francję, został uwięziony przez oficera wiernego kolaboranckiemu rządowi w Vichy. Trafił do japońskiego obozu pracy, gdzie przeżył dwa straszne lata. Te doświadczenia stanowiły inspirację do napisania książki o budowie przez jeńców mostu.

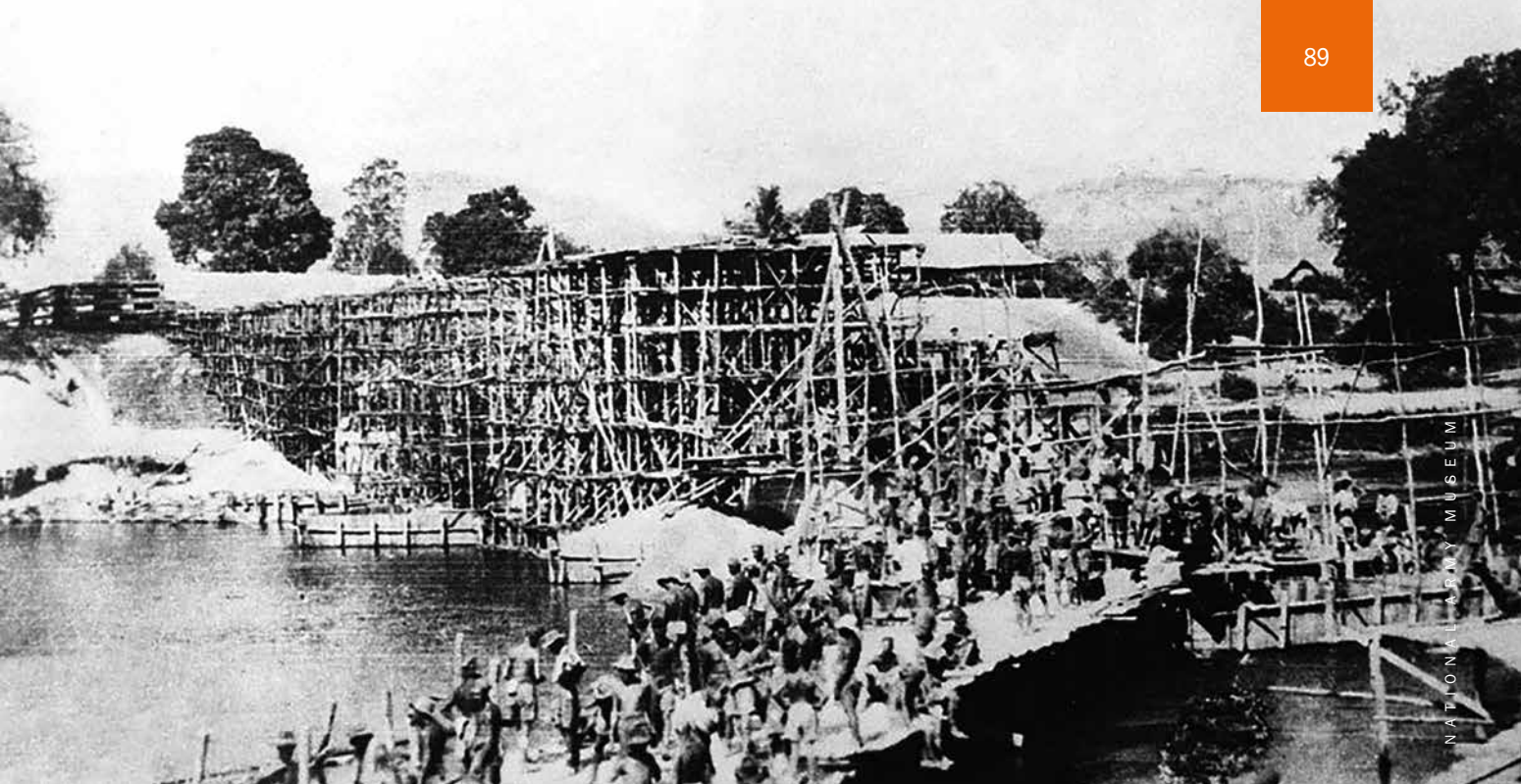
PRACA KU CHWALE CESARZA

Boulle był w japońskim obozie pracy jednym z dziesiątków tysięcy alianckich żołnierzy. Rzuciły ich tam wojenne losy. Latem 1942 roku Japonia znajdowała się u szczytu swej wojennej potęgi, kontrolując ogromne tereny Azji Południowo-Wschodniej: od Mandżurii, przez wschodnie



Przedstawiony w filmie obóz rzeczywście istniał: Japończycy ulokowali go w miejscowości Tha Makham, niedaleko miasta Kanchanaburi w zachodniej Tajlandii, nad rzeką Khwae Yai (stąd tytułowa rzeka Kwai).





Więźniowie budują most na rzece Kwai, 1943 rok

SZACUJE SIĘ, ŻE W OBOZACH PRACY W INDOCHINACH ZNALAZŁO SIĘ NAWET 200 TYS. OSÓB, Z CZEGO POŁOWA ZMARŁA

Chiny, po Indochinach. Japończycy podbili również Malaje, w połowie lutego 1942 roku zaś padł nawet Singapur, główna twierdza wojsk brytyjskich w regionie. W maju tego samego roku żołnierze japońscy zajęli Birmę, docierając do granic Indii, perły w koronie brytyjskich królów. Były to fatalne miesiące dla aliantów: podczas walk na Malajach do niewoli japońskiej dostało się około 50 tys. żołnierzy brytyjskich, australijskich i hinduskich, a po upadku Singapuru – dalsze 80 tys.

Tę wielką masę ludzi Japończycy skierowali do obozów, gdzie wykorzystywano ich pracę w sposób niewolniczy. Szczególną niesławę zdobyła sobie Kolej Birmańska, łącząca Bangkok ze świeżo opanowanym Rangunem w Birmie. Biegła ona przez bardzo trudny, pagórkowaty teren, porośnięty dziewiczą dżunglą i poprzecinany wązowymi licznymi rzek. Prace nad budową kolei ruszyły jesienią 1942 roku. Wzdłuż projektowanej linii Japończycy zakładali obozy pracy. Były one wyjątkowo źle zorganizowane. Do ich nadzorowania kierowano osoby słabo wykwalifikowane, niewyszkolone i zdemoralizowane. Nierzadko byli to ludzie, którzy przez japońskie wojsko zostali uznani za niezdolnych do walki. Traktowali uwięzionych wyjątkowo brutalnie. Zmuszani do pracy ponad siły, kiepsko żywieni, wymęczeni

przez choroby, insekty, upał i monsuny jeńcy nie wytrzymywali. Szacuje się, że w obozach pracy w Indochinach znalazło się nawet 200 tys. osób, z czego zmarła połowa. Nic dziwnego, że wybudowaną trasę nazwano koleją śmierci.

NAJWAŻNIEJSZE TO PRZEŻYĆ

Przedstawiony w filmie obóz rzeczywiście istniał: Japończycy ulokowali go w miejscowości Tha Makham, niedaleko miasta Kanchanaburi w zachodniej Tajlandii, nad rzeką Khwae Yai (stąd tytułowa rzeka Kwai). Ian Watt, brytyjski krytyk literacki i historyk, trafił jako żołnierz do japońskiej niewoli po upadku Singapuru. Wspominał: „Rozkład dnia w obozach od listopada 1942 roku, kiedy rozpoczęto konstrukcję mostu, wyglądał następująco: pobudka o świcie, herbata i ryż na śniadanie, potem apel przed rozpoczęciem pracy. Czekanie od dziesięciu do trzydziestu minut, aż strażnik koreański przeliczy jeńców i podzieli ich na grupy robocze”.

Prace szły bardzo wolno, towarzyszył im chaos organizacyjny. Wszystko zaś trwało niemiłosiernie długo. „Bywało, że jeńiec spędzał na nogach w tropikalnym upale dwanaście lub trzynaście godzin, choć przepracował nie więcej niż trzy do czterech godzin. Wracał późno na wieczorny posiłek; →



M A Ł G O R Z A T A S C H W A R Z G R U B E R

Stary most, który był częścią „kolei śmierci” do Birmy, już nie istnieje, a jego miejsce zajął nowy, zbudowany ze stali.



Płk Philip Toosey to jeden z oficerów uwięzionych w Tha Makham. Był świetnym organizatorem i negocjatorem. Zdawał sobie sprawę z tego, że odmowa pracy może grozić egzekucją. Podjął zatem próbę takiego ułożenia stosunków w obozie, by skorzystali na tym jego podwładni.

barak był nieoświetlony, a ponieważ większość strażników kończyła pracę o szóstej po południu, nie wolno było schodzić nad rzekę na kąpiel lub przepierkę”, wspominał Watt. Podkreślał też, że dla niego największym problemem nie była brutalność japońskich strażników, lecz „specyficzny rodzaj nudy, strata czasu i demoralizacja”.

TAKTYKA POSZERZANIA ODPOWIEDZIALNOŚCI

Wśród oficerów uwięzionych w Tha Makham znalazł się jeden, który podjął próbę ulżenia jeńcom – płk Philip Toosey. Jak pisze Watt, „był on wysoki i raczej młody, miał dość często spotykaną u Anglików twarz dobroniusznego, aczkolwiek sceptycznego buldoga”. Wiedział, że nie może odmówić pracy, bo to groziłoby egzekucją. Podjął jednak próbę takiego ułożenia stosunków w obozie, by skorzystali na tym jego podwładni. Zauważył, że konflikty wynikają głównie z fatalnej organizacji pracy oraz problemów technicznych. Tak zatem manewrował i układał się z Japończykami, żeby uzyskać od nich choćby minimalne ustępstwa.

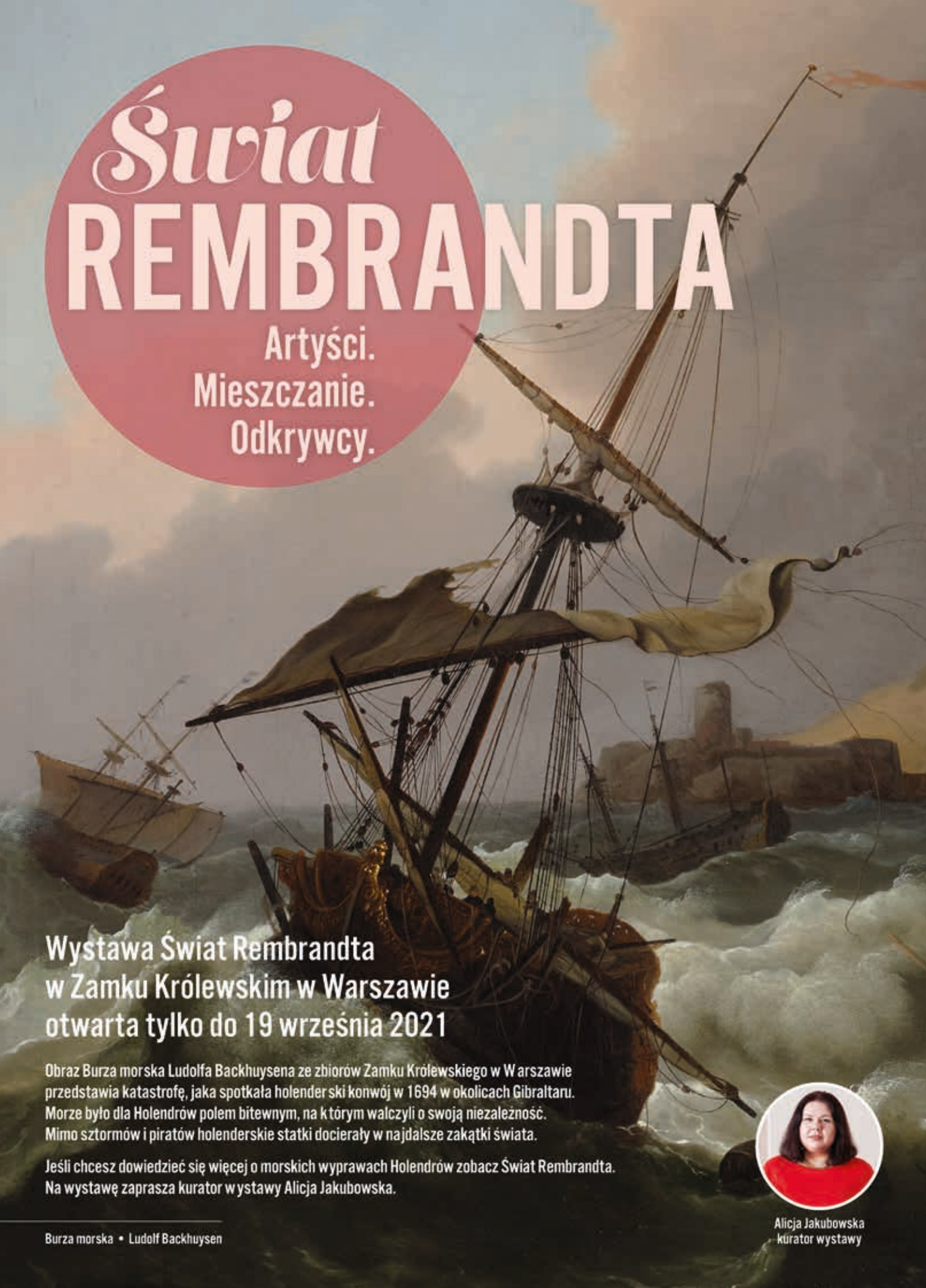
„Sam był człowiekiem odważnym, ale nigdy nie forsował sprawy do punktu, kiedy Japończycy traciliby twarz; zamiast tego starał się na początek wzbudzić podziw efektowną junacką postawą, a potem zachwycić swoją, zdawałoby się, niewzruszoną, pewnością, że nie ma miejsca na żadne poważne trudności między żołnierzami, którzy mają poczucie honoru i którym zależy jedynie na tym, żeby zrobić to, co należy”, pisze Watt. Robił więc wszystko, by poprawić warunki życia i pracy swych

ludzi, zdobyć więcej żywności i lekarstw. Z czasem udało mu się przekonać Japończyków, że wydajność pracy się poprawi, jeśli to jeńcy sami będą wyznaczać zakres robót oraz że sami będą dbać o porządek i dyscyplinę, obowiązkiem strażników zaś będzie jedynie pilnować ich, by nie uciekli.

To zaczęło przynosić efekty. Dzięki wprowadzonym przez Tooseya zmianom jeńcy poczuli wyraźną ulgę. „Nowy układ całkowicie zmienił nasze życie. Traciło się o wiele mniej czasu; bywało, że kończyliśmy dzienną normę wczesnym popołudniem; tygodniami nie zdarzały się wypadki pobicia; obóz stał się niemal szczęśliwy”, wspomina Watt. Nic dziwnego, że podwładni Tooseya uważali go za bohatera. Taktyka poszerzania odpowiedzialności jeńców okazała się skuteczna i stopniowo wcielali ją w życie co energiczniejsi oficerowie alianccy w innych obozach.

Watt zaznacza, że Anglik wcale nie poszedł na kolaborację z Japończykami, natomiast bardzo bliski temu był filmowy ppłk Nicholson: postawił bowiem most lepszy, niż planowali Japończycy i we właściwszym miejscu. Tymczasem Toosey sam namawiał swych ludzi do drobnych aktów sabotażu: podrzucania termitów do drewnianych elementów mostu, by osłabić ich wytrzymałość, czy niedbałego mieszania betonu. Nawet takie drobniaczki dawały jeńcom poczucie, że ciągle walczą, nadawały wartość ich pracy. ■

Cytaty ze wspomnień Iana Watta pochodzą z tekstu „Most na rzece Kwai, czyli mit kolonialny” opublikowanych w czasopiśmie „Literatura na Świecie” 11/1975.

The background of the poster is a reproduction of the painting 'The Storm' by Ludolf Backhuysen. It depicts a dramatic maritime scene with several sailing ships struggling against a massive, turbulent sea under a dark, stormy sky. In the distance, a fortified island or castle is visible on the horizon. The overall tone is dramatic and historical.

Świat REMBRANDTA

Artyści.
Mieszczanie.
Odkrywcy.

**Wystawa Świat Rembrandta
w Zamku Królewskim w Warszawie
otwarta tylko do 19 września 2021**

Obraz *Burza morska* Ludolfa Backhuysena ze zbiorów Zamku Królewskiego w Warszawie przedstawia katastrofę, jaka spotkała holenderski konwój w 1694 w okolicach Gibraltaru. Morze było dla Holendrów polem bitewnym, na którym walczyli o swoją niezależność. Mimo sztormów i piratów holenderskie statki docierały w najdalsze zakątki świata.

Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej o morskich wyprawach Holendrów zobacz Świat Rembrandta. Na wystawę zaprasza kurator w wystawy Alicja Jakubowska.



Alicja Jakubowska
kurator wystawy



Organizacja wojska na Podhalu zajął się gen. Andrzej Galica, doświadczony i zasłużony oficer Legionów Polskich, m.in. uczestnik bitwy pod Kostuchówką. Na zdjęciu wśród żołnierzy podczas obchodów święta gór w Zakopanem

Górale na równinach

MACIEJ NOWAK-KREYER

Jedna z najważniejszych kampanii nowo sformowanych jednostek polskich strzelców podhalańskich miała miejsce w 1920 roku na równinach Ukrainy i Polski.

Za symboliczny początek polskich wojsk górskich można uznać stworzenie w 1913 roku w Nowym Targu, pod patronatem Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, paramilitarnych Drużyn Podhalańskich, w 1914 roku włączonych w skład Polskich Drużyn Strzeleckich.

PRZECIWKO BOLSZEWIKOM

Ojcem górskiego wojska był jednak rodowity Podhalaanin, Andrzej Galica, inżynier, literat, a także doświadczony i zasłużony oficer Legionów Polskich, m.in. uczestnik bitwy pod Kostuchówką. Pod koniec 1918 roku Galica, wówczas pułkownik, zajął się organizacją polskiego wojska w rejonie Podhala. Za jego sprawą powstały dwa pułki piechoty, które otrzymały miano strzelców podhalańskich i od grudnia 1918 roku tworzyły Brygadę Górską, 9 lutego 1920 roku przekształconą w 21 Dywizję Piechoty Górskiej.

W ramach Brygady od początku 1919 roku działała kompania wysokogórska. Jej żołnierze, pod okiem doświadczonych taterników, szkolili się z prowadzenia działań w wyższych partiach gór.

W listopadzie 1919 roku i w lipcu 1920 roku do dwóch istniejących pułków dołączyły sformowane z żołnierzy armii gen. Hallera 3 oraz 4 Pułk Strzelców Podhalańskich. Warto wspomnieć, że 4 Pułkiem dowodził Mieczysław Boruta-Spiechowicz, późniejszy bohater wojny obronnej 1939 i patron dzisiejszej 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. Strzelcy podhalańscy zyskali sobie opinię doborowych żołnierzy, od 1918 roku zaprawionych w bojach najpierw z Czechami, a potem z Ukraińcami. W darze od mieszkańców Nowego Sącza 1 Pułk otrzymał 17 listopada 1918 roku chorągiew powstańców z 1863 roku, amarantową, z białym orłem i Matką Boską Częstochowską haftowanymi srebrną nicią. Przez cały okres wojen o granice, łącznie

Kiedy oddziały podhalańskie przebywały na odcinku Kuźnic, otrzymały pozwolenie na noszenie przy czapkach orlich piór. Do prawdziwych orlich piór żołnierze praktycznie nie mieli dostępu, dlatego nie rzadko przypinali sobie pióra indyjskie, a nawet pawie. Sowieci często brali tak przyozdobionego przeciwnika za zagraniczne posłki wspierające Polaków.



Od 1919 roku aż do II wojny światowej głównym elementem symboliki podhalańczyków była prawoskrętna swastyka, od wieków znana na Podhalu pod nazwą krzyżyka niespodzianego, uważana za symbol przynoszący szczęście.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (2)

z wojną 1920 roku, był to jedyny sztandar używany przez jednostki podhalańczyków.

Pierwszy bojowy kontakt z bolszewikami polskie oddziały górskie miały w czerwcu 1919 roku. 2 Pułk startł się z Sowietami w rejonie Lwowa, w okolicy Gajów Dytkowieckich – niemal natychmiast po odejściu stamtąd dotychczasowego przeciwnika, Ukraińców.

W kwietniu 1920 roku pułki strzelców podhalańskich wzięły udział w polskiej antybolszewickiej ofensywie na Ukrainę, czyli tzw. wyprawie kijowskiej. Podhalańczycy, przede wszystkim z 1 i 2 Pułku, stoczyli wiele zwycięskich walk, w tym o ważną stację kolejową Malin, gdzie zdobyli ogromne zapasy żywności, środków sanitarnych, sprzętu telefonicznego, bydła rzeźnego, a nawet pełny zestaw instrumentów orkiestry dętej. 7 maja pododdziały 1 Pułku weszły od północy do Kijowa, obsadzając most na Dnieprze – nad miastem załopotała podhalańska chorągiew. Podhalańczycy zabezpieczali także przedpole Kijowa na wschód od Dniepru i miejscowość Darnica. Z kolei 4 Pułk Strzelców Podhalańskich atakował Bar, a następnie uczestniczył w walkach w rejonie Miastkówki i Dżugastry, 3 Pułk dotarł zaś na front południowo-wschodni dopiero 7 czerwca, gdzie wzmocnił obronę ważnego węzła kolejowego w Koziatynie.

W trakcie odwrotu spod Kijowa, rozpoczętego 10 czerwca, 2 Pułk początkowo był zagrożony zamknięciem w kotle przez wojska bolszewickie, jednak pod Owruchem wyrwał się z okrążenia, następnie dotarł do Turowa i nad rzekę

Uborć, gdzie czekał na niego już gen. Galica (awansowany w kwietniu 1920 roku). Na linii Uborci podhalańczycy przebywali na pozycjach obronnych od 9 do 13 lipca. Obdartym i zmęczonym żołnierzom groziła demoralizacja. Chcąc jej zapobiec, w porozumieniu z operującym w tym rejonie antybolszewickim partyzantem gen. Bułak-Bałachowiczem i z udziałem jego kawalerzystów, podhalańczycy dokonali wypadu na głębokie tyły nieprzyjaciela, na oddalony aż o 100 km od frontu Owruć. Wypad zakończył się sukcesem, według relacji Stanisława Stahlbergera z 2 Pułku wybito do nogi dwa sowieckie sztaby dywizji i sztab brygady.

Mimo trudnych warunków, podartych mundurów i braków obuwia, a także problemów z ciężkimi, francuskimi wozami taborowymi 3 Pułku, które grzęzły w błocie, podhalańczycy cofali się w sposób planowy, atakując nieprzyjaciela. Pod koniec lipca większość oddziałów górskich dotarła w odwrocie na przedpola Brześcia nad Bugiem. Podhalańczycy wzięli udział w zaciętych walkach z Sowietami o miasto. Zmuszeni do odejścia na zachód, starali się powstrzymać bolszewików przed forsowaniem Bugu, a następnie ruszyli w kierunku Kocka. O tym, jak zacięte walki toczono o Brześć, może świadczyć chociażby wyczyn ppor. Michała Lauera z 1 Pułku, który 1 sierpnia, zgubivszy w ferworze bitwy rewolwer, powalił sowieckiego żołnierza uderzeniem lornetki w głowę.

ZNOWU W ATAKU

Kiedy w pierwszych dniach sierpnia planowano polskie kontruderzenie, mające przesądzić o losie wojny, bitnej 21 Dywizji Piechoty Górskiej przeznaczono miejsce w najważniejszej 4 Armii, dowodzonej przez Józefa Piłsudskiego i atakującej znad Wieprza. Podhalańczycy, wzmocnieni w rejonie rzeki Wieprz posiłkami z zaciągów ochotniczych, rozpoczęli natarcie rankiem 16 sierpnia. Zdobyli Kock, Siedlce, przejęli cały tabor cofającej się sowieckiej 7 Dywizji, a potem ścigali nieprzyjaciela w kierunku Białegostoku. W tamtym rejonie przebywali od 21 sierpnia, przy okazji udaremniając sowieckie próby odbicia miasta. Podczas walk toczonych w okolicy Gródka szczególnym męstwem wykazał się strzelec Stefan Kazubski, który samotnie rzucił się na nieprzyjaciela, swoim przykładem motywując kolegów i zapobiegając w ten sposób odwrotowi oddziału.

Do oswobodzonego Białegostoku podhalańczycy przybyli w połowie września, a w ramach przygotowań do rozstrzygającej bitwy niemeńskiej zostali przesunięci pod Grodno. W nocy z 25 na 26 września, po kilku dniach zaciętych walk, podczas których pod Kuźnicą 21–23 września wyróżnił się 2 Pułk, siły 21 Dywizji Piechoty Górskiej zajęły miasto. Pościg za nieprzyjacielem trwał do 27 sierpnia. Potem dywizja trafiła w rejon Dworca i Nowojelni jako odwód 2 Armii gen. Edwarda Rydza-Śmigłego, następnie 13 października dotarła do Oszmian, gdzie zatrzymała się na odpoczynek i gdzie 18 października zastało ją zawieszenie broni, kończące udział podhalańczyków w wojnie z bolszewicką Rosją. ■

Trzeba było wytrzymać

Z Krystyną Budnicką o dramatycznych przeżyciach wojennych i przezwyciężaniu traumy rozmawia Piotr Korczyński.

Pani wczesne dzieciństwo, do wybuchu wojny, było bardzo szczęśliwe. Otoczona miłością i opieką rodziny dorastała pani w domu, w którym mogła obcować z książkami. Pamięta pani swoje pierwsze lektury?

Pierwszą książką, którą dostałam, było „Serce” Edmunda de Amicisa. Gdy miałam pięć lat, złamałam w przedszkolu nogę. Leżałam w szpitalu na wyciągu i ta książka była moim prezentem urodzinowym. Chyba wtedy nie umiałam jeszcze czytać, ale dobrze zapamiętałam tę książkę, jej okładkę... Później było wiele innych, głównie bajek. Tu miałam sprawę ułatwioną, bo brat prowadził czytelnię. Po wybuchu wojny cały księgozbiór musiał przenieść do warsztatu ojca, który był stolarzem. Mieszkaliśmy na placu Muranowskim [w Warszawie, dziś nie istnieje], w kamienicy pod numerem 10. Tam się urodziłam. Stolarnia to było rodzinne przedsiębiorstwo. Wychowałam się w dwujęzycznym domu – mówiliśmy w jidysz i po polsku. Byłam najmłodsza z rodzeństwa, miałam sześciu braci i jedną siostrę. Większość moich braci przejawiała zdolności techniczne, co zresztą w czasie okupacji okazało się bardzo przydatne. Ojciec pracował w stolarni razem z synami, ale mój najstarszy brat Izaak miał czytelnię Parnas, która mieściła się na Nowolipiu. Józef Hen w książce „Nowolipie. Najpiękniejsze lata” napisał, że w młodości tam zachodził, gdzie uprzejmy, młody i przystojny mężczyzna wypożyczał mu książki. To był właśnie mój brat. Kiedy przeczytałam te słowa, natychmiast pobiegłam do Hena i oznajmiłam mu, że jest chyba jedynym człowiekiem na świecie, który go zapamiętał żywego...

Wracając do książek, z pierwszych miesięcy okupacji szczególnie zapamiętałam „Nad dalekim cichym fiordem” Ågot Gjems Selmer. Ta powieść odrywała mnie od otaczającego koszmaru i tak zauroczyła, że gdy po wielu latach pojechałam do Norwegii, to szukałam opisanych w niej miejsc. I przy-

znam się panu, że rzeczywistość nie przebiła świata, który sobie wyobrażałam w czasie lektury.

Nieprzypadkowo zapytałam panią o te lektury, bo dzięki nim można było choć na chwilę zapomnieć o koszmarze getta. Pomagały one pani także przetrwać dziewięćmiesięczne zamknięcie w bunkrze na ulicy Zamenhofska?

Tam już niestety nie miałam swoich książek. W czasie pierwszej wielkiej likwidacji getta, latem 1942 roku, do Treblinki trafiło dwóch moich braci, Baruch i Szaja, z rodzinami. Reszta postanowiła wtedy wybudować na Zamenhofska bunkier, a byli w tym już specjalistami, gdyż jako członkowie Żydowskiej Organizacji Bojowej trudnili się przygotowywaniem skrytek i schronów, w których ludzie mogli przeczekać niemieckie oblawy. Bunkier na Zamenhofska to był majstersztyk – miał osobną spiżarnię i połączenie z kanałem, którym można było się ewakuować. Mimo wszystko było to klaustrofobiczne miejsce, w którym przebywanie przez dłuższy czas stawało się torturą. Ale trzeba było wytrzymać. Jeden z braci, Jehuda, tylko półtora roku starszy ode mnie, krok w krok chodził za starszym rodzeństwem. Właściwie to on stał się wtedy już dorosłym mężczyzną i dzięki niemu żyję, bo później to właśnie Jehuda nas wyprowadził z kanału. Podkreślam to, ponieważ moje zachowanie było diametralnie inne. Popadłam jakby w letarg. Może wstyd się przyznać, ale siedziałam lub leżałam i tylko tuliłam się do mamy...

WIZYTÓWKA

**KRYSTYNA
BUDNICKA
(HENA KUCZER)**

Jest pedagogiem, wiceprzewodniczącą Stowarzyszenia „Dzieci Holocaustu” w Polsce, honorową obywatelką miasta stołecznego Warszawy. ■

Co wówczas działo się w pani głowie?

By oszukać głód, wyobrażałam sobie, że jem chleb. Przypominałam sobie, jaki ma smak. Podstawą naszego wyżywienia w bunkrze była tzw. zupa plujka z rozgotowanego owsa. Wyobrażałam też sobie... moje bohaterstwo, że jestem jakimś bojownikiem, kimś na wzór Emilii Plater, która prowadzi żołnierzy do walki. Skąd mi się wzięła wtedy Emilia Plater? Mimo że moja edukacja skończyła się na pierwszej

klase szkoły podstawowej, już coś wiedziałam z naszej historii. Tutaj znowuż muszę wrócić do początku wojny. Gdy powstało getto i szkoły zostały zamknięte, okazało się, że nie wiadomo było, co zrobić z dziećmi. Dorośli walczyli o przetrwanie, a małe dzieci pozostawały samopas. Pojawiły się wówczas opiekunki, które zajmowały się maluchami w ciągu dnia. W naszym domu mieliśmy taką dziewczynę, która prawdopodobnie wcześniej była nauczycielką. Ona nie tylko się nami opiekowała, ale i pomagała przetrwać strach. Uczyla nas tańczyć, śpiewać, opowiadała różne historie i myślę teraz, że ta Emilia Plater pojawiła się w mojej głowie dzięki niej. I pamiętam, że to wszystko robiła w języku polskim. Uczyla nas też wierszyków. Niektóre do dziś pamiętam, a na zakończenie rozmowy zadeklamuję jeden, z którym związana jest niesamowita historia.

Muszę też wspomnieć o pewnej istotnej rzeczy, która czyniła naszą egzystencję pod ziemią znosijszą. Mianowicie w bunkrze mieliśmy małe radyjko, z którego słuchaliśmy naszych audycji z Londynu. Wiedzieliśmy więc, że Niemcy dostają już łupnia na froncie wschodnim i wszyscy liczyliśmy na szybki koniec wojny, byle tylko dotrzeć do oswobodzenia Warszawy...

Wspomniała pani o swych braciach, którzy należeli do ŻOB-u. Gdy wybuchło powstanie w getcie wiosną 1943 roku, wszyscy ruszyli do walki?

Trzej, bo najmłodszy został razem z nami. Kiedy powstanie chyliło się ku upadkowi, bracia wrócili do bunkra, by nas chronić i ratować. Piekło, które rozgrywało się na powierzchni, zaczynało się wdzierać do bunkra. Najpierw od pożarów i detonacji na górze zawalił się i spalił nasz schowek z żywnością. Gdy w środku robiło się bardzo gorąco, przechodziliśmy do kanału, żeby się ochłodzić, lecz szybko i to stało się niebezpieczne. Niemcy zorientowali się bowiem, że kanały są wykorzystywane przez powstańców i chroniących się w nich cywilów, więc

zaczęli je gazować. Wyczerpały się też prawie zupełnie nasze zapasy żywności i pojawiły problemy z wodą. Trzeba się było ewakuować. Niektórzy nie wytrzymywali psychicznie i wychodzili na własną rękę – prawdopodobnie wszyscy zginęli z rąk Niemców pacyfikujących getto. Ustaliliśmy w końcu, że z bunkra wyjdą dwie dziewczyny, które miały najlepszy wygląd. Pan wie, o czym mówię?

Miały wygląd aryjski...

Tak, choć nawet blond włosy i niebieskie oczy wcale nie gwarantowały bezpieczeństwa. Wie pan, po czym podobno →



By oszukać głód, wyobrażałam sobie, że jem chleb. Przypominałam sobie, jaki ma smak (...). Wyobrażałam też sobie... moje bohaterstwo, że jestem jakimś bojownikiem, kimś na wzór Emilii Plater.

Niemcy czy szmalcownicy rozpoznawali, że dziecko jest żydowskiego pochodzenia? Po wielkich przerażonych oczach. Można było dziecku wyrobić fałszywą metrykę, nauczyć modlitwy czy nowego życiorysu, ale piętna strachu nie dało się już z oczu wymazać...

Emisariuszki wydostały się z bunkra i przeszły na aryjską stronę. Udało im się nawiązać kontakt prawdopodobnie z Żegotą [Rada Pomocy Żydom]. Od tego czasu przychodził do nas łącznik. To było piekielnie niebezpieczne ze względu na godzinę policyjną i patrole w ruinach getta. Liderem w naszej rodzinie od dłuższego czasu był brat Rafał. Nazywaliśmy go kapitanem tonącego okrętu. To on, jako najlepiej uzdolniony technicznie i wykształcony w tym kierunku, kierował wszystkimi pracami budowlanymi w bunkrze. Nasz ojciec natomiast zupełnie się załamał od dnia, gdy został sponiewierany na ulicy przez niemieckich żołdaków. Obcięli mu wtedy połowę brody i kazali tańczyć. Nie mógł przeboleć tego upokorzenia. Właściwie to on czekał już tylko na śmierć...

Niestety na przełomie lata i jesieni 1943 roku, czyli kilka miesięcy po powstaniu, Rafał zachorował na czerwonkę albo tyfus i należało zorganizować jego ewakuację, by nie umarł. Udało się to zrobić. Wtedy zostaliśmy sami i wkrótce nasz bunkier odkryli jacyś ludzie. Kiedy gruzi getta ostygły, zaczęły je penetrować różne grupy „poszukiwaczy skarbów”. Gdy dwaj bracia i pewien mężczyzna usłyszeli, że to Polacy, zdecydowali się wyjść. Dostali od nich obietnicę, że wrócą następnego dnia i przyniosą chleb. Na szczęście bracia nie ujawnili im, że w bunkrze jest nas więcej, bo kiedy następnego dnia do nich wyszli, usłyszeliśmy strzały i ich krzyki. Prawdopodobnie zginęli w niemieckiej obławie, ale my zdołaliśmy uciec do kanału. Kiedy wróciliśmy do bunkra, zastaliśmy ślady plądrowania i trzeba było jak najszybciej stamtąd uciekać.

Wyjście było tylko jedno – należało pójść pod wąż, przez który kontaktowaliśmy się z łącznikami organizacji, zostawić tam dla nich wiadomość i czekać na pomoc. Wtedy przewodnikiem został trzynastoletni Jehuda, który ze starszymi braćmi chodził po kanałach i dobrze znał drogę. Po nawiązaniu kontaktu z łącznikiem, dwa dni bez jedzenia i picia czekaliśmy na ekipę ratunkową, a kiedy wreszcie nadeszła, okazało się, że wąż jest zalutowany! Musieliśmy iść do następnego,

ale na to nasi rodzice już nie mieli sił. Została z nimi moja siostra i żona tego mężczyzny, który zginął z moimi braćmi w obławie. Pamiętam słowa mojej mamy na pożegnanie: „Idź, Rafał nam pomoże”. Bardzo w niego wierzyła, była przekonana, że on może wszystko...

Czy po wyjściu z kanałów trafiliście od razu do kryjówki Rafała?

Zanim wyszliśmy z kanałów, przydarzył się jeszcze jeden wypadek. W pewnym momencie musieliśmy wejść do kanału burzowego i tam wartki nurt porwał Jehudę. Prawdopodobnie wtedy zachłystnął się ściekami, co później wywołało sepsę, zakażenie krwi i śmierć po dwóch tygodniach. Wówczas z całej mojej licznej rodziny przy życiu zostali tylko bratowa, żona Izaaka, i Rafał. Wracając do pańskiego pytania, dotarliśmy do Rafała, ale nie było już szans, żeby zorganizować szybko drugą akcję i uratować pozostawionych w kanałach rodziców. Po połączeniu z bratem zostaliśmy otoczeni opieką, również medyczną, organizacji.

Gdzie zamieszkaliście?

Parafrazując znane przysłowie – tam, gdzie było najciemniej, czyli na ulicy, na której bardzo wiele kamienic zajmowali Niemcy. Mieszkaliśmy na Mokotowskiej 1, w suterenie zrujnowanego domu. Naszym opiekunem był dozorca, pan Grochowski. Rafał zaangażował się ponownie w konspirację. Jako specjalista od działań w kanałach i budowniczy podziemnych schronów brał udział w przygotowaniach do powstania w Warszawie. Odwiedził nas też Icchak Cukierman „Antek”. Przyniósł Rafałowi broń i chyba on też zdecydował, że nie możemy być tam wszyscy razem. Mnie z bratową przewieziono do innego lokum, na ulicę Dolną, a Rafał pozostał na Mokotowskiej. Niestety, okazało się, że syn pana Grochowskiego, Kazik, jest konfidentem gestapo. W styczniu 1944 roku wydał w ręce gestapowców Rafała i własnego ojca... Obaj zginęli w alei Szucha [w czasie wojny siedziba gestapo znajdowała się w alei Jana Chrystiana Szucha 25]. Niemcy torturowali brata, bo wiedzieli, że nie był sam, ale nie wydał nikogo. Ten konfident dostał od polskiego podziemia wyrok śmierci, ale ponoć ocalał, bo w czasie egzekucji zasłoniła go własnym ciałem narzeczona. Po powstaniu warszawskim ślad po nim zaginął.



Z całej rodziny Kuczerów wojnę przeżyły dwie osoby, pani Krystyna Budnicka, tu na fotografiach z 1944 i 1950 roku, oraz jej bratowa.

MOŻNA BYŁO DZIECKU WYROBIĆ FAŁSZYWĄ METRYKĘ, NAUCZYĆ MODLITWY CZY NOWEGO ŻYCIO-RYSU, ALE PIĘTNA STRACHU Z OCZU WYMAZAĆ SIĘ NIE DAŁO...

Wybuch powstania 1 sierpnia 1944 roku był dla pani radosną chwilą?

Bardzo! Wreszcie mogłam poczuć się naprawdę wolna. Nienaznaczona. Myśmy wtedy mieszkali z bratową u państwa Budnickich na ulicy Dobrej, na Powiślu. Pamiętam ten entuzjazm, biało-czerwone flagi w oknach domów i nadzieję, że zaraz nadejdzie wyzwolenie. Niestety, nie nadeszło. Za to 6 września na Powiśle przyszl Niemcy i przepędzili cywilów przez płonącą stolicę na Wolę, pod kościół św. Wojciecha. Tutaj była selekcja, kto do Pruszkowa, kto na roboty, a kto do Auschwitz lub od razu pod ścianę... Nasz opiekun, pan Budnicki, zauważył wówczas zakonnice – szarytki prowadzące sieroty z domu dziecka. Przekonany, że sam trafi do obozu, poprosił jedną z siostr, by mnie przyjęła. Zgodziła się i tak z grupą dzieci wyszłam z Warszawy do obozu w Pruszkowie. Przyjęłam nazwisko mojego opiekuna, Krysią nazywano mnie już wcześniej. Potem dowiedziałam się od żony pana Budnickiego, że nie wrócił z wywózki. Wojnę zaś przeżyła moja bratowa, została wywieziona przez Niemców do obozu pracy. Z całej rodziny pozostaliśmy tylko my dwie...

Koniec wojny nie oznaczał jednak dla pani końca traumy. Wiele osób, które przeżyły Holocaust, nie mogło uporać się z tym do końca życia. Zdarzały się nawet samobójstwa...

Na szczęście uporałam się ze swoimi przeżyciami, choć wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że powinnam przez cały czas płakać i ubolewać nad swoim losem. Tak na marginesie – nie wiem, od czego to zależy, ale ja nigdy nie płakałam i nie płaczę... Pamiętam to wszystko, nie lekceważę, ale musiałam się z tego otrząsnąć, bo inaczej po prostu nie można byłoby żyć. Są rzeczywiście ludzie, którzy z tą traumą sobie nie poradzili. Dlaczego akurat mnie się udało? Może dzięki temu, że po wojnie miałam dość długi okres całkowitego odcięcia się od przeżyć z getta i okupowanej Warszawy. Świadomie do nich nie wracałam i odpychałam je od siebie jak najdalej. To była taka kwarantanna. Trzeba było nabrać do tego dystansu, by nie zwariować.

Czy czuła pani nienawiść do Niemców za to wszystko, co z ich winy przydarzyło się pani rodzinie?

Może uzna pan, że jestem nienormalna, ale nie. Po wojnie nasz sierociniec szybko wrócił do Warszawy. Mieszkaliśmy w na wpół zrujnowanym domu. Codziennie, idąc do szkoły, mijałam jeńców niemieckich pracujących przy odgruzowywaniu. To była zima, chyba 1947 roku i pamiętam do dziś tych ludzi w łachmanach na mrozie. Było mi ich żal... Myślałam – to Niemcy, ale przede wszystkim ludzie... Dziś bardzo często

jeżdżę do Niemiec na spotkania z młodzieżą w szkołach. Dzieci pytają mnie: „Czy pani nas nienawidzi?”. Odpowiadam, że nie znam uczucia nienawiści. I to jest prawda – oszczędzono mi tego strasznego brzemienia. Wiem jednak, jak bardzo niszcząca jest to siła. Widziałam ludzi złamanych przez nienawiść... A pierwszym do niej stopniem jest generalizowanie. Tak jak nie wszyscy

Żydzi czy Polacy są święci, tak nie wszyscy Niemcy czy Rosjanie są bandytami. Czym były nazistowskie Niemcy? To było państwo, w którym patriotyzm pomyłono z nacjonalizmem. Zawsze powtarzam młodzieży, i nie tylko jej: nie mylcie patriotyzmu z nacjonalizmem!

Wróćmy do wiersza, o którym pani wspomniała.

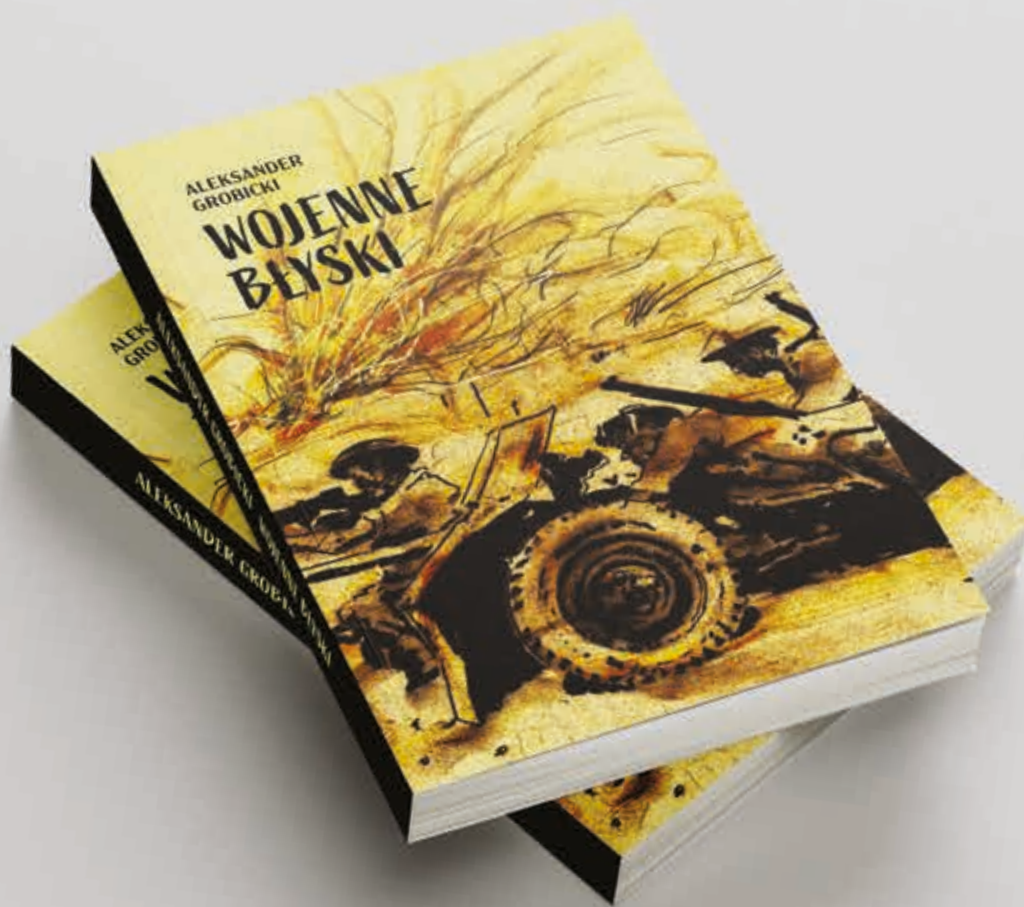
Któregoś dnia sięgnęłam po książkę pani mieszkającej w Izraelu, która opisywała swoje przeżycia z getta łódzkiego. Otworzyłam ją i od razu trafiłam na wiersz, który nagle zaczęłam mówić z pamięci! Ja ten wiersz znałam z getta warszawskiego. Autorka twierdziła, że napisał go jej brat w getcie w Łodzi. Jak ten wiersz przywędrował do Warszawy? Możliwe, że nauczyla go nas ta nauczycielka, o której wspomniałam. A wiersz ten jest o matce i brzmi tak:

A gdy ze szkoły wróciłam do domu, widziałam:
mama czerwone miała oczy.
Płakała widać po kryjomu.
Więc najpierw byłam gotowa
zapytać mamę o zmartwienie.
Lecz potem myślę, że nie...
Nie będzie mamie lżej,
gdy dowie się,
że ja widziałam jej łzy
i wiem, że ona płacze.
Zrobię inaczej.
Na pociechę uśmiechnę się do mamy
swym najlepszym uśmiechem.
Uśmiechnęłam się, a ręce mamy szorstkie, choć trochę
surowe
objęły mnie mocno za głowę.
Moje ty drogie dziecko!
Twój uśmiech to dla mnie jak słońce patrzące spoza
ciemnej mgły.
Częściej uśmiechaj się do mnie ty.
I mama uśmiechnęła się sama,
obeschły mamie łzy*.

*Pani Krystyna Budnicka tak zapamiętała fragment wiersza
Ewy Szelburg-Zarembiny „Uśmiecham się do mamy”
z tomu „Dzieci miasta”.



Wspomnienia **Aleksandra Grobickiego**,
Polaka, żołnierza, tłumacza,
korespondenta wojennego,
uczestnika walk pod Monte Cassino



wiw
WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY



Centralna Biblioteka Wojskowa
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego

sklep.polska-zbrojna.pl

77. rocznica bitwy o Monte Cassino

Oby to była legenda



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

**HISTORIA
PEWNEGO ZDJĘCIA**
Słowo „chłam”, napisane na odwrocie zdjęcia cyrylicą, na polski można tłumaczyć właśnie jako chłam lub żelastwo.

Kiedy w 1915 roku Austriacy wysadzali w powietrze fort przemyskiej twierdzy, zapomnieli o przebywających tam jeńcach. *Dwóch rosyjskich oficerów zostało uwiecznionych pod zwałami ziemi i betonu.*

Twierdza Przemyśl przez propagandę austro-węgierską była nazywana Bramą Węgier. Zapewniano, że jest ona nie do zdobycia. Tymczasem po kilku miesiącach oblężenia przez armię rosyjską jej stutysięczna załoga skapitulowała 23 marca 1915 roku. W Wiedniu, Budapeszcie i Krakowie wywołało to szok.

Po zajęciu przez Rosjan fortów okazało się, że ich znaczna część była uzbrojona w armaty bardziej nadające się do muzeum niż działań wojennych. Na zdjęciu żołdaci pilnują takich właśnie archaicznych dział M-61, w których stosowano proch dymny. Podpis cyrylicą „chłam” na odwrocie fotografii jednoznacznie świadczy o wartości zdobyczy. Na

polski można go tłumaczyć dosłownie jako chłam lub żelastwo.

Rosjanie nie cieszyli się jednak długo z posiadania Bramy Węgier, bo już dwa miesiące później, 3 czerwca 1915 roku w błyskawicznej ofensywie c.k. armia odbiła przemyską twierdzę, a właściwie jej ruiny – gdyż wiele fortów zostało wysadzonych w powietrze przed marcową kapitulacją. Zniszczony został m.in. Fort XIII San Rideau, z czym jest związane makabryczne zdarzenie. Wśród historyków toczy się dyskusja, czy doszło do niego naprawdę. I byłoby lepiej, gdyby to była tylko legenda...

Podczas walk zimą na przełomie 1914 i 1915 roku pod Przemyślem Austriacy mieli wziąć do niewoli dwóch oficerów rosyjskich i zamknąć ich

w Forcie XIII. Zapomnieli o jeńcach, gdy wysadzali budowlę w powietrze. Uwięzieni pod zwałami ziemi i betonu Rosjanie mogli zaspokajać głód i pragnienie dzięki wielkim zapasom, które pozostały w kazamatach. Mogli też oddychać, bo nie wszystkie kanały wentylacyjne uległy zniszczeniu. Tylko żadnego wyjścia z tego grobowca nie było... Sztabskapitan Nowikow poddał się pierwszy. Wypiwszy kilka butelek rumu, poderżnął sobie gardło. Jego towarzysz, którego nazwiska nie ustalono, miał przeżyć w całkowitych ciemnościach i ciszy osiem lat. Podobno w 1923 roku wyciągnęli go polscy robotnicy rozbierający ruiny fortu. Było to dla niego takim szokiem, że zmarł następnego dnia.

PIOTR KORCZYŃSKI



ZE WSPOMNIENÍ PATROLOWEJ KAI

Już w pierwszych dniach starć na warszawskiej Ochocie powstańcy wiedzieli, że nie mają szans na jej opanowanie. Dramat walczących i mieszkańców dzielnicy utrwaliła w swoich zapiskach sanitariuszka Hanna Dąbrowska.

ANNA DĄBROWSKA

ARCH. ANNY DĄBROWSKIEJ

W dniu 27 lipca 1944 roku dla oddziałów kobiecych IV Obwodu Ochota Armii Krajowej zarządzono stan pogotowia”, tak brzmiało pierwsze zdanie spisanych przez Hannę Dąbrowską „Kaję”, moją babcię, wspomnień o powstaniu warszawskim. Gdy wybuchło, miała 34 lata, męża Witolda i 10-letniego syna Janka. W czasie okupacji Hanna była instruktorką sanitarną w Wojskowej Służbie Kobiet, potem powierzono jej odpowiedzialność za patrol sanitarny składający się z sześciu osób. Oprócz niej tworzyły go cztery noszowe-sanitariuszki i łączniczka.

27 lipca około 30 młodych kobiet zgromadziło się w domu na rogu ulic Grójeckiej i Kopińskiej. „Jako wyposażenie osobiste polecono przynieść: koc, zmianę bielizny, prowiant na dwa dni. Ponieważ spodni jeszcze wówczas nie noszono, więc gwoili przyzwoitości (jeśli np. upadniecie z zadartą spódnicą) kazano nam włożyć jakieś ciemne gimnastyczne majtki”. Broni nie było, środków opatrunkowych niewiele, parę noszy. „Moja wypełniona torba sanitarna, z wyposażeniem gromadzonym przy pomocy znajomych lekarzy przez okres co najmniej roku, stanowiła wyjątek”, pisała babcia.

GODZINA W

„Kaja” cały dzień spędzała w punkcie, ale mogła nocować w domu.

„1 sierpnia rano zadzwonił telefon, że mam się natychmiast stawić na Grójecką. Miałam też rozpoznać miejsce akcji, aby przed 17.00 przeprowadzić patrol i ukryć go w bramie naprzeciwko koszar ulokowanych na terenie szkoły na rogu Niemcewicza i Raszyńskiej”.

Kręciło się tam już kilku chłopców z konspiracji, więc zdecydowała się zająć sklep vis-à-vis budynku koszar. Dziewczyny z patrolu przeniosły się tam z noszami i torbami sanitarnymi. Kenkarty zostały na kwaterze, miały tylko zawieszzone na szyi plakietki rozpoznawcze. Ze sklepu można było wyjść na ulicę oraz na podwórko, Hanna postanowiła więc zamknąć drzwi od frontu. Jak się okazało, decyzja ta uratowała patrol.

„O godzinie 17.00 usłyszałyśmy strzały dochodzące z różnych stron. W ciągu minuty kilkudziesięciu Niemców wybiegło z budynku w pełnym rynsztunku, z bronią gotową do strzału. Oddział, któremu miałyśmy towarzyszyć, się nie zjawił. Obiekt nie był atakowany. W tych okolicznościach wyjście ze sklepu byłoby bezcelowym samobójstwem”. Około 18.00 nadjechał oddział Wehrmachtu i żołnierze rozstawili swoje pozycje na chodniku przed sklepem. Gdyby nie był zamknięty, najprawdopodobniej weszliby do środka i zastali patrol z całym ekwipunkiem, co mogłoby się zakończyć rozstrzelaniem dziewczyn. Babcia widziała, jak z klatki schodowej naprzeciw sklepu wyszedł mężczyzna i natychmiast został zabity strzałem w głowę.

Nad ranem oddział niemiecki się wycofał i dziewczyny podjęły próbę wydostania się z pułapki. „Postanowiłyśmy wrócić

na kwaterę, udając cywilów zaskoczonych strzelaniną”. Nosze zostały, a torby sanitarne ukryły pod ubraniem. Wyszły z podniesionymi rękami wprost na niemiecki posterunek. Wy tłumaczyły, że chcą wracać do domów po przeciwnej stronie ulicy Grójeckiej. „Żołnierze, którzy prawdopodobnie uważali (jak i my w owym momencie), że powstanie jest już zlikwidowane, nie widzieli powodu, aby nas zatrzymać”. Zgięte w pół, kolejno przeszły na drugą stronę. „Godziny świtu 2 sierpnia były jedynymi, podczas których można było przejść przez ulicę Grójecką. Później połączenie zostało przerwane”.

W końcu dotarły do kwatery, tam jednak nikt nie wiedział, czy jeszcze gdziekolwiek są powstańcy. Niestety natarcia oddziałów IV Obwodu na wyznaczone obiekty niemieckie nie powiodły się. Na rozkaz komendanta obwodu ppłk. Mieczysława Sokołowskiego „Grzymały”

w nocy z 1 na 2 sierpnia większość powstańców opuściła dzielnicę i wycofała się do Lasów Chojnowskich.

DWIE REDUTY

Pozostałe na Ochocie jednostki zgromadziły się w dwóch kompleksach budynków. W kamienicach między ulicami Wawelską, Pługa, Mianowskiego i Uniwersytecką ulokował się ośrodek powstańczy nazwany Redutą Wawelską, pod dowództwem ppor. Jerzego Gołembiewskiego „Stacha”. Powstańcy

wytrwali tam do 11 sierpnia, po czym wycofali się kanałami do Śródmieścia Południowego. Z kolei Redutę Kaliską uformowano w zabudowaniach fabryki Polskiego Monopoli Tytoniowego przy ul. Kaliskiej oraz domach między ulicami Kaliską, Kopińską, Białobrzeską i Joteyki. Dowództwo powierzono por. Andrzejowi Chyczewskiemu „Gustawowi”.

„3 lipca od jednego z chłopców dowiedziałyśmy się, że oddziały są na ul. Joteyki. Biało-czerwona flaga, wartownik z opaską oznajmił nasze przybycie oficerowi”, opisywała „Kaja”. Porucznik jednak nie zgodził się na to, żeby patrol został z nimi, mówiąc, że ma już sanitariuszki.

Po dwóch dniach Hanna podjęła jeszcze jedną próbę nawiązania kontaktu z powstańcami. Wysłała łączniczkę do Monopoli, gdzie mieścił się szpital polowy, i uzyskała zgodę na dołączenie do nich. Niestety następnego dnia przejście znalazło się już pod ostrzałem. Próbowwała też przejść kanałami do Śródmieścia, ale dojście do wjazdu okazało się niemożliwe. „Odtąd działalność sanitarną prowadziłyśmy na własną rękę, chodząc opatrywać rannych w okolicznych domach”. „Kaja” pełniła dyżur m.in. przy śmiertelnie rannym w brzuch pisarzu Juliuszu Kadenie-Bandrowskim.

W nocy z 10 na 11 sierpnia oddział ppor. „Gustawa” po utracie fabryki opuścił Ochotę, wycofując się do Lasów Chojnowskich. Pojawili się żołnierze SS. Idąc wzdłuż domów, wrzucali do piwnic granaty i kazali wszystkim wychodzić. Wśród zatrzymanych ludzi były również dziewczyny. Niemcy popędzili jeńców między szpalerem żołnierzy ściągniętej do





Opaska sanitariuszki uszyta przez Hannę Dąbrowską i jej metalowa plakietka rozpoznawcza z wybitym pseudonimem „Kaja”, która w czasie powstania pełniła funkcję nieśmiertelnika

ARCH. ANNY DĄBROWSKIEJ



Warszawy Brygady Szturmowej SS RONA, kolaboracyjnej Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej. Od 4 do 14 sierpnia Rosjanie stacjonowali na Ochocie, gdzie zajmowali się przede wszystkim rabunkami, gwałtami i mordowaniem cywilów.

„Mówili, żebyśmy wszystko oddawali, bo i tak zostaniemy rozstrzelani”, wspominała „Kaja”. Ściągnęła z rąk sygnet, obrączkę, pierścionek i bransoletkę i idąc, rzucała im to kolejno w twarz. „Byłam pewna, że wszyscy AK-owcy zostaną wyłowieni i rozstrzelani. Przeżycia ostatnich dni, świadomość upadku powstania, bo przecież nie wiedziałyśmy, co dzieje się w innych dzielnicach, marsz wśród płonących domów, widok walącego się w gruzy miasta, kazały myśleć kategoriami ostatecznymi”. „Kaja” martwiła się tym, jak zachować godną postawę podczas egzekucji. Popędzono ich na ul. Opaczewską, gdzie na terenie placu targowego, tzw. zieleniaka, żołnierze RONA urządzili obóz przejściowy dla mieszkańców Ochoty. Po paru godzinach „Kaja” z dziewczętami z patrolu zdecydowały się dołączyć do pierwszego transportu, kierowanego do Pruszkowa. Była to kolejna szczęśliwa decyzja, bowiem w nocy na terenie zieleniaka żołnierze RONA dopuszczali się gwałtów i morderstw.

W obozie w Pruszkowie patrol się rozdzielił. Jedna noszowa wyszła z obozu z transportem rannych, trzy pozostałe trafiły na roboty do Niemiec. „Kaja” z łączniczką pojechały dalej kolejnym transportem. W Skierniewicach pociąg się zatrzymał. Wzdłuż wagonów stał szpaler żołnierzy, a ktoś z opaską RGO [Rada Główna Opiekuńcza, działająca w czasie II wojny organizacja charytatywna] rozdawał chleb. „Kaja” zapytała polskiego kolejarza, czy jest szansa, aby wydostała się z pociągu. Powiedział, że tak. Miała poczekać na niego na stacji.

Niestety szybko została schwytana przez niemiecki patrol. „Moja szaroniebieska garsonka brunatna od krwi pokazywała, że jestem z Warszawy”. Gdy pod bronią prowadzono ją na posterunek, nagle otoczyli ich Polacy. Położyli „Kaję” na noszach i dostarczyli do szpitala jako ciężko chorą. Tak wydostała się z transportu, który, jak się okazało, jechał do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu.

Uratowali ją ludzie właśnie z RGO, działającej podczas okupacji za zgodą niemieckich władz. Organizowali m.in. punkty pomocy medycznej, kuchnie dla ubogich, pomagali też mieszkańcom Warszawy po wypędzeniu z miasta podczas powstania i po nim. „Rola skierniewickiej ekipy RGO, która



Powstańcza opaska „Kaj” noszona przez nią przez kilka pierwszych dni zrywu

Cywilie opuszczają
zrujnowane wojną
miasto. Warszawa,
październik 1944 roku



PAP / CAF

CZŁONKOWIE RADY GŁÓWNEJ OPIEKUŃ- CZEJ PODAWALI JE- DZENIE LUDZIOM Z POCIĄGÓW, ODBIE- RALI KARTKI Z IN- FORMACJĄ DLA RO- DZIN I STARALI SIĘ WYPROWADZIĆ Z TRANSPORTU, KOGO SIĘ DAŁO

uratowała życie setkom ludzi i żywiła wszystkich przyjeżdżających, jest niedoceniana. Przez miesiąc pracowałam z nimi i wiem, jak wiele, z narażeniem własnego życia, zrobili dla mieszkańców Warszawy”, zapisała Hanna.

„Kaja” dowiedziała się, że ekipa RGO miała od Niemców zgodę na obsługę transportów ludności wywiezionej z Warszawy. „Inicjatorami i głównymi wykonawcami byli miejscowi AK-owcy występujący pod firmą RGO oraz lekarze szpitala miejskiego”, wspominała. Pomagała członkom Rady, jednocześnie licząc na to, że będzie mogła skontaktować się z pozostałymi w Warszawie matką, mężem i synem.

Do połowy września życie koncentrowało się na stacji. Kiedy dostawali zawiadomienie o odprawieniu pociągu z Pruszkowa, ruszali na dworzec. Wystawiali kotły z naparem z mięty, skrzyżnie z nakrojonych chlebem i nosze. „Podawaliśmy jedzenie, ale też odbieraliśmy kartki z informacją dla rodziny, staraliśmy się wyprowadzić z transportu kogo się dało, m.in. część osób wynoszono jako bardzo ciężko chorych na noszach”.

Każdego transportu pilnował oddział Wehrmachtu, ale między nim i RGO panowało ciche porozumienie. Jedni przymykali oko na działania Polaków w zmian za alkohol, inni byli świadomi zbliżania się końca wojny i nie obchodziło ich, co działo się na stacji.

DULAG PRUSZKÓW

W połowie września, kiedy Hanna dowiedziała się, że część pociągów kierowana jest także innymi trasami, przeniosła się jako siostra sanitarna do obozu przejściowego Dulag 121 w Pruszkowie. „Wybrałam służbę na 14 bramie, przez którą transporty wkraczały na teren obozu”.

Według Niemców obowiązkiem tej grupy była pomoc w jak najszybszym przejściu ludzi z wagonów do hal, wspieranie chorych i dbanie o porządek. Polacy dodatkowo informowali przybyłych, jak uniknąć transportu do Rzeszy, ułatwiali im też wydobycie się poza kordon wartowników i uniknięcie obozu.

Za każdym razem kiedy przybywał kolejny transport, babcia wykrzykiwała swój adres: Marszałkowska 71. Za którymś razem odezwał się jeden z sąsiadów, mówiąc, że jej mąż i syn są cali i zdrowi, ale stan matki się pogorszył. Przyjechała niedługo potem z transportem sanitarnym. „Poznała mnie, ale nie zdawała sobie już sprawy z sytuacji. Umieściłam ją w miejscowym szpitalu, niestety nie uratowało jej to życia”, czytamy we wspomnieniach.

Kiedy do Pruszkowa dotarła informacja, że Niemcy uruchomili dodatkowy obóz w Ursusie, nie było już pewności, że spotka się swoich. Hanna wraz z koleżanką, która też miała rodzinę w Warszawie, zdecydowały, że jedna z nich przedstanie się do miasta i umieści obie rodziny w pociągu do Pruszkowa, druga je tutaj wyłowi. Ciągnęły losy i wyszło na to, że „Kaja” została w Pruszkowie. Koleżanka odnalazła w Warszawie obie rodziny, ulokowała je w odpowiednim transporcie, którym dojechali na pruszkowską stację. „Zastałam ich wychudzonych, ale zdrowych i w o wiele lepszej formie, niż to wielokrotnie widziałam oczami wyobraźni”. Szczęśliwie całej trójce udało się przeżyć wojnę. ■

POLSKA-ZBROJNA.PL

HISTORIA POLSKA ZBROJNA

MAGAZYN O TRADYCJI I CHWALE
POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 849 494

WOJSKO
POLSKIE

Twoja historia – Twoje życie!

Polecam!

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna



KRZYSZTOF KUBIAK

Upadek Szakala



Szakal naprawdę nazywał się Ilich Ramirez Sanchez. Jego droga wyglądała na swój sposób typowo dla wielu młodych ludzi z zamożnych południowoamerykańskich rodzin. Ojciec, wzięty adwokat z zachodniowenezuelskiego miasta Michelena, był wielkim zwolennikiem bolszewickiej utopii. Postawa taka miała swe źródło raczej w charakterystycznym dla Ameryki Łacińskiej antyjankesizmie niż w rzeczywistej woli dokonania społecznego przewrotu. Niemniej jednak trzej synowie mecenasa Ramireza otrzymali imiona Ilich, Władimir i Lenin... Ilich, urodzony w 1949 roku, uczęszczał do dobrego gimnazjum w Caracas, gdzie związał się z partią komunistyczną. Następnie, za sprawą matki, wysłano go na studia do Londynu, choć ojciec nalegał, by była to Moskwa. Do sowieckiej stolicy Ilich trafił w roku 1968, po rozwodzie rodziców. Wraz z bratem Leninem miał studiować nauki techniczne. Sielanka nie trwała długo. Ramirezowie z trudem naginali się do biurokratycznego komunizmu sowieckiego i wręcz epatowali rewolucyjną żarliwością. Radzieccy towarzysze gotowi byli wspierać takich gorliwców, ale bynajmniej nie we własnym kraju. Ramirezów z uczelni wydalonono, a Ilich ostatecznie trafił, z polecenia KGB, do jednego z jordańskich obozów Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. W 1970 roku wykazał się w walkach z jordańską armią, która skutecznie udaremniła zamysł przejęcia państwa przez Palestyńczyków.

Obyty w świecie młody, ideowy, ale również brutalny i bezwzględny człowiek był jednak zbyt cenny, by wyznaczać mu zadania prostego partyzanta. Wenezuelczyka wysłano do Londynu, gdzie mozolnie budował struktury Ludowego Frontu. W 1971 roku aresztowała go brytyjska policja w związku z zabójstwem ambasadora Jordanii. Ilichowi niczego nie udowodniono. Został zwolniony, ale pozostawał pod okresową obserwacją. Mimo to w 1973 roku przeprowadził najpierw zamach na prominentnego żydowskiego biznesmena, a później wrzucił bombę do oddziału jednego z izraelskich banków. Kiedy oblawa zaczęła zaciskać pętlę, uciekł do Francji. Nad Sekwaną okazał się wyjątkowo skuteczny, organizując kilkanaście aktów przemocy. Kiedy Francuzi trafili na jego trop, zdołał się wymknąć, zabijając dwóch funkcjonariuszy. Było to w 1975 roku. W następnych latach krążył między Bliskim Wschodem a Europą, uczestnicząc w licznych atakach terrorystycznych. Prasa ochrzciła go wówczas przydomkiem Szakal (odwołanie do tytułu powieści sensacyjnej Fredericka Forsytha), używał też pseudonimu „Carlos”. Jego działania były groźne i bardzo spektakularne, choć pamiętać trzeba, że Sanchez nie był samorodnym geniuszem, ale korzystał z szerokiego wsparcia służb bloku wschodniego.

Dobra passa Wenezuelczyka skończyła się wraz z wygasaniem zimnej wojny. Moskwa straciła zainteresowanie destabilizowaniem sytuacji przy pomocy palestyńskich radykałów. Na nowo w sytuacji usiłowała się też odnaleźć Syria, rządzona przez Hafeza al-Asada. Sanchez zaczął obawiać się, że Damaszek może wydać go w zamian za poprawę relacji z Zachodem. Osiadł więc w Sudanie. Nie ukrywał się przesadnie, co stanowiło poważny błąd. Szakal nie docenił skuteczności Francuzów. Nie wiadomo dokładnie, co Paryż zaoferował ówczesnemu sudańskiemu prezydentowi Hasanowi at-Turabiemu. Obietnice lub groźby okazały się na tyle skuteczne, że 14 sierpnia 1994 roku terrorystę uśpiono i przekazano francuskim agentom. Nad Sekwaną, za 16 udowodnionych zabójstw i kilkaset innych przestępstw, skazano Szakala na dożywocie. W Wenezueli (oraz innych krajach Południowej Ameryki) wielu nadal uważa go jednak za ludowego bohatera. ■



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK jest pracownikiem naukowym Katedry Nauk o Bezpieczeństwie na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

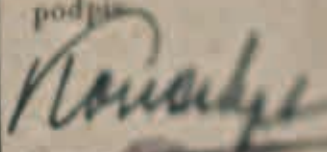
PO SŁUŻBIE

/ POWRÓT
DO PRZESZŁOŚCI

100027

Dowództwo Armji Krajowej

Oddział:	A. K.
Nazwisko:	JOZEFOWICZ "Czesław"
Imiona:	Czesław
Stopień:	sierz. pchor.
Data urodz.:	20.7.1915.
Przydział:	plut. 30000000
Data wyst. leg.:	24.8.1944.

	podpis 
Numer leg.:	214.

Odział
przewodnik

ZAPAMIĘTAMY ICH TWARZE

Najcenniejszy zbiór, jaki trafił
do Muzeum Powstania Warszawskiego,
został przyniesiony przez anonimowego
darczyńcę.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER



Przed wybuchem powstania warszawskiego dowódca AK, gen. Tadeusz Bór-Komorowski, nakazał, aby zaopatrzyć żołnierzy AK w legitymacje. Były one drukowane przed rozpoczęciem walk w stolicy, najczęściej z datą 25 lipca 1944 roku. Projektowały je i drukowały różne komórki AK.



S

tarszy, siwy, uśmiechnięty mężczyzna jesienią 2020 roku zapukał do drzwi sekretariatu Muzeum Powstania Warszawskiego i wszedł do środka. Na stoliku położył poślódką papierową torbę, na której ktoś napisał ołówkiem „leg.” Lekko się uklonił i wyszedł. Gdy pracownicy muzeum obejrzelili zawartość torby, wybiegli za mężczyzną z budynku. Było już jednak za późno. Starszy pan zniknął. „Może był człowiekiem, który umie pozostać niezauważony?”, zastanawiał się Jan Ołdakowski, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego. Pytanie: kto w taki sposób pozostawia kolekcję wartą milion złotych?, pozostało bez odpowiedzi. Darem starszego pana, który chciał pozostać anonimowy, okazały się 382 legitymacje powstańców warszawskich oraz trzy przepustki. Dotychczas muzeum miało w zbiorach 319 legitymacji przekazywanych przez lata przez powstańców i ich rodziny.

MARCIN OBARA / PAP



PIECZĘĆ Z ORŁEM

W Muzeum Powstania Warszawskiego w sali Pod Liberatorem część ekspozycji poświęcono na prezentację daru starszego pana, czyli powstańczych legitymacji. Dokumenty są zawieszone w ramach zabezpieczonych przezroczystą pleksą. Każda legitymacja ma swoje okienko, można obejrzeć jej awers oraz rewers, na których zapisało cenne dla historyków informacje.

Katarzyna Utracka, zastępca kierownika Działu Historycznego MPW, opowiada, że przed wybuchem powstania warszawskiego dowódca AK, gen. Tadeusz Bór-Komorowski nakazał, aby dać akowcom legitymacje. Drukowano je jeszcze przed rozpoczęciem walk w stolicy, zwykle widniała na nich data 25 lipca 1944 roku. Projektowały je i drukowały różne komórki AK.

Niektóre spośród tych dokumentów opracował cichociemny Stanisław Jankowski „Agaton”, szef Wydziału Legalizacji i Techniki Oddziału II Informacyjno-Wywiadowczego Komendy Głównej AK. Był on ekspertem od fałszerstw i podróbek. Jego lewe papiery uratowały życie setek żołnierzy i kurierów zbrojnego podziemia. W książce „Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie” tak wspominał to zadanie: „Przygotowania do Powstania nie ominęły naszych pracowni fa-

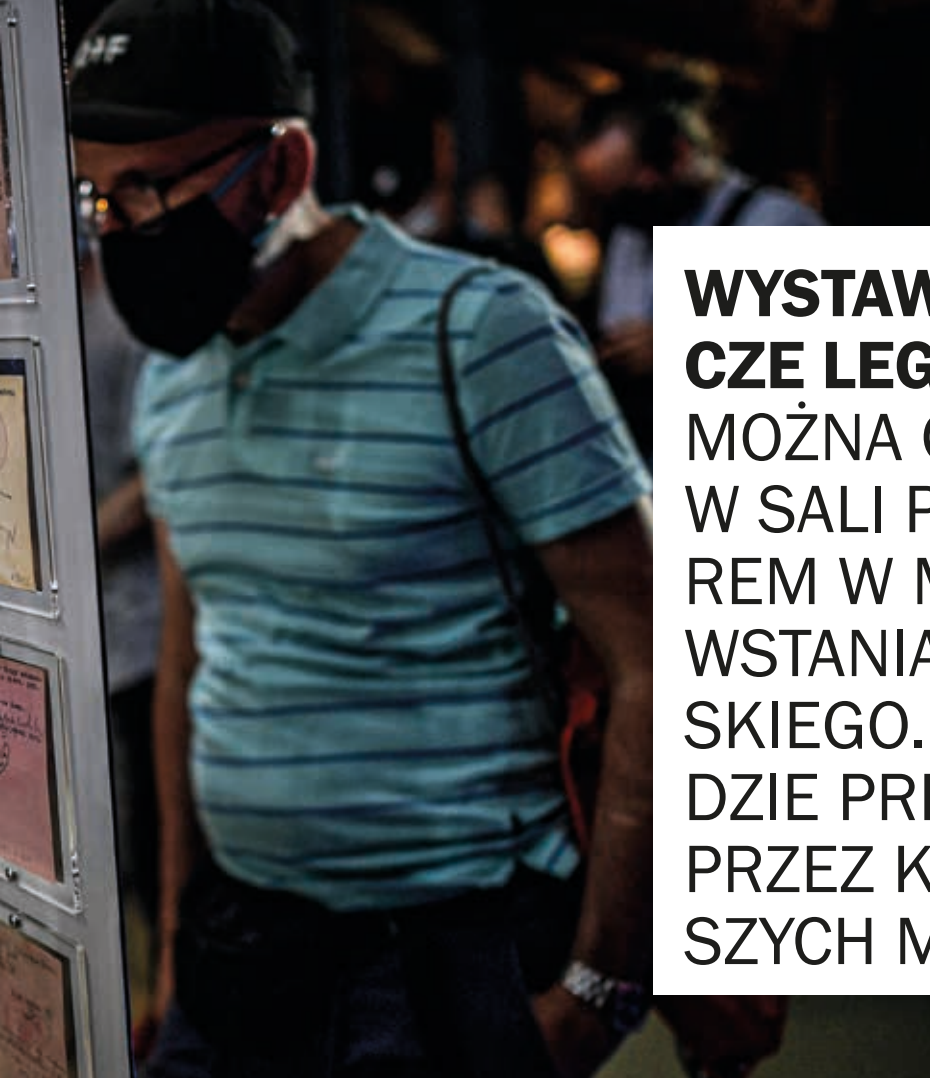
szywych dokumentów. Wydrukowaliśmy legitymacje AK, zrobiliśmy pieczęć Dowódcy AK. Chcieliśmy naszą fałszerską działalność zakończyć prawdziwym dokumentem i prawdziwą pieczęcią. Po dziesiątkach fałszywych niemieckich ausweisów i Durchlassscheinów, po setkach pieczęci ze swastyką – polska legitymacja wojskowa i pieczęć z polskim orłem”.

W kolekcji zaprezentowanej w muzeum większość legitymacji ma kształt pionowych, prostokątnych i różowych kartoników. Różnią się nie tylko kolorem i wielkością, ale także pieczęciami i adnotacjami. Na niektórych widać odcisnięty kciuk właściciela. Na wszystkich zaś są takie informacje, jak stopień, imię i pseudonim. „Są na nich pieczętki i podpisy dowódców, informacje o awansach, odznaczeniach, numerach rozkazów. Czasem dowiadujemy się, że dana osoba miała prawo do noszenia broni i zatrzymywania podejrzanych. Mamy kilka legitymacji z adnotacją o zdaniu egzaminu na podchorążego. Należą one do żołnierzy z Batalionu »Ruczaj«”, opowiada Katarzyna Utracka.

Większość legitymacji wystawiono na szeregowych żołnierzy oraz podchorążych. Dzięki odnoto-



KATARZYNA UTRACKA, zastępca kierownika Działu Historycznego MPW: „Szczególnie cenne są dwie powstańcze legitymacje podpisane przez rtm. Witolda Pileckiego. We wrześniu 1944 roku był on dowódcą 2 kompanii Zgrupowania »Chrobry II«, która broniła reduty powstańczej przy ulicy Towarowej, znajdującej się zaledwie 300 m od siedziby muzeum”.



WYSTAWĘ „POWSTAŃCZE LEGITYMACJE” MOŻNA OGLĄDAĆ W SALI POD LIBERATO- REM W MUZEUM PO- WSTANIA WARSZAW- SKIEGO. KOLEKCJA BĘ- DZIE PREZENTOWANA PRZEZ KILKA NAJBLIŻ- SZYCH MIESIĘCY

wanym tam przydziałom do kolejnych oddziałów udało się ustalić nazwiska wielu powstańców oraz odtworzyć ich szlak bojowy. Katarzyna Utracka wskazuje na kolejne egzemplarze. Mają biały kolor, nietypowy wzór, a na rewersie znak Polski Walczącej oraz godło Rzeczypospolitej. Należały do żołnierzy Batalionu „Pięść” oraz Batalionu „Łukasiński”, walczącego na Starym Mieście.

W zbiorze znajdują się także legitymacje żołnierzy walczących na Starówce w Brygadzie Dyspozycyjno-Zmotoryzowanej NSZ „Koło”. To członkowie Narodowych Sił Zbrojnych, znani głównie pod pseudonimami konspiracyjnymi. Nie wszyscy ujawnili się po wojnie. Dzięki tym legitymacjom historycy muzeum mogą prześledzić ich losy i poznać nazwiska.

„Szczególnie cenne są dwie powstańcze legitymacje podpisane przez rtm. Witolda Pileckiego. We wrześniu 1944 roku był on dowódcą 2 kompanii Zgrupowania »Chrobry II«, która broniła reducty powstańczej przy ulicy Towarowej, znajdującej się zaledwie 300 m od siedziby muzeum”, opowiada Katarzyna Utracka, wskazując na legitymację należącą do kpr. pchor. Bohdana Kwiatkowskiego „Blachy”, żołnierza kompanii gospodarczej Zgrupowania „Chrobry II”. 25 września 1944 roku otrzymał on przydział do nowo sformowanej 2 kompanii 1 Batalionu Zgrupowania „Chrobry II”. Na jego legitymacji jest podpis rtm. Pileckiego.

Historykom z Muzeum Powstania Warszawskiego udało się ustalić, że większość dokumentów należała do żołnierzy ze zgrupowań: „Chrobry II”, „Gurt”, batalionów „Zaremba-Piorun”, „Bełt” i „Kiliński”, którzy walczyli od początku sierpnia do upadku powstania w Śródmieściu. Są też legitymacje należące do powstańców, którzy w sierpniu 1944 roku walczyli na Starym Mieście, a po ewakuacji kanałami kontynuowali walkę w Śródmieściu. Chodzi o żołnierzy m.in. batalionów „Chrobry I”, „Łukasiński”, „Gozdawa”, Korpusu Bezpieczeństwa „Nałęcz” czy wspomnianej Brygady Dyspozycyjno-Zmotoryzowanej NSZ „Koło”. Dwie legitymacje zostały wystawione na fałszywe nazwiska, a na kilku kolejnych widnieją dane wcześniej poległych powstańców. Prawdopodobnie ktoś posłużył się ich personaliami, bo nie chciał się ujawnić.

POWSTAŃCZE HISTORIE

Gdy przyglądam się legitymacjom na wystawie, oczyma wyobraźni widzę powstańców, którzy stoją za każdym różowym lub białym kartonikiem. Mają oni twarze i nazwiska, wiążą się z nimi wyjątkowe historie, które można opowiedzieć. Jedną z takich osób jest Ireneusz Rudnicki „Emir”. To jedyny żyjący powstaniec, którego legitymacja (nr 16024) trafiła na wystawę. Podczas powstania walczył on w Batalionie „Kiliński”, po wojnie zaś został na emigracji →

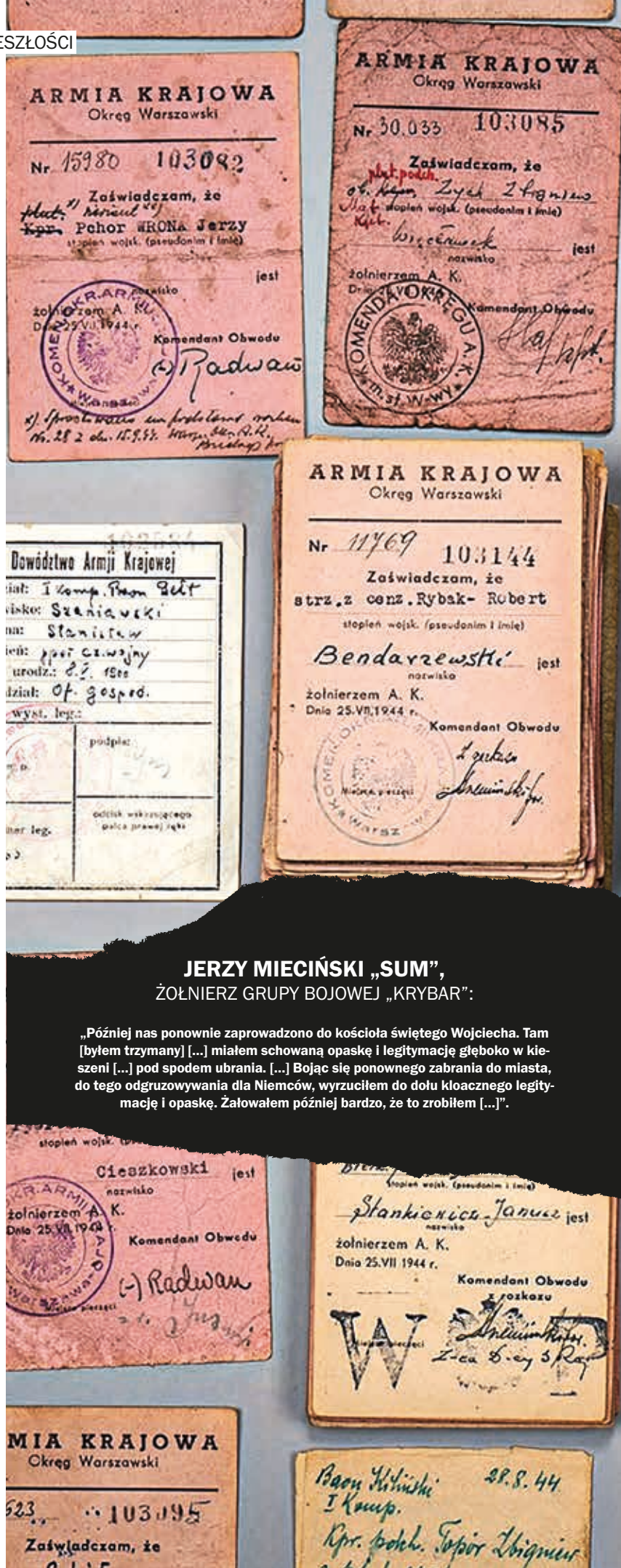
w Anglii, potem w USA. Pracował w przemyśle kosmicznym i zbrojeniowym. Mieszka w Kalifornii wraz z żoną Danutą (w powstaniu łączniczką i sanitariuszką, ps. „Wrzos”). „Był wzruszony, gdy się z nim skontaktowaliśmy. Pamięta, że poszedł z tą legitymacją do niewoli, jednak nie pamięta, niestety, kiedy mu ją zabrano”, opowiada Katarzyna Utracka.

Zatrzymujemy się na chwilę przed multimedialnym ekranem, aby posłuchać opowieści powstańca kpr. Jerzego Chlistunoffa „Jurka”. Jego legitymacji, na której Niemcy przystawili pieczętkę z niemieckim godłem, nie ma na wystawie. Znajduje się ona w domowym archiwum. Kpr. „Jurek” walczył w powstaniu w 8 kompanii Batalionu „Kiliński” w Śródmieściu Północnym (numer legitymacji AK: 157/ Okręg). Po jego upadku służył w Batalionie Ośłonowym (Asystencyjnym), który zgodnie z umową kapitulacyjną pozostawał w mieście do 9 października 1944 roku w celach porządkowych. Po opuszczeniu Warszawy kpr. „Jurek” trafił do szpitala jenieckiego w Zeithain (numer jeniecki: 305259). Dziś mieszka w Warszawie. Tak opowiada o swojej legitymacji powstańczej: „[...] muszę się pochwalić swoim numerem – 157, bardzo niski. To jest bardzo rzadka legitymacja. To było pozwolenie na noszenie broni w rejonie tej służby po Powstaniu. [...] Pokazuję jedną z tych legitymacji [ostemplowaną przez Niemców], które można na palcach jednej ręki policzyć, bo nie wiem, czy są jeszcze tacy powstańcy, którzy mają takie legitymacje, wielu z nich poniszczyło swoje albo rodziny poniszczyły je w latach powojennych. Ja swoją legitymację przechowałem we wszystkich czasach, [również] obozowych u Niemców, mimo że Niemcy [je] zabierali i przechowałem w czasach ubeckich i do dziś ona przetrwała”.

NIE STRZELAJ DO CZŁOWIEKA

Gdy do muzeum trafiły powstańcze legitymacje, fotograf tej placówki Michał Zajączkowski dostał zadanie, aby zrobić serię zdjęć. Rozłożył je na stole i sięgnął po pierwszy z brzegu kartonik. Dopiero gdy położył go przed obiektywem aparatu, zobaczył, że jest to legitymacja kpr. pchor. Rajmunda Zajączkowskiego „Zajęca”. Zbieżność nazwisk nie była przypadkowa. Legitymacja należała do jego dziadka. „Niewiele wiem o jego okupacyjnych losach, bo nie chciał o tym opowiadać”, przyznaje wnuk.

Z biogramu opracowanego przez muzealnych historyków wynika, że kpr. pchor. Rajmund Zajączkowski „Zajęca” walczył w powstaniu war-



JERZY MIECIŃSKI „SUM”, ŻOŁNIERZ GRUPY BOJOWEJ „KRYBAR”:

„Później nas ponownie zaprowadzono do kościoła świętego Wojciecha. Tam [byłem trzymany] [...] miałem schowaną opaskę i legitymację głęboko w kieszeni [...] pod spodem ubrania. [...] Bojąc się ponownego zabrania do miasta, do tego odgruzowywania dla Niemców, wyrzuciłem do dołu kloaczny legitymację i opaskę. Żałowałem później bardzo, że to zrobiłem [...]”.



MONIKA MROZOWSKA
(W POWSTANIU RYCEMBEL) „MONIKA”,
 WOŁONTARIUSZKA W PUNKCIE SANITARNYM
 PRZY KRAKOWSKIM PRZEDMIEŚCIU

„Dziś nie umiem powiedzieć, jak ta legitymacja wyglądała i gdzie należała, dlatego że w momencie, kiedy Niemcy weszli i zaczęli nas wszystkich zabierać, nasza komendantka kazała nam wszystkie legitymacje zniszczyć. Myśmy szli już nie jak powstańcy, tylko jak wszyscy inni”.



szawskim jako żołnierz Batalionu „Łukasiński”, a następnie Batalionu „Kiliński” (numer legitymacji AK: 17573). Ze Starego Miasta przeszedł kanałami do Śródmieścia, a po upadku powstania trafił do niewoli niemieckiej (numer jeniecki: 102946). Zmarł 25 września 1995 roku w Warszawie.

Jego wnuk Michał Zajączkowski przyniósł do muzeum pamiątki po dziadku zabrane z mieszkania rodziców, m.in. kartę z obozu jenieckiego i dowód tożsamości z 1945 roku. Zamierzał zrobić z tych dokumentów reprodukcje. Pandemia opóźniła te plany. A potem nieoczekiwanie w stosie różowych kartoników, które miał sfotografować, znalazł legitymację powstańczą dziadka. „Gdy zmarł, byłem 15-letnim chłopakiem”, wspomina. Opowiada o spacerach z dziadkiem, który mieszkał niedaleko więzienia na Pawiaku, ale nigdy nie zabierał wnuka na przechadzki obok więziennych pawilonów. „Michaś, tam nie pójdziemy, jesteś za mały”, tłumaczył chłopcu. Gdy czteroletni wnuk zjął ze ściany drewniany pistolet, traktując go niczym zabawkę, łagodny na co dzień dziadek się zdenerwował. „Michaś, nigdy nie mierz z broni palnej do człowieka”, pouczył wnuka. Gdy dorosły już Michał Zajączkowski szukał informacji na temat wojenno-powstańczych losów dziadka, trafił na książkę Benedykta Ziółkowskiego „Batalion Armii Krajowej »Łukasiński«”. Z rodzinnych pamiątek po kpr. pchor. Rajmundzie Zajączkowskim pozostała opaska akowska. Powstańcy mówią, że prócz legitymacji to dla nich najcenniejsza rzecz.

NIEZNANE LOSY

Większość legitymacji ma wybite numery jenieckie nadawane w Stalagu 344 Lamsdorf. Świadczy to o tym, że powstańcy trafili tam po upadku powstania, a Niemcy nabili na ich dowody tożsamości numery porządkowe. Zabrali im jednak te dokumenty, zastępując je blaszanym identyfikatorem z numerem obozowym.

W ciągu kilku miesięcy po upadku powstania niemal wszyscy powstańcy z obozu Lamsdorf zostali przetransportowani w inne miejsca. W połowie marca 1945 roku do stalagu weszli Rosjanie. Nie wiadomo, czy obozowe archiwum trafiło w ręce Armii Czerwonej, czy też wywieźli je Niemcy. Nieznane są także dalsze losy powstańczych dokumentów.

Jak dotychczas, 22 legitymacje (z 382) pozostają nierozszyfrowane. „Mam nadzieję, że z czasem poznamy ich właścicieli”, podsumowuje Katarzyna Utracka.

POJEDYNEK Z SAMYM SOBĄ

Z Mateuszem „Masterem” Masternakiem o tym, jak godzi treningi bokserskie ze służbą w wojsku, rozmawia Magdalena Miernicka.



Nie czuje pan żalu, że nie wziął udziału w igrzyskach olimpijskich w Tokio?

Bardzo chciałem wystartować w Tokio. Moim wielkim marzeniem zawsze była walka na olimpiadzie. To chyba jednak przeznaczenie, że tak się nie stało. Od początku przygotowań wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że nie powinienem się w to angażować. Kiedy w końcu pojechałem na turniej kwalifikacyjny do Londynu, okazało się, że z powodu pandemii został odwołany. Zdążyłem stoczyć tylko jedną walkę. Jak długo miałem czekać w niepewności? Tego wówczas nikt nie wiedział. Jako mąż i ojciec nie mogłem sobie pozwolić na to, aby tkwić w takiej beczynności, a uposażenie przeznaczać na przygotowania do igrzysk, które nie wiadomo, kiedy się odbędą. Boks zawodowy zapewnia mojej rodzinie stabilizację, dlatego zdecydowałem się do niego wrócić.

Czy da się pogodzić boks olimpijski z zawodowym?

Nie ma takiej możliwości. Pojedynek w boksie zawodowym trwa 12 rund, a na igrzyskach tylko trzy. Tempo walki jest więc zupełnie inne, co wymaga odpowiedniego przygotowania. Zresztą niektóre federacje bokserskie blokują kandydatów na olimpijczyków. W jednej z trzech najważniejszych, World Boxing Council, nie mogę walczyć o pas przez dwa lata. Ale nie chcę się użalać, tak po prostu wyszło. Poświęciłem na przygotowania do olimpiady półtora roku. W karierze sportowca to bardzo dużo. Zresztą nie będę ukrywał, że nie złapaliśmy wspólnego języka z trenerem kadry. To przyspieszyło moją decyzję.

Niedawna walka z Adamem Balskim potwierdziła, że była to dobra decyzja.



Podczas wojskowej gali „Walke mamy we krwi” szer. Mateusz Masternak (z lewej) stoczył pojedynek bokserki z szer. Bartoszem Barczyńskim z 6 Brygady Powietrznodesantowej. Jednogłośnie decyzją sędziów walkę wygrał „Master”.



MONIKA DWULATEK

WIZYTÓWKA

SZER. MATEUSZ „MASTER” MASTERNAK

Jest ratownikiem w 2 Wojskowym Szpitalu Polowym we Wrocławiu, a także jednym z najlepszych polskich bokserów. W 2019 roku przerwał karierę i zdecydował się zasilić szeregi kadry narodowej na igrzyska olimpijskie w Tokio. Do zawodownictwa wrócił kilka miesięcy temu. Obecnie zajmuje ósme miejsce w rankingu bokserów kategorii junior ciężkiej w International Boxing Federation. ■

LESZEK CHEMPEREK / CO. MON

Rzeczywiście, dotarło do mnie wiele dobrych opinii o tym starciu i co najważniejsze dostarczyliśmy kibicom emocji. To bardzo cieszy. Liczę na więcej takich pojedynków.

Czy chciałby się pan zmierzyć z jakimś konkretnym przeciwnikiem?

Z Ilungą Makabu, mistrzem świata World Boxing Council. To bardzo dobry pięściarz, ale uważam, że jest w moim zasięgu. Albo z Mairisem Briedisem, mistrzem świata International Boxing Association. Miałem z nim kilkanaście sparingów, były bardzo fajne. Chciałbym też skrzyżować rękawice z Lawrencem Okolciem, mistrzem świata World Boxing Organization. Jak widać, patrzę tylko w kierunku tych najlepszych zawodników i to właśnie podczas walk z nimi chciałbym reprezentować nasz kraj i Wojsko Polskie. Zobaczmy, jak to będzie. Boks za-

wodowy to jednak w dużej mierze biznes i dopóki nie ma się pasa mistrzostw świata, to wszystkie warunki dyktują obecni liderzy i ich promotorzy.

Bilans pańskich dotychczasowych walk jest imponujący. Na 49 zawodowych pojedynków przegrane można policzyć na palcach jednej ręki. Które pamięta się bardziej, te wygrane czy zakończone porażką?

Mam na koncie 50 walk, jedna, ośmiorundowa, nie została wpisana do mojego zestawienia. Pięć zakończyło się porażką, ale za jedną się zrewanżowałem, więc ze swojej prywatnej listy ją wykreślałem. Jedna przegrana to konsekwencja nieuczciwości sędziów, a dwie nastąpiły po bardzo wyrównanych walkach. Tak naprawdę za przegrane uważam więc tylko jedno starcie. Najcięższa do tej pory była chyba walka z Johnnym Mullerem. ➔



UWAŻAM, ŻE KAŻDY POWINIEN TRAKTOWAĆ SWÓJ ORGANIZM JAK PRZYJACIELA, A JEDNĄ Z FORM DBANIA O SIEBIE JEST AKTYWNOŚĆ

Walczyliśmy w Johannesburgu, mieście, które leży na wysokości 2 tys. m nad poziomem morza, czyli to trochę tak, jakbyśmy boksowali na Kasprowym Wierchu. Nie zdążyłem się zaaklimatyzować i czułem się tak, jakbym nie walczył z rywalem, tylko z samym sobą. Brakowało mi powietrza, myślałem, że będę musiał się poddać. Dotrwałem do końca dzięki ambicji i uporowi. Ciężkie były też starcia z Jeanem-Markiem Mormeckiem, Tonym Bellewem czy Grigorijem Drozdem. Po każdej walce na tak wysokim poziomie myśli się o tym, czy coś można było zrobić lepiej, czy organizm nie był przetrenowany, a może wręcz przeciwnie. Jak to się mówi, sukces ma wielu ojców, a porażka jest sierotą, zwłaszcza w sporcie zawodowym. Wychodzę jednak z założenia, że każda walka dostarcza nowych doświadczeń i umiejętności.

Jak wygląda dzień zawodowego sportowca?

Całkiem prozaicznie. Wstaję rano, melduję się w jednostce i sprawdzam, jakie zadania na mnie czekają. Jeśli jest taka możliwość, trenuję w czasie służby, jeśli nie – po niej. Na razie staram się nie obciążać zbytnio organizmu, koncentruję się na ćwiczeniach ogólnorozwojowych, ale kiedy termin walki zostanie potwierdzony, trening będzie intensywniejszy.

Codziennie jest pan w jednostce? Zawodowi sportowcy nie mają żadnych ulg?

Nie będę ukrywał, że mam pewne przywileje, a moi przełożeni bardzo mnie wspierają. Niedawno spędziłem trzy miesiące w szeregach Centralnego Wojskowego Zespołu Sportowego, dzięki czemu mogłem sporo trenować. Teraz jestem w jednostce, ale jest szansa, że znów zostanę do niego oddelegowany. Nie będę ukrywał, bardzo mnie to cieszy. Kiedy przygotowuję się do walki, treningi są naprawdę bardzo intensywne, więc trudno pogodzić je ze służbą. Przerabiałem to przed kilkoma pojedynkami i było bardzo ciężko.

Jak to się w ogóle stało, że „Master” został żołnierzem?

W pewnym momencie zaczęło mi czegoś brakować. Przed każdą walką prowadziłem bardzo intensywny tryb życia, ale po niej nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Nie miałem też komfortu, że po zakończeniu kariery sportowej będę mógł odcinać kupony i prowadzić spokojne, ustabilizowane pod względem

finansowym życie. Wielu pięściarzy popełnia ten błąd, że zaczyna szukać nowego źródła utrzymania, dopiero kiedy na dobre opuści ring, ale nigdy nie wiadomo, ile taka przerwa może potrwać. Mam rodzinę i jestem za nią odpowiedzialny. Dlatego szukałem zajęcia, które pozwoliłoby mi i zarabiać, i trenować. Postawiłem na wojsko. To była dobra decyzja.

Panowie z wojskowej komendy uzupełnień nie byli zaskoczeni, że bokser chce wstąpić do armii?

Chyba nie zdawali sobie sprawy, kim jestem. Ale służbę przygotowawczą odbyłem już z innymi sportowcami. Wdrożyłem się, poznałem to środowisko i zostałem. Na początku bardzo pomagali mi koledzy, którzy zostali żołnierzami wcześniej. Teraz żartują, że może ja rządę w ringu, ale gdybym trafił do ich jednostki, to byłiby górą, bo mają wyższy stopień [śmiech]. Dla mnie jednak awans nie jest najważniejszy. Liczy się to, że noszę mundur – jestem z tego dumny.

Sporty walki są bardzo popularne w wojsku. To dobry kierunek rozwoju dla żołnierzy?

Z pewnością. Nie chodzi nawet o to, że zdobyte w czasie treningów umiejętności mogą przydać się na służbie. Sporty walki po prostu mają świetny wpływ na kondycję. A przecież my, żołnierze, musimy być wysportowani. Zresztą uważam, że każdy powinien traktować swój organizm jak przyjaciela, a jedną z form dbania o siebie jest właśnie aktywność.

Niedawno brał pan udział w wojskowej gali sportów walki „Walkę mamy we krwi”. Jak pan ocenia poziom zawodników żołnierzy?

Byłem tą galą zachwycony! Panowała na niej fantastyczna atmosfera. Sport był najważniejszy, co wcale nie jest takie oczywiste w przypadku takich wydarzeń. MMA [mixed martial arts, czyli mieszane sztuki walki] stało się modne i w oktagonie chce się stawić niemal każdy. To się mści. Na wielu eventach poziom rywalizacji sportowej jest byle jaki, a promocja opiera się na kontrowersji. Być może teraz to się dobrze sprzedaje, ale do czego doprowadzi? Na gali w Powidzu można było zobaczyć sport przez duże „s”. W czasie ważenia wszyscy zawodnicy przybili ze sobą piątki, a w oktagonie dawali z siebie wszystko, nie było żadnych zbędnych emocji. Tego typu wydarzenie to świetna promocja i sportu, i wojska. ■

KWARTALNIKBELLONA.COM

KWARTALNIK BELLONA

PISMO NAUKOWE
TRADYCJA POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ
OD 1918 ROKU



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 849 494

WOJSKO
POLSKIE

*Nasza interpretacja –
Wasze źródła*

Większość bohaterów fotografii zaprezentowanych na wystawie pozostaje anonimowych.

OFIARY NIEPAMIĘCI

Naszywka z inicjałami na mundurze czy para butów z wypisanym na nich nazwiskiem. Niewiele można powiedzieć o ich właścicielach, Polakach służących w oddziałach wartowniczych przy armii amerykańskiej.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER



Od maja 1945 roku na terenie Niemiec, Francji i Belgii przy amerykańskich oddziałach pomocniczych, do których zgłaszali się polscy jeńcy wojenni, więźniowie uwolnieni z obozów koncentracyjnych oraz żołnierze Brygady Świętokrzyskiej, którzy przedostali się z Polski, przez Czechy, do Niemiec.

To byli patrioci, którzy tęsknili za krajem. Hasło: »Bóg, Honor i Ojczyzna« nie stanowiło dla nich pustego sloganu”, tak o członkach polskich oddziałów wartowniczych (o charakterze pomocniczym) przy armii amerykańskiej w zachodnich Niemczech po II wojnie światowej mówi Monika Mazanek-Wilczyńska, która poświęciła im dwa dokumentalne filmy o wymownych tytułach: „Wierzyli, że wrócą...” i „Służyliśmy u Amerykanów”. Formacje wartownicze istniały od 1945 do 1990 roku. „Czyż nie były one naszą forpocztą w NATO?”, zastanawia się Monika Mazanek-Wilczyńska. Chociaż przez te lata przewinęło się przez nie łącznie około 160 tys. osób, praktycznie nie funkcjonują one w świadomości społecznej.

UZUPEŁNIANIE LUK

Od maja 1945 roku na terenie Niemiec, Francji i Belgii przy amerykańskich wojskach powstawały oddziały pomocnicze, do których zgłaszali się polscy jeńcy wojenni, więźniowie uwolnieni z obozów koncentracyjnych oraz żołnierze Brygady Świętokrzyskiej, którzy przedostali się z Polski, przez Czechy, do Niemiec. Służyli w nich także tzw. dipisi, czyli osoby wywiezione w czasie II wojny światowej na roboty przymusowe na teren III Rzeszy. Początkowo Polacy należący do tych oddziałów nosili amerykańskie mundury z polskim godłem na furaczkach i polskie odznaki stopni wojskowych. W lipcu 1946 roku przefarbowano je na kolor granatowy, a oznaczenia stopni zastąpiono czerwonymi naszywkami. Oficerowie nosili je na naramiennikach, a podoficerowie na lewym ramieniu. Członkowie oddziałów wartowniczych nie mogli salutować, oddawanie honorów zastąpiono skłonem głowy. Zmiany te miały podkreślić cywilny charakter tej formacji i były odpowiedzią na protesty, jakie Rosjanie składali do amerykańskiego dowództwa. Moskwa uważała bowiem oddziały pomocnicze za załóżek nowej polskiej armii i domagała się ich rozwiązania.

Tymczasem służący w nich Polacy ochraniali obiekty wojskowe, magazyny i porty, a także pilnowali obozów i więzień, w których przebywali hitlerowscy zbrodniarze wojenni. Eskortowali ich na sale sądowe, m.in. przed trybunał w Norymberdze, i ochraniali amerykańskich oficerów. Pełnili też służbę w amerykańskim więzieniu w bawarskim Landsbergu, gdzie wyroki odsiadywali Niemcy skazani m.in. w procesach norymberskich. W latach pięćdziesiątych z jednostek typowo wartowniczych część kompanii przekształcała się w specjalistyczne oddziały techniczne: łączności, zadymiania, amunicyjne i transportowe. Działyły one do 1990 roku. Gdy skończyła się zimna wojna i zmieniła sytuacja polityczna, zredukowano liczbę wojsk amerykańskich w Europie i zlikwidowano oddziały pomocnicze.

Temat ten jest przedmiotem zainteresowania historyka dr. Łukasza Wolaka. Opisuje on na swoim blogu Uchodźcy-niemieccy.pl losy niektórych członków oddziałów wartowniczych w nadziei, że odezwą się do niego rodziny, które uzupełniłyby o nich informacje. „Często na taki kontakt czeka się nawet kilka lat. Bywa, że rodziny nie znają przeszłości swoich krewnych, z którymi utrzymywali luźne relacje”, podkreśla dr Wolak.

TAJEMNICA SŁUŻBY

Monika Mazanek-Wilczyńska zainteresowała się oddziałami wartowniczymi ponad 20 lat temu, m.in. z prywatnych powodów. „Jeżdżąc z kamerą po Niemczech, spotykałam ludzi, którzy podobnie jak mój ojciec zostali przymusowo wywiezieni na roboty do tego kraju w czasie II wojny światowej, a po zakończeniu walk służyli w oddziałach wartowniczych i technicznych przy armii amerykańskiej lub pracowali w polskich oddziałach przy armii brytyjskiej w Niemczech. W reportażach opowiadałam ich historie, wówczas w Polsce niemal całkowicie nieznane”, wspomina. Wiele osób nie chciało z nią rozmawiać. Płk Jerzy Tomaszewski, ostatni dowódca tych oddziałów w Niemczech, do dziś unika kontaktów z mediami. „Może amerykańskie dowództwo wymagało od nich zachowania w tajemnicy szczegółów służby”, dr Wolak zastanawia się nad przyczyną zbiorowego milczenia.

Innym powodem może być też to, że członkowie oddziałów wartowniczych z rezerwą przyjęli zakończenie zimnej wojny i przemiany ustrojowe nad Wisłą. „W 1989 roku Polska zyskała pewną niepodległość”, mówił kpt. Roman Maćko w filmie „Wierzyli, że wrócą...”. Zapewne dlatego poczet sztandarowy i inne pamiątki po jednym z oddziałów zamiast do Polski przekazano do Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. „Dowódcy poszczególnych kompanii część proporców trzymali w swoich mieszkaniach i po śmierci tych ludzi trafiały one na śmietnik”, opowiada Monika Mazanek-Wilczyńska. Dlatego zachowało się tak niewiele pamiątek po osobach służących w oddziałach pomocniczych. Jej po ojcu też zostało zaledwie kilka rzeczy: amerykańska zapalniczka, odznaka oddziałów wartowniczych i zdjęcia.

„Gdy w 1981 roku ojciec tragicznie zginął, miałam 13 lat. Z dzieciństwa pamiętam m.in. spacer koło wojskowych koszar. Zapytałam wtedy, czy służył w wojsku. Odpowiedział, że był kapralem w wojsku, ale amerykańskim, i nosił zielony берет. Uznałam wówczas, że to żart”, wspomina Monika Mazanek-Wilczyńska. Udało się jej jednak ustalić, że jej ojciec, Stanisław Mazanek, służył w kompanii wartowniczej w Sausheim we Francji, a później w kompanii amunicyjnej, która najpierw mieściła się w Bruchmühl- ➔

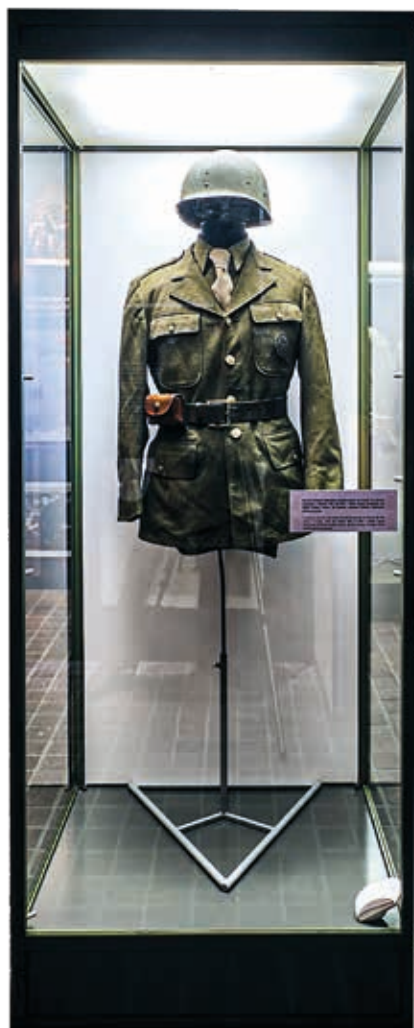
bach-Miesau, a później w Kaiserslautern. Do Polski wrócił po 1956 roku. Nie chciał opowiadać o swojej służbie w Niemczech.

NIE DAJ SIĘ ZŁAPAĆ

Oszczędnym w opowiadaniu o latach spędzonych w oddziałach wartowniczych był także Andrzej Dalkowski, który służył w jednostkach pomocniczych od 1953 do 1990 roku. W latach okupacji działał w konspiracyjnym harcerstwie w Toruniu. Ilekroć wychodził na akcję, matka żegnała go słowami: „Nie daj się złapać”. Miał je w pamięci, kiedy po wojnie zaangażował się w działalność niepodległościowego podziemia. Aby nie wpaść w ręce funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, pod koniec 1950 roku zdecydował się na ucieczkę za granicę. Uplecioną z sitowia tratwą przepłynął Odrę, potem dotarł pieszo do amerykańskiej części Berlina. Po przeszkoleniu w ośrodku szkoleniowo-treningowym wywiadu USA – Camp King w Oberursel w zachodnich Niemczech – zaangażował się w tworzenie siatki wywiadowczej na terenie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. „Andrzej Dalkowski niechętnie opowiadał o swoich misjach. Nie chciał podejmować tego tematu, zasłaniając się niepamięcią. Było to dla mnie zrozumiałe zachowanie. Miałem jednak nadzieję, że kiedyś zdecyduje się na uchylenie rąbka tajemnicy. Niestety, nigdy do tego nie doszło”, mówi dr Wolak.

W 1953 roku Andrzej Dalkowski rozpoczął służbę w polskich oddziałach przy armii amerykańskiej w Mannheim. W 1963 roku, już w stopniu sierżanta, objął stanowisko szefa kancelarii Kompanii Wartowniczej LS Signal w Monachium. W 1990 roku przeszedł na emeryturę. Był jednym z ostatnich Polaków, którzy pracowali w tej formacji niemal od początku. „Starałem się udowodnić, że polski podoficer jest równy amerykańskiemu”, mówi w filmie „Wierzyli, że wrócą...”.

Kiedy Andrzej Dalkowski wyemigrował do Niemiec, w kraju zostawił ciężarną żonę. „Tata był tematem tabu, mama nie chciała o nim rozmawiać”, wspomina dziś jego córka Maria Hinz, która po śmierci matki postanowiła odnaleźć ojca. Po wielu miesiącach poszukiwania zakończyły się



Historie takich osób jak Andrzej Dalkowski czy Stanisław Mazanek były inspiracją do przygotowania wystawy „Stój, bo strzelam! Polskie kompanie wartownicze w Niemczech 1945–1989” w Muzeum Armii Krajowej w Krakowie.

sukcesem. „Odzyskałam ojca”, mówi kobieta. Nie dowiedziała się jednak, czym zajmował się przez minionych kilkadziesiąt lat. „Rozmawialiśmy o mamie, a także o tym, jak wyjechał z Polski, ale nie chciał mówić o swoim życiu w Niemczech”, opowiada.

STÓJ, BO STRZELAM

Historie takich osób jak Andrzej Dalkowski czy Stanisław Mazanek były inspiracją do przygotowania wystawy „Stój, bo strzelam! Polskie kompanie wartownicze w Niemczech 1945–1989” w Muzeum Armii Krajowej w Krakowie. Można na niej obejrzeć pamiątki po Polakach służących w oddziałach wartowniczych, m.in. mundury, odznaki, naszywki poszczególnych kompanii, dokumenty, fotografie, egzemplarze prasy emigracyjnej, a także przedmioty codziennego użytku. Większość eksponatów wypożyczył Mateusz Palka, kolekcjoner i antykwarek współpracujący z muzeum. Przekazał m.in. kilka proporców kompanii wartowniczych. Jak tłumaczy, rangą odpowiadają one pułkowym sztandarom, bo kompanie były organizowane na wzór amerykański, a w armii USA używano proporców.

„Na niektórych mundurach są naszywki z numerami lub inicjałami. Dwie pary butów mają wewnątrz namalowane nazwiska i numery służbowe. Nic więcej nie wiemy o tych ludziach, bo nie zachowały się żadne spisy osobowe wartowników”, mówi Mateusz Palka. Większość zbiorów dotyczących kompanii wartowniczych antykwarek kupił za granicą od kolekcjonerów lub na aukcjach i giełdach. Kilka eksponatów nabył od dalekiej rodziny jednego z członków tej formacji, ale nikt już nie potrafił powiedzieć nic bliższego o ich właścicielu. „Ci, którzy wrócili do Polski, czasem nielegalnie, nie chwalili się służbą w kompaniach wartowniczych”, stwierdza antykwarek.

Isabella Cisek oraz Mateusz Gawlik z Muzeum Armii Krajowej mówią, że wystawa przybliży tematykę ciągle mało w Polsce znaną. Dzieje polskich oddziałów wartowniczych to historie głównie anonimowych osób. Wiele z nich to zapomniani dziś bohaterowie.

ANNA DĄBROWSKA

Monument Marszałka

Związek Piłsudczyków Radom postanowił zrekonstruować przedwojenny obelisk Józefa Piłsudskiego upamiętniający budowę kolei Radom – Warszawa.

Kolej dziś rozpoczęta będzie miała przeogromne znaczenie dla miasta naszego [...], a przede wszystkim dla państwa całego, dla jego bezpieczeństwa i obrony. Niech zapoczątkowane i poświęcone dziś dzieło stanie się imieninowym upominkiem, złożonym w dniu imienin Temu, który dzień i noc czuwa nad potęgą i wielkością naszej Ojczyzny!", mówił ksiądz Dominik Ścisłała podczas inauguracji budowy linii kolejowej łączącej bezpośrednio Radom z Warszawą, której nadano imię Józefa Piłsudskiego. Dzięki niej trasa między tymi miastami skróciła się o 58 km. W uroczystym otwarciu 25 listopada 1934 roku wzięli udział prezydent Ignacy Mościcki, a także przedstawiciele rządu i wojska.

BAZALTOWY OBELISK

W dniu inauguracji budowy nowej trasy kolejowej w pobliżu torów odsłonięto upamiętniający to wydarzenie pomnik wzniesiony przez Ministerstwo Komunikacji. W Narodowym Archiwum Cyfrowym zachowała się fotografia przedstawiająca moment odsłonięcia monumentu. Tworzyły go trzy ustawione na sobie różnej wielkości i kształtu bloki bazaltowe. Na środkowym z nich wykuto napis: „W dniu imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego 19 marca 1933 roku w tym miejscu rozpoczęto budowę kolei Radom – Warszawa”. Pomnik miał około 2,5 m wysokości, a materiał na niego sprowadzono z kamieniołomu w Janowej Dolinie na Wołyniu.

Monument przetrwał wojnę, zniszczyli go dopiero na początku lat pięćdziesiątych XX wieku komuniści. Jak się okazało, nie całkowicie. Członkowie Związku Piłsudczyków Radom od kilku lat szukali pozostałości obelisku, ale w złym miejscu. „Po-

mogła nam fotografia, którą przyniosła jedna z mieszkanek Radomia”, mówi Dariusz Sońta, prezes Związku Piłsudczyków Radom. Na zdjęciu z 1949 roku widać Stanisławę Opałkę z domu Popławską, która stoi obok pomnika. „Dzięki temu ustaliliśmy, że monument stał w rozwidleniu, gdzie nowo budowana linia oddzielała się od starego toru do Dębina”, tłumaczy członkowie związku.

POMNIK OD NOWA

W 2018 roku odkryli w tym miejscu dwa bloki bazaltowe częściowo zakopane w ziemi i ukryte w trawie oraz resztki fundamentów pomnika. „Trzeciego elementu z inskrypcją nie odnaleźliśmy, został zapewne zniszczony przez komunistów”, dodaje Sońta. Odnalezione fragmenty monumentu zostały w marcu 2021 roku zabezpieczone i przeniesione w okolice bocznego peronu dworca. Teraz związek chce odtworzyć trzeci element pomnika i zrekonstruować cały obelisk. Miałby zostać odsłonięty w przyszłym roku, na zakończenie trwającej właśnie modernizacji linii kolejowej im. Piłsudskiego.

W lutym powołano w tym celu Społeczny Komitet Rekonstrukcji Pomnika Linii Kolejowej Radom – Warszawa im. Józefa Piłsudskiego w Radomiu. „Poszukujemy dokumentów związanych z budową pomnika i jego projektu, trwają też zabiegi i starania o potrzebne zgody i zezwolenia”, mówi prezes związku. Jak dodaje, obelisk nie wróci na miejsce, w którym był przed wojną. „Chcielibyśmy, aby stanął bliżej miasta, w punkcie bardziej eksponowanym”, wyjaśnia Sońta.

Jedną z proponowanych przez nich lokalizacji jest teren obok planowanej nowej stacji Radom Wschodni, która powstanie w ramach modernizacji linii kolejowej. ■

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



PEŁZANIE, MŁODY

Eksplodzie przeżyło 23 marynarzy. Schronili się w ostatnim – dziewiątym rufowym przedziale okrętu. Na zdjęciu Matthias Schoenaerts grający jednego z członków załogi.

PIOTR KORCZYŃSKI

„Jest zbyt ciemno, ale próbuję pisać po omacku. Chyba nie ma szans, 10–20%. [...] Pozdrowienia dla wszystkich, nie trzeba rozpaczać”, pisał kpt. Dmitrij Kolesnikow, jeden z oficerów atomowego okrętu podwodnego „Kursk”.

Kiedy Władimir Putin w marcu 2000 roku został prezydentem Federacji Rosyjskiej, złożył jej obywatelom przede wszystkim dwie obietnice: poprawi ich byt materialny oraz sprawi, że znowu poczują się dumni ze swego kraju. Wiele komentatorów politycznych odczytało to jako zapowiedź powrotu do imperialnej polityki carskiej Rosji i Związku Sowieckiego. Mieli rację. Podporę zarówno imperium carów, jak i genseków stanowiła armia, a ta w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, w dobie znienawidzonych przez Rosjan rządów Borysa Jelcyna, była w kryzysie.

Prezydent energicznie zabrał się do odbudowy jej prestiżu, nie bacząc na nic. Pierwszą oznaką powrotu armii rosyjskiej do globalnej gry miały być wielkie manewry morskie, które Putin zarządził w sierpniu 2000 roku na Morzu Barentsa. Miały w nich wziąć udział m.in. dwa okręty, które stanowiły dumę Floty Północnej – krążownik rakietowy „Piotr Wielki” i atomowy okręt podwodny K-141 „Kursk”. Wszyscy pamiętamy tragiczny finał... W czasie ćwiczeb-

nego odpalania torped doszło do eksplozji jednej z nich i podwodna duma Floty Północnej poszła na dno, stając się sarkofagiem dla 118 członków załogi, ale nie dla wszystkich od razu...

BEZ HAPPY ENDU

Kpt. Dmitrij Kolesnikow był jednym z 23 marynarzy, którzy przeżyli eksplozję i schronili się w ostatnim – dziewiątym rufowym przedziale okrętu. Niestety, nie doczekali się ratunku. Prawdopodobnie wszyscy zmarli po czterech dniach przebywania w ciemnościach i z coraz mniejszą ilością tlenu. Zginęli z tego samego powodu, co ich towarzysze – nieudolności, zaniedbań rządzących, a przede wszystkim stawiania interesów imperium ponad ludzkie życie.

Nagle, w nowym tysiącleciu okazało się, że zimna wojna trwa nadal. Rosyjscy admirałowie wespół z włodarzami Kremla odrzucali propozycje pomocy płynące z Wielkiej Brytanii, Norwegii i Stanów Zjednoczonych w obawie, że zachodnie marynarki poznają tajemnice ich broni. Akcja ra-

POTWIERDZA SIĘ ZASADA, ŻE PODOBNI JAK W WYPADKU ADAPTACJI ARCYDZIEŁ LITERATURY ROSYJSKIEJ, **NAJLEPIEJ O SWEJ TRUDNEJ HISTORII POTRAFIĄ OPOWIA- DĄĆ SAMI ROSJANIE**

tunkowa prowadzona na własną rękę do końca obnażyła kryzys rosyjskiej floty. Kiedy wreszcie Rosjanie zgodzili się na dopuszczenie norweskich nurków i brytyjskich marynarzy do akcji ratunkowej, było już za późno... Jednocześnie przez cały czas mamiono rodziny marynarzy „Kurska”, że na tak nowoczesnym okręcie nic złego nie mogło się im stać.

Już wtedy było wiadomo, że Władimir Putin oraz jego administracja niewiele różnią się od swych poprzedników, jeśli chodzi o styl władzy.

Katastrofa „Kurska” odbiła się szerokim echem w świecie i stała się tematem dla sztuki. Wszak bohaterstwo i śmierć 23 podwodniaków to gotowy temat na wielki filmowy dramat. Wyreżyserował go w 2018 roku Duńczyk Thomas Vinterberg. „Kursk” jest belgijsko-francusko-luksemburską koprodukcją, a jego producentem został Luc Besson. I to jest kluczowa postać dla tego dzieła, gdyż największy „hollywoodzki” twórca kina francuskiego narzucił Vinterbergowi, znanemu dotychczas z kameralnych dramatów i filmów spod znaku Dogmy, realizację obrazu pełnego rozmachu i efektów specjalnych.

ROSYJSKA DUSZA

Potwierdziła się jednak zasada, że podobnie jak w wypadku adaptacji arcydzieł literatury rosyjskiej, najlepiej o swej trudnej historii potrafią opowiadać sami Rosjanie. W 2004 roku na ekrany kin trafiły „72 metry” Władimira Chotiniienki. W filmie okręt podwodny, który dostaje rozkaz wypłynięcia na manewry na Morze Barentsa, nazywa się „Słowianka” i nie jest najpotężniejszą jednostką Floty Północnej (wręcz przeciwnie), ale dla wszystkich widzów jasne było, że produkcja opowiada o załodze „Kurska”.

Chotiniencie udało się przy tym coś, co można porównać do stylu Antona Czechowa – w historii, która nieuchronnie

prowadzi do tragedii, zawarł i liryzm, i humor, i absurdy rosyjskiej codzienności. W finałowej scenie, kiedy marynarze, którzy przeżyli eksplozję, gromadzą się w ostatnim całym przedziale okrętu, by ukoić nerwy, nie wygłaszają patetycznych kwestii o miłości do ojczyzny i spełnionym wobec niej obowiązku, lecz opowiadają sobie dowcipy, a wszystkich w tym przebija kpt. ppor. Piotr Orłow (Marat Baszarow) opowieścią o krowie, która przysporzyła mu kłopotu, gdy razem ze swymi ludźmi pracował w kołchozie. Zaraz, zaraz – jakim cudem elita Floty Północnej znalazła się w kołchozie? Ano w kryzysie takie „manewry” zaliczali podwodniacy. Zamiast ćwiczyć i utrzymywać w porządku coraz bardziej rdzewiejące w bazach „żelazka”, jak nazywali swe okręty, zbierali ziemniaki, by przeżyć.

Robili też rzeczy znacznie gorsze, co okazało się po katastrofie „Słowianki”. Wyposażona była ona standardowo w aparaty tlenowe, dzięki którym marynarze mogli ewakuować się na powierzchnię. Teraz, by się uratować, musieli przepłynąć tytułowe 72 m. Okazało się jednak, że sprzęt jest niesprawny, bo bsm. Krauz (Sergiej Garmasch) sprzedał części z nich, by zdobyć pieniądze na ślub córki. O dziwo, marynarze nie linczuje nieuczciwego bosmana, nawet nie mają do niego zbyt pretensji. Rozumieją, jakim dyshonorem było dla niego to, że on – oficer Floty Północnej – nie mógł nie tylko dać córce posagu, ale nawet zorganizować jej porządnego wesela.

Na początku filmu kapitan „Słowianki”, legenda wśród podwodniaków, Giennadij Janczar (Andriej Kraško) tłumaczy młodemu marynarzowi, który dopiero co rozpoczął służbę na okręcie podwodnym, co w niej jest najważniejsze: „Pełzanie, młody. Pełzanie – ono znaczy wszystko!”. To tajemnicze zdanie po obejrzeniu „72 metrów” na długo pozostaje w głowie. ■





ANDRZEJ FĄFARA

Zapadła kurtyna



Mury, zanim runą, muszą najpierw urosnąć. 60 lat temu zaczęto budować mur berliński. Z punktu widzenia mieszkańców miasta – w pośpiechu i potajemnie. Władze wschodnich Niemiec planowały oczywiście tę akcję od dawna. Sytuacja zachodniej części Berlina stała się bowiem po wojnie kuriozalna. Ogromny kawałek miasta był kapitalistyczną wyspą na terytorium Niemieckiej Republiki Demokratycznej, czyli wrzodem na zdrowej tkance enerdowskiej społeczności. Przywódcy państwa, a ściślej mówiąc pierwszy sekretarz Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec Walter Ulbricht, musieli coś z tym faktem zrobić. Nie mogli Berlina Zachodniego zniszczyć ani zaanektować, więc wymyślili operację „Róża”.

Ładna nazwa, trzeba przyznać. I wcale nie taka bezsensowna, jak mogłoby się w pierwszym momencie wydawać. Tysiące enerdowskich funkcjonariuszy otoczyło najpierw Berlin Zachodni drutem kolczastym. Zrobili to w nocy z 12 na 13 sierpnia 1961 roku. Jednocześnie zaczęli budować zaczątki muru. Z biegiem czasu konstrukcję wzmacniano i udoskonalano. Powstawały systemy alarmowe i wieżyczki strażnicze. Tak jak w więzieniach. W tym miejscu należy koniecznie wyjaśnić, że terenem więziennym wcale nie był Berlin Zachodni. Był nim państwo o powierzchni ponad 100 tys. km², położone wokół miasta.

Powstanie muru dało początek historii licznych ucieczek. Desperaci, którzy nie chcieli żyć w kraju powszechnej szczęśliwości, robili podkopy, próbowali się przedostać na wolność zamkniętymi tunelami metra albo nawet rurami kanalizacyjnymi. Byli tacy, którzy usiłowali przepłynąć graniczną rzekę Sprewę. Mało komu się to udało. Niepowodzenie oznaczało śmierć, gdyż strażnicy z całą bezwzględnością strzelali do uciekinierów, albo – w najlepszym przypadku – długie lata ciężkiego więzienia.

Mur berliński szybko stał się głównym symbolem podziału Europy na dwa światy. Był – dosłownie i w przenośni – tą żelazną kurtyną, o której mówili ówcześni politycy i pisali publicyści. Trwał przez 28 lat. Miałem to szczęście, że w listopadzie 1989 roku byłem w Berlinie. Tym wschodnim, będącym stolicą NRD. Mieszkańcy miasta oczekiwali na wielkie wydarzenie. W pobliżu Bramy Brandenburskiej, gdzie przebiegał mur, dzień i noc dyżurowali wysłannicy stacji telewizyjnych z całego świata.

Samego zburzenia muru niestety nie widziałem. Dwa dni przed tym historycznym wydarzeniem musiałem wracać do Warszawy. Ale to już temat na inną opowieść...



Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

URLOPY NA ROZKAZ

Dwa lata temu dowódca kompanii podjął decyzję, zgodnie z którą urlopy dla wszystkich żołnierzy kompanii muszą być planowane i wykorzystane w całości w dwóch wyznaczonych przez niego terminach (50% w lipcu i 50% w sierpniu). Sprawa jest sporna, bo przecież nie wszyscy chcą wypoczywać latem. Rozmowy starszych podoficerów z dowódcą w sprawie zmiany decyzji nie przyniosły rezultatów. Czy dowódca ma prawo narzucić podwładnym wykorzystanie 26 dni urlopu wypoczynkowego w wyznaczonym terminie? Jak ma się do tego art. 162 działu VII kodeksu pracy?

→ Zgodnie z ustawą o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (art. 61) żołnierze zawodowi otrzymują corocznie urlop wypoczynkowy w wymiarze 26 dni roboczych. Szczegółowe warunki i tryb udzielania urlopów wypoczynkowych zostały określone przez ministra obrony narodowej w rozporządzeniu z 8 października 2020 roku w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych. Zgodnie z § 5 plan urlopów, w tym wypoczynkowych, w jednostce wojskowej sporządza się do 10 grudnia każdego roku kalendarzowego na rok przyszły. Bierze się przy tym pod uwagę wnioski żołnierzy zawodowych, składane do 30 listopada, oraz konieczność zapewnienia normalnego toku służby w jednostce wojskowej. Plan urlopów jest zatwierdzany przez dowódcę jednostki przed koń-

cem roku kalendarzowego. Zatem na kształt terminów urlopów wpływ mają trzy czynniki: wniosek żołnierzy zawodowych, zapewnienie normalnego toku służby w jednostce oraz decyzja dowódcy.

Sposób odgórznego ustalania terminów urlopów w przykładowej jednostce wydaje się sprzeczny z zasadami logiki oraz z celem zapewnienia normalnego toku służby. Narzucenie zbliżonych terminów urlopów wszystkim żołnierzom może skutkować opóźnieniem pracy jednostki i jej dezorganizacją, czego można uniknąć, biorąc pod uwagę wnioski żołnierzy dotyczące preferowanych terminów urlopów i rozłożenia ich równomiernie na cały rok kalendarzowy. Stosowane w tej jednostce rozwiązanie, które nakazuje wykorzystywać urlop w lipcu i sierpniu, byłoby akceptowalne tylko wtedy, gdyby zostało podparte ważnym interesem jednostki. W przypadku braku konsensusu między żołnierzem a jego przełożonym w sprawie terminu urlopu żołnierz, na podstawie art. 8 ust. 3 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych, może złożyć skargę drogą służbową. Ponadto warto zwrócić uwagę, że decyzja nr 171/MON ministra obrony narodowej z 14 grudnia 2018 roku w sprawie organizacji w resorcie obrony narodowej systemu skargowo-wnioskowego reguluje sposób organizacji tego systemu, w tym przyjmowania, ewidencjonowania, rozpatrywania oraz załatwiania skarg →

i wniosków, o których mowa w przepisach działu VIII ustawy z 14 czerwca 1960 roku „Kodeks postępowania administracyjnego”. Tym samym, na podstawie art. 227 k.p.a. żołnierz może wnieść swoją skargę bezpośrednio do ministra obrony narodowej, jeżeli w postępowaniu dowódcy doszukuje się naruszeń prawa, zaniedbania bądź nienależytego wykonywania obowiązków, nierównego traktowania podwładnych czy mobbingu.

Co do art. 162 kodeksu pracy, nie znajduje on zastosowania, ponieważ w ustawie o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz rozporządzeniu w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych brak jest odesłania do kodeksu pracy. Tym samym, choć w zakresie urlopów wypoczynkowych żołnierzy zawodowych nie stosuje się przepisów kodeksu pracy, zauważyć należy, że zostało tam zawarte podobne rozwiązanie – sporządzanie planu urlopów w zakładzie pracy następuje z uwzględnieniem wniosków pracowników oraz konieczności zapewnienia normalnego toku pracy. Warunki te są równoznaczne, co oznacza, że wniosku pracownika nie uwzględnia się, jeżeli jego spełnienie zaburzałoby normalny tok pracy, a więc wnioskować można, iż w przypadku, w którym taka sytuacja nie występuje, wnioski pracowników są uwzględniane.

Podsumowując, proces ustalania terminów urlopów sprowadza się do konsensusu pomiędzy żołnierzem a dowódcą. Przy jego braku powinni oni dalej współpracować w celu uzyskania satysfakcjonującego obie strony rozwiązania. Należy pamiętać o przysługującej dowódcy na gruncie art. 63 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych możliwości odwołania żołnierza zawodowego z urlopu wypoczynkowego bądź wstrzymania udzielenia takiego urlopu z ważnych względów służbowych, z uwzględnieniem zwrotu spowodowanych przez to kosztów. Odgórne narzucenie terminów urlopów jest niezgodne z prawem. ■

ALICJA MAJ

Kancelaria Radców Prawnych s.c.

K. Przymęcka & J.P. Przymięcki

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU z 2021 roku, poz. 1131) – art. 8 ust. 3, art. 61 ust. 1, art. 64, art. 63; rozporządzenie ministra obrony narodowej z 8 października 2020 roku w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych (DzU z 2020 roku, poz. 1755) – § 5 ust. 1, ust. 2, ust. 3; ustawa z 14 czerwca 1960 roku „Kodeks postępowania administracyjnego” (tekst jednolity DzU z 2021 roku, poz. 735 ze zm.) – art. 227.

PROBLEM Z AWANSEM

Nawiązując do porady prawnej udzielonej w „Polsce Zbrojnej” (PZ 2/2021) na temat zasad awansowania, chciałbym dookreślić swoje pytanie, aby uzyskać rzeczową odpowiedź. Otóż w 2015 roku odszedłem na emeryturę w stopniu starszego kaprała (awans na ten stopień otrzymałem w 2011 roku). Przyczyną niezdobycia kolejnej belki była ocena dobra z opiniowania. Po czterech latach służby w stopniu starszego kaprała znalazłem się poza strukturą RON-u. W 2018 roku ponownie włożyłem mundur. Po pierwszym roku służby od przełożonego (oficer starszy) otrzymałem z opiniowania rocznego ocenę wzorową. Moja interpretacja

ustawy była następująca: cztery lata w stopniu i na stanowisku przed emeryturą, plus rok po powrocie. Dało to w sumie pięć lat. Uzyskując ocenę wzorową w ostatnim opiniowaniu, w moim odczuciu w całości wypełniłem warunki konieczne do awansu. Kadrowiec w mojej brygadzie uznał inaczej i orzekł, że moja wysługa w stopniu i na stanowisku po powrocie z emerytury liczy się od nowa. Kto zatem ma rację?

→ **Kwestię zmiany zaszerzegowania podoficera zawodowego do kolejnego wyższego stopnia wojskowego reguluje ustawa o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych.** Są w niej wskazane

Podstawa prawna: ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU z 2021 roku, poz. 1131) – art. 41 ust. 2.

szczególne warunki, od których zależy możliwość awansowania podoficera zawodowego.

Zaszeregowanie podoficera zawodowego do kolejnego wyższego stopnia wojskowego może nastąpić po upływie co najmniej trzech lat zajmowania stanowiska w posiadanym stopniu wojskowym oraz uzyskaniu ogólnej oceny co najmniej bardzo dobrej w ostatniej opinii służbowej. Jednocześnie w dalszej części przepisu wprowadzono możliwość skrócenia okresu służby na stanowisku służbowym w posiadanym stopniu wojskowym do minimum dwóch lat, jeżeli przemawiają za tym potrzeby sił zbrojnych. Zasadą jest wymóg zajmowania stanowiska w posiadanym stopniu wojskowym przez co najmniej trzy lata. Treść art. 41 ust. 2 zawiera sformułowanie, że zmiana zaszeregowania podoficera zawodowego do kolejnego wyższego stopnia wojskowego może nastąpić po spełnieniu określonych w przepisie przesłanek.

Należy mieć na względzie, że przytoczony przepis prawa wskazuje na konieczność spełnienia przez podoficera zawodowego ubiegającego się o zmianę zaszeregowania do kolejnego wyższego stopnia wojskowego łącznego kryterium zajmowania stanowiska w posiadanym stopniu wojskowym w ramach aktualnego stosunku służbowego, liczonego po ostatnim (aktualnym) powołaniu do służby wojskowej.

Reasumując, w opisanym przypadku służba odbyta przed odejściem na emeryturę na stanowisku i w posiadanym stopniu nie ma znaczenia z punktu widzenia wymogów wskazanych w treści art. 41 ust. 2 ustawy pragmatycznej. ■

PATRYCJA FRYDRYCH

Kancelaria Radców Prawnych s.c.

K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

PRZYWILEJE KRWIODAWCY

Od roku jestem żołnierzem zawodowym, od 13 lat oddaję honorowo krew. Koledzy z jednostki wspomnieli mi, że dni wolne – uzyskane z tytułu krwiodawstwa – nie wliczają się do emerytury. Nie znalazłem jednak żadnych przepisów związanych z tą kwestią. Proszę o wyjaśnienie.

➔ Zgodnie z art. 60b ust. 1 pkt 2 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych zwolnienie lekarskie żołnierza obejmuje okres, w którym żołnierz zawodowy jest zwolniony od zajęć służbowych z powodu oddawania krwi lub jej składników w jednostkach organizacyjnych publicznej służby krwi lub z powodu okresowego badania lekarskiego dawców krwi. Przy tym stosownie do treści art. 89a ust. 3 pkt 6 ustawy pragmatycznej, jeżeli zwolnienie lekarskie obejmuje okres, w którym żołnierz zawodowy jest zwolniony od zajęć służbowych z powodu oddania krwi lub jej skład-

ników w jednostkach organizacyjnych publicznej służby krwi lub z powodu badania lekarskiego dawców krwi – **zachowuje on prawo do 100% uposażenia.** Zgodnie z art. 60c pkt 2 wojskowej ustawy pragmatycznej okres przebywania na zwolnieniu lekarskim stwierdza zaświadczenie jednostki organizacyjnej publicznej służby krwi. Jednocześnie podkreślić trzeba, że w krajowym porządku prawnym brak jest przepisów, które wyłączałyby okres zwolnień od zajęć służbowych z tytułu oddawania krwi ze stażu służby uzasadniającego nabycie prawa do emerytury przez żołnierza zawodowego. Nie ma również przepisów, które nakazywałyby żołnierzom zawodowym odpracowywanie dni wolnych przeznaczonych na oddanie krwi. ■

Aneta Klimowicz

Kancelaria Radców Prawnych s.c.

K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

Podstawa prawna: ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (tekst jednolity DzU z 2021 roku, poz. 1131) – art. 60b ust. 1 pkt 2, art. 60c pkt 2, art. 89a ust. 3 pkt 6.

SPRAWY ŻOŁNIERZY

Odwołany egzamin

Tegoroczny sprawdzian z wychowania fizycznego dla ponad 100 tys. żołnierzy zawodowych nie będzie.

Pierwotny plan zakładał, że tegoroczny sprawdzian żołnierzy zawodowych się odbędzie. W przygotowanym w kwietniu rozporządzeniu MON-u pojawił się jednak zapis, który umożliwił ministrowi obrony narodowej zwolnienie żołnierzy z testów sprawnościowych, jeśli ich przeprowadzenie nie będzie możliwe (wcześniej żołnierz mógł zostać zwolniony z testu w przypadku L4 lub z powodów służbowych). W związku z ograniczeniami, nakazami i zakazami wynikającymi z wystąpienia stanu epidemii w Pol-

sce, szef MON-u skorzystał z takiej możliwości. W dokumentach ewidencyjnych żołnierze w miejscu oceny z WF-u będą mieli wpisaną adnotację „zwolniony decyzją ministra obrony narodowej”.

Podobną decyzję szef MON-u podjął w ubiegłym roku. Także wtedy przyczyną była sytuacja epidemiczna i wprowadzone przez rząd ograniczenia, w tym także te związane z brakiem możliwości korzystania z obiektów sportowych. PG/PZ

WYŻSZE ODPRAWY MIESZKANIOWE

Tylko w pierwszym półroczu tego roku Agencja Mienia Wojskowego wypłaciła 857 odpraw mieszkaniowych na łączną kwotę 216 657 tys. zł.

Odprawa mieszkaniowa przysługuje żołnierzom odchodzącym z wojska, np. tym, którzy nie wykupili wojskowego mieszkania, zamieszkują kwaterę (lokal na wyłączne zakwaterowanie żołnierzy) lub nie otrzymali decyzji o przydziale lokalu mieszkalnego Agencji.

Przy obliczaniu wysokości odprawy bierze się pod uwagę kilka czynników. To m.in. liczba członków rodziny żołnierza (tzw. normy mieszkaniowe), wysługa oraz cena metra kwadratowego powierzchni użytkowej budynku ustalana przez GUS na podstawie danych z kwartału poprzedzającego zwolnienie żołnierza z zawodowej służby

wojskowej. O ile w pierwszym kwartale ubiegłego roku ten ostatni wskaźnik wyniósł 4567 zł, o tyle w tym, w związku ze wzrostem cen na rynku

W TYM ROKU NA WYPŁATĘ ODPRAW MIESZKANIOWYCH ZAPLANOWANO ŚRODKI W WYSOKOŚCI 380 839 TYS. ZŁ DLA 1544 ŚWIADCZENIOBIORCÓW

mieszkaniowym, kształtował się na poziomie 4944 zł.

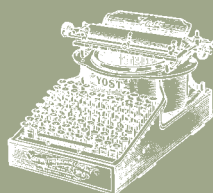
Efektom tego były też wyższe odprawy mieszkaniowe. W pierwszym półroczu 2021 roku Agencja Mienia Wojskowego wypłaciła ich 857 – na łączną kwotę 216 657 tys. zł. Na jedno świadczenie przypadło średnio 252,8 tys. zł. (rok temu przeciętna wysokość tej odprawy była o prawie 25 tys. niższa). Najwięcej odpraw wypłaciły oddziały regionalne w Warszawie (132), Krakowie (112) i Gdyni (107).

W tym roku na wypłatę odpraw mieszkaniowych zaplanowano środki w wysokości 380 839 tys. zł dla 1544 świadczeniobiorców. PG



JEDNODNIÓWKI HISTORYCZNE

stylizowana seria edukacyjna



Polska Zbrojna / okolicznościowe wydanie gazetowe / Format A3

Partnerem serii jest

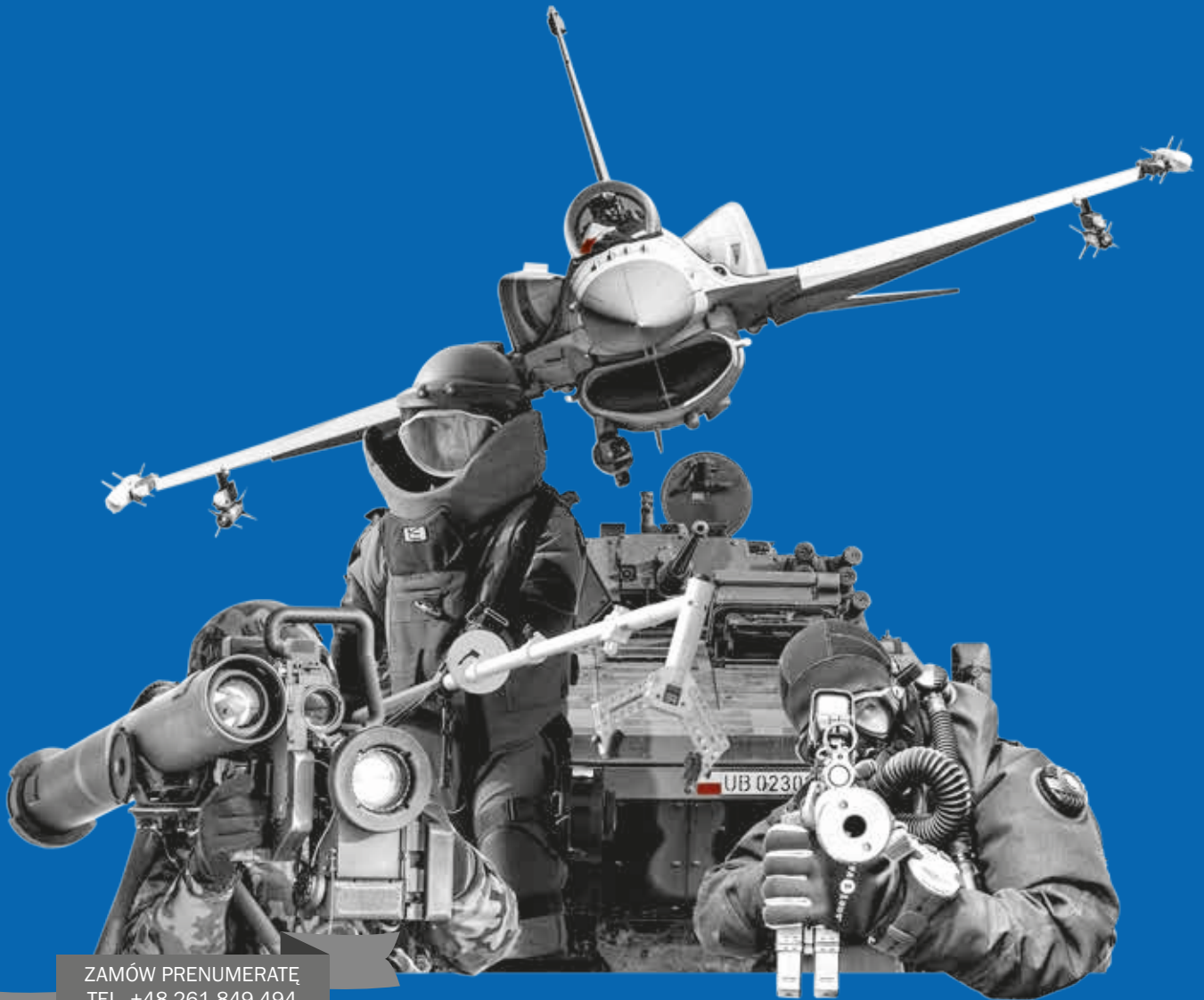


INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

POLSKA-ZBROJNA.PL

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 849 494

| WOJSKO |
| POLSKIE |

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy

SPOKÓJ NIEŚMIERTELNIKA

**Żołnierzom i ludziom związanym z wojskiem
udostępniamy łamy „Polski Zbrojnej”, aby zachować
pamięć o tych, którzy odeszli.**

**Panu płk. Robertowi Antczakowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy głębokiego współczucia, szczerę kondolencje
i słowa wsparcia w trudnych chwilach po śmierci

ukochanej Mamy

składają komendant główny, żołnierze i pracownicy
Żandarmerii Wojskowej.

Panu ppłk. Włodzimierzowi Bugno

wyrazy szczerę żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy z Szefostwa Finansów
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Pani mł. chor. Barbarze Urbańskiej

szczerę kondolencje i wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają komendant, żołnierze i pracownicy
18 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wejherowie.

Panu ppłk. Tomaszowi Sobeckiemu

wyrazy współczucia oraz słowa wsparcia w trudnym
czasie po śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy Centrum Wsparcia
Systemów Dowodzenia Sił Zbrojnych.

„Nie umiera ten, kto trwa w pamięci żywych...”.

Pani st. szer. Ewie Kordiak

wyrazy współczucia, szczerę kondolencje i słowa
wsparcia w trudnych chwilach z powodu śmierci

Męża,

st. szer. Krzysztofa Kordiak

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
34 Batalionu Lekkiej Piechoty w Jarosławiu.

**Pani ppłk Ewelinie Grzywacz
Jej Rodzinie i Bliskim**

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Brata

składają dyrektor, żołnierze oraz pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

Panu płk. Krzysztofowi Goncerzowi

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej.

Wyrazy szczerę współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

szer. Michała Bundry

Rodzinie i Najbliższym

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
34 Batalionu Lekkiej Piechoty w Jarosławiu.

Panu st. szer. Zenonowi Malek
 wyrazy głębokiego współczucia
 oraz szczere kondolencje z powodu śmierci
Matki
 składają dowódca, żołnierze i pracownicy RON
 Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Plut. Jackowi Falarzowi
 wyrazy żalu i szczerego współczucia
 z powodu śmierci
Mamy
 składają dowódca, żołnierze i pracownicy
 9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

**Pani ppłk Elżbiecie Aloksa-Chorzemskiej
 oraz Jej Najbliższym**
 wyrazy głębokiego współczucia i szczere kondolencje
 z powodu śmierci
Mamy
 składają rektor-komendant oraz cała społeczność
 Akademii Sztuki Wojennej.

**Pani mgr Katarzynie Obrębskiej,
 a także jej Rodzinie i Najbliższym,**
 wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
 oraz wsparcia z powodu śmierci
Ojca
 składają koleżanki i koledzy
 z Oddziału Kształcenia Zawodowego Inspektoratu
 Szkolenia Dowództwa Generalnego Rodzajów
 Sił Zbrojnych.

**Pani Agnieszce Chlewickiej
 oraz Jej Najbliższym**
 wyrazy głębokiego współczucia, kondolencje
 oraz słowa wsparcia i otuchy z powodu śmierci
Mamy
 składają szef, żołnierze i pracownicy
 Oddziału Wykorzystania Doświadczeń
 I Sekretariatu Komisji ds. Działalności
 Racjonalizatorskiej DGRSZ.

Odszedł na wieczną wartę...
 Z żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
**ppłk. Marka Potorskiego.
 Rodzinie i Bliskim**
 wyrazy szczerego współczucia składają
 dowódca, żołnierze i pracownicy
 9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Panu ppłk. Arkadiuszowi Siwakowi
 wyrazy szczerego współczucia i żalu
 w trudnych chwilach po śmierci
Matki
 składają szef sztabu, żołnierze
 i pracownicy resortu obrony narodowej
 Sztabu 2 Regionalnej Bazy Logistycznej.

Markowi Borejko,
 dyrektorowi Biura Projektów Obrony Przeciwlotniczej
 i Przeciwrakietowej,
 wyrazy głębokiego współczucia i żalu
 z powodu śmierci
Mamy
 składają zarząd i pracownicy
 Polskiej Grupy Zbrojeniowej SA.

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
Taty
ppłk. Pawła Lewandowskiego,
 oficera Dowództwa Operacyjnego Rodzajów
 Sił Zbrojnych
 im. gen. Bronisława Kwiatkowskiego.
 Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
Rodzinie oraz Najbliższym Pana Pułkownika
 składa Dowódca Operacyjny Rodzajów Sił Zbrojnych
 gen. broni Tomasz Piotrowski
 wraz z żołnierzami i pracownikami.

Wyrazy głębokiego współczucia i żalu
 oraz wsparcia i otuchy
 w tych trudnych chwilach
Panu ppłk. Dariuszowi Piętoniowi
 z powodu śmierci
Teściowej
 składają dykcja oraz żołnierze i pracownicy
 Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych.

Zamów PRENUMERATĘ NA 12 MIESIĘCY



16 wydań: 12 x „Polska Zbrojna”
oraz 4 x „Polska Zbrojna. Historia”

Pakiet rocznej prenumeraty w cenie 97 zł

Prenumeratę można zamówić pod adresem
sklep.polska-zbrojna.pl

1 9 2 1 - 2 0 2 1

POLSKA ZBROJNA



Z nieskrywaną radością
informujemy, że nasze
czasopismo obchodzi swój
WIELKI JUBILEUSZ

100 POLSKA
ZBROJNA